



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

4(10) 2009

Rok III

ISSN 1898-1801



Wydanie 10
- jubileuszowe

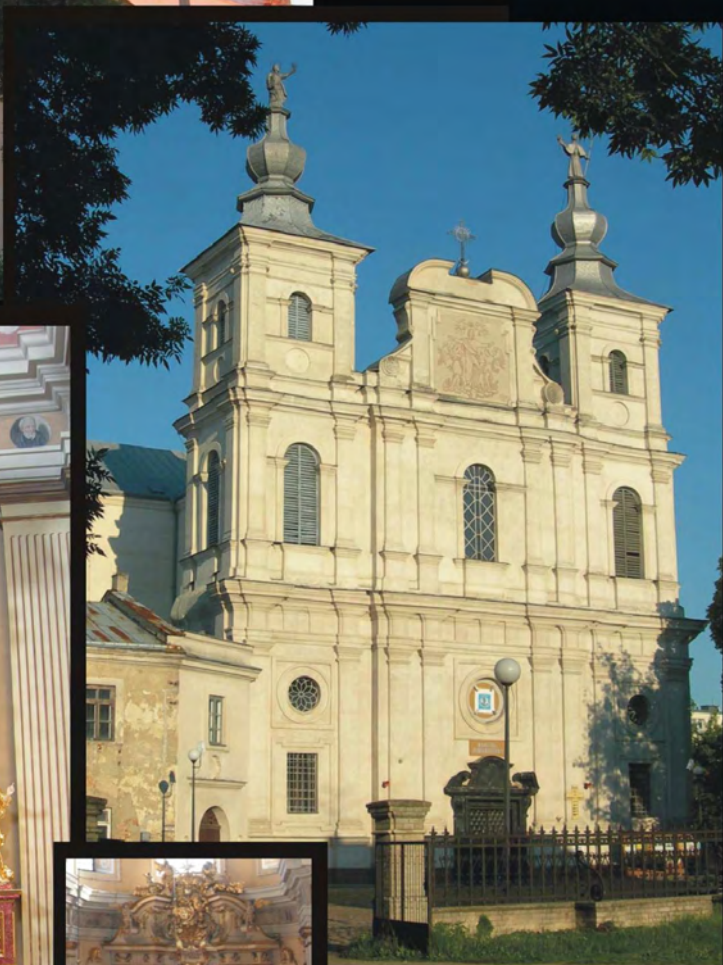
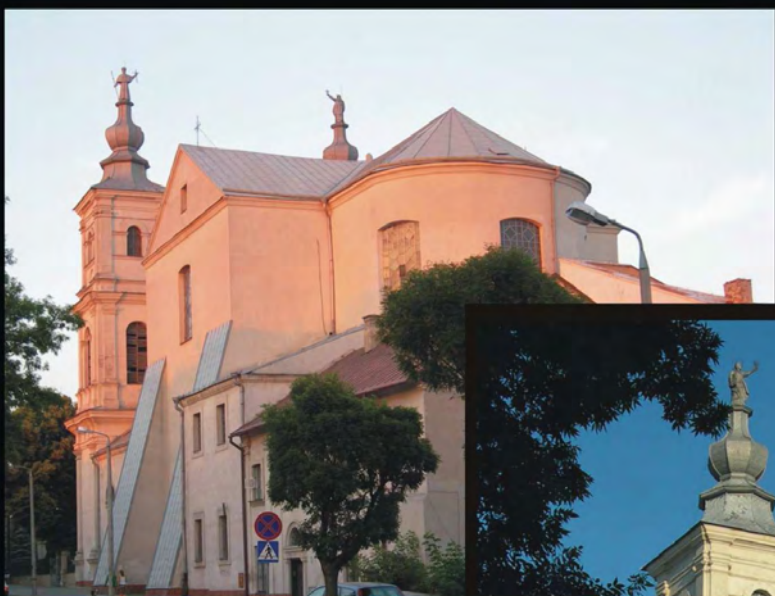


Foto: Przemysław Sarzyński

Zabytek z okładki

Kościół parafialny p.w.św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie, barokowy, wzniesiony w latach 1695-1717 wg. projektu Jana Delamars - jezuita. Fundowany głównie przez Potockich, Krystynę z Lubomirskich i jej męża Feliksa oraz ich dzieci Michała, Jerzego i Mariannę Jabłonowską-Tarłową. W 1776 r., po kasacie zakonu jezuitów (1773 r.) - Katedralny Diecezji Chełmskiej do 1826 r., przeniesienia siedziby diecezji do Lublina. Kościół o szerokiej dwuprzęsłowej nawie, po bokach z parami niskich kaplic, transept równy szerokością nawie, prezbiterium zamknięte półkoliście. Wnętrze ozdobione dekoracją sztukatorską i malarską wykonaną przez franciszkanina Adama Swacha ok. 1723 r. Wyposażenie barokowe i barokowo-regencyjne z 1. poł. XVIII w. uszczuplone po przeniesieniu siedziby diecezji. Wielokrotnie remontowany w 2. poł. XIX w., w XX w. i obecnie.

Spis treści	
Słowo redaktora	2
<i>A. D. Misiura</i>	
Krasnostawski zamek królewski - piastowskie korzenie.....	3
<i>Zbigniew Atras</i>	
Z XVI-wiecznej historii Krasnegostawu.....	8
<i>Kazimierz Stolecki</i>	
XVIII-wieczny teatr jezuicki w Krasnymstawie... ..	10
<i>Agnieszka Szykuła-Żygawska</i>	
Bohaterowie tamtych dni	11
<i>Lucjan Cimek</i>	
Poezja	14
<i>Wacław Gutowski</i>	
Miejsce z opowieścią - Baraki	15
<i>Lidia Jurkiewicz</i>	
Powstanie i pierwszy rok działalności krasnostawskiej bezpieki	18
<i>Daniel Piekarus</i>	
A kim ja byłam? Byłam tylko sanitariuszką u „Łopaszki”	24
<i>wywiad Grzegorza Polikowskiego</i>	
Poezja	30
<i>Józef Nikodem Kłosowski</i>	
Józef Nikodem Kłosowski (1904-1959) Działacz ludowy	31
<i>Adrian Uljasz</i>	
Gdzie się kończy tęcza?	38
<i>Alicja Wiech</i>	
Poezja	41
<i>Krzysztof Kulig</i>	
W dzień końca świata	45
<i>Magdalena Krupa</i>	
Zima	47
<i>Magdalena Krupa, Katarzyna Hać</i>	
Postać Pierrota w literaturze i w sztuce	49
<i>Mirosław Iwańczyk</i>	
Dlaczego wszyscy w Krasnymstawie muszą pisać... ..	51
<i>Mariusz Kargul</i>	
Poezja	52
<i>Dominika Tchórz</i>	
Księga (U)Rodzaju	53
Poezja	54
<i>Edward Franciszek Cimek</i>	
Krople słońca	54
<i>Andrzej D. Misiura</i>	
Maria Teresińska i Jan Wieczorek w lubelskiej Galerii... ..	54
<i>Waldemar Michalski</i>	
Poezja	56
<i>Małgorzata Łobejko</i>	

Spis treści	
Trakty niepokojące	56
<i>Andrzej D. Misiura</i>	
„To jest ewenement na wielką skalę” - Stasiuk o Bojarczuku i ziemi krasnostawskiej	57
<i>rozmowa Mariusza Kargula</i>	
Bliska sercu	61
<i>Lidia Jurkiewicz</i>	
Poezja	61
<i>Bogumiła Prymaczuk</i>	
Poezja	62
<i>Anna Nogaj</i>	
Ponad zgłębkiem świata	62
<i>Dariusz Włodarczyk</i>	
2012 według Hollywood	63
<i>Henryk Radej</i>	
Prośba o 1 % podatku... ..	64
Ziemia lubelscy	64
<i>Agnieszka Szykuła-Żygawska</i>	
„Zakaz przekraczania granicy”	66
<i>Bożena Fornek</i>	
„Pisać, to rysować swoje mandale”	67
<i>Bożena Fornek</i>	
„Nestor” w Wawrzynie	68
Fraszki	69
<i>Stanisław Koszewski</i>	
Nagrody literackie na Święto Niepodległości	69
<i>Elżbieta Szadura-Urbańska</i>	
Jesień nad morzem - Kołobrzeg	70
<i>Waldemar Michalski</i>	
Nauvoo - miasto mormonów	74
<i>Wojtek Mięzał</i>	
Poezja	80
<i>Aleksander Bernat</i>	
Wylot	81
<i>Henryk Radej</i>	
Kamieńska trwa	82
Siejbą Nowosada	82
Nasi przyjaciele	83



NR 4(10) 2009 NESTOR Czasopismo Artystyczne

Wydawca:

Oficina Wydawnicza „ELIPSA”
ul. Piłsudskiego 2, 22-300 Krasnystaw, tel. 082-576 6009,
Konfederacja NESTOR e-mail: david57am@op.pl

Montaż elektroniczny:

„TangaGraf”, ul. Szymonowicza 29, Krasnystaw
Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, Krasnystaw

Nakład sponsorowany przez:

Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie, Urząd Gminy w Łopienniku G.
Przedsiębiorstwo ENERGOREMONT w Krasnymstawie



Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny),
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Henryk Wróbel (skład i łamanie)

Stale współpracują:

Alicja Wiech
Mariusz Kargul
Dariusz Włodarczyk
Henryk Radej

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Dziękujemy Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów
za swoje publikacje w niniejszym wydaniu.

słowo redaktora



Ponad 8 tysięcy egzemplarzy to łączny nakład dziesięciu wydań *Nestora*. Prawie 700 stron wypełnionych drobnym drukiem przez blisko 200 autorów prozy, poezji, reportaży, relacji, wywiadów, wykładów, recenzji, esejów, szkiców, felietonów, wspomnień, opracowań literackich, historycznych itd. Krótko mówiąc - na łamach naszego czasopisma zaistniały wszystkie formy dziennikarskiej i literackiej wypowiedzi. Dołączają do nich autorzy fotografii i prac plastycznych. Redakcja nieustannie czuwa, aby wszystko zapisane zostało ciekawym i wartościowym językiem, aby mogło być czytane z jednakowym zainteresowaniem niezależnie od mijającego czasu. Stara się zachować niezależność społeczno-polityczną, ale zawsze jest admiratorem patriotyzmu. Czasopismo postawiło sobie za cel odkrywanie historii i dokumentowanie działalności artystycznej. Dzisiaj z pewnością możemy uznać, że spotyka nas nieklamany zaszczyt współpracy z wieloma świetnymi autorami. To dzięki nim *Nestor* umacnia się nieustannie. Jednakże na niewiele zdałyby się nasze starania, gdyby nie przyjacielska

postawa Starostów Krasnostawskich, albowiem dzięki ich zrozumieniu, możemy ciągle egzystować. Zdecydowanie wspierają nas także przy każdym wydaniu właściciele drukarni ROMAR - Roman i Marian Furmankowie, oraz legenda lokalnej poligrafii - Henryk Wróbel. Do naszych przyjaciół zaliczamy jeszcze większość wójtów ościennych gmin i kilku przedsiębiorców. Z wdzięcznością wymieniamy ich wewnątrz numeru. **Kochani, naprawdę warto było!** Zrobiliśmy wspólnie kawał dobrej roboty, a kogo zabrakło - niech dzisiaj żałuje. Kto mówił sekretarce: *Nie ma mnie dla „Nestora”!* - stracił jeszcze więcej.

Nestor ciągle jest pismem gratisowym, ponieważ przez szacunek dla pracy autorów i wartości publikowanych materiałów powinien docierać do wszystkich zainteresowanych. Także do nauczyciela, który kiedyś wprawił moją córkę w osłupienie, mówiąc: *Nie rozumiem dlaczego twój ojciec robi tę gazetę, a potem za darmo rozdaje?!*

Andrzej David Misiura

PS 9 listopada 2009 roku, z rąk Longina Jana Okonia Honorowego Prezesa Związku Literatów Polskich w Lublinie, otrzymałem Brązowy Wawrzyn Literacki za całokształt twórczości. Szanowny Panie Longinie - to wyróżnienie przynosi mi zaszczyt. Dziękuję.



Premiera po raz trzeci



Foto: Anna Kowalik

Zaledwie po roku od wystawienia „Chaty za wsią”, a później „Żelży po trzykroć” Amatorski Teatr Pokoleń w Siennicy Różanej przedstawił „Misterium Pańskie”. Trzecia z kolei premiera i tym

razem odniosła sukces, a odbyła się 9 stycznia 2010 roku w czasie tradycyjnego kilkusetosobowego Oplatka Gminnego w rodzimej miejscowości zespołu. Spektakl wg. Tytusa Czyżewskiego zrealizowano w rekordowym terminie 5 tygodni! Wzięło w nim udział ponad 100 wykonawców! Adaptacji literackiej widowiska podjął się Andrzej David Misiura, a zadań głównego reżysera Tadeusz Andrzej Kiciński, obaj od początku związani z Amatorskim Teatrem Pokoleń.



Zbigniew Atras

Krasnostawski zamek królewski - piastowskie korzenie miasta

Krasnostawski zamek, to temat mało znany i zagadkowy. Po wielkiej, królewskiej budowlu pozostało tylko miejsce, na którym się niegdyś wznosił, czyli teren zajęty obecnie przez amfiteatr, warsztaty oraz boisko sportowe Technikum Mechanicznego, i kilka elementów kamiennego wystroju, jak na przykład nadproże ze słynnej bramy zamkowej, przez którą Jan Zamoyski wprowadził arcyksięcia Maksymiliana Habsburga, znajdujące się w domku gotyckim księżnej Izabeli Czartoryskiej w Puławach. Drugą, największą chyba pamiątką z krasnostawskiego zamku jest fragment późnogotyckiego portalu z napisem *Verbum Domini*, wmurowany w narożnik pałacyku biskupiego w Krasnymstawie. W zbiorach krasnostawskiego muzeum znajduje się jeszcze kilka fragmentów ozdobnej, zamkowej kamieniarki. I to wszystko. Do dnia dzisiejszego nie odnaleziono żadnych widoków, czy też planów królewskiego zamku z okresu jego budowy oraz kolejnych lat, gdy był odbudowywany i przebudowywany po wojennych zniszczeniach. Jedynie dwie akwarele Z. Vogla przedstawiają wygląd zamku i najbliższego otoczenia, jednak pochodzą one z lat 1794 i 1810, czyli okresu poprzedzającego jego całkowity upadek i ruinę. W dodatku ukazują najprawdopodobniej tylko część dawnego zamku, odbudowaną ze zniszczeń. A przecież była to budowla wielka i wspaniała, największa ozdoba królewskiego miasta, jakim był Krasnostaw.



Rys. 4. Międzyrzecze Bugu i Wieprza w wiekach X-XIII. Podano rok lub wiek pierwszej wzmianki.

Mapa

Zamek został wzniesiony po roku 1366 na polecenie Kazimierza Wielkiego, ostatniego króla z dynastii Piastów. Miał on wejść w skład planowanej, wschodniej linii umocnień obronnych, strzegącej bardziej zagrożonych odcinków granic państwa. Zamek zbudowano z kamienia i cegły, w stylu gotyckim, nad brzegiem Wieprza, 700 metrów na południe od starego grodu zwanego Szczekarzew, który już w XIV wieku był znaczącym ośrodkiem osadniczym o charakterze miejskim, leżącym na ważnym szlaku handlowym i posiadającym dwie świątynie: kościół katolicki oraz cerkiew prawosławną. Ze starych opisów i dokumentów lustracyjnych wynika, że zamek wzniesiono na planie kwadratu, z basztami w narożach. Dla zwiększenia obronności otoczono go fosą wypełnioną wodą, zaś w celu zabezpieczenia jej odpowiedniego poziomu, wykopano w pobliżu zamku bardzo duży staw, a wody Wieprza spiętrzone, przegradzając go groblą, Król Kazimierz Wielki, doceniając strategiczne położenie Szczekarzewa, zbudował zamek zaliczany do większych i obronniejszych na terenie ówczesnej Polski. Zapewne miał on spełniać nie tylko funkcje obronne, ale być też siedzibą organizowanych urzędów i sądownictwa, podobnie jak większość zamków fundowanych przez Kazimierza Wielkiego.



Z. Vogel, Zamek krasnostawski 1794.

Jak dokładnie wyglądała ta wspaniała, królewska budowla - niestety, nie wiadomo, bo brak dokumentów z tego okresu przedstawiających lub opisujących jego pierwotny wygląd, a historia zamku, jak i miasta, była bardzo burzliwa w dosłownym tego słowa znaczeniu. Wiele razy był palony, a nawet burzony. Później go odbudowywano i przebudowywano, wzmacniając jego obronność. Uważa się nawet, że na przestrzeni wieków, w Krasnymstawie istniało kilka zamków różniących się wyglądem, a nawet miejscem położenia, chociaż zawsze zajmowały teren wcześniej określony. Pierwsze zniszczenia krasnostawskiego zamku nastąpiły w okresie najazdów tatarskich na Polskę w latach 1449, 1490, 1499 i 1500. Wtedy to zamek uległ znacznej ruinie.

Jednak jego znaczenie obronne musiało być duże, bo już w roku 1505 król Aleksander Jagiellończyk odbudowuje zamek według najnowszych zasad sztuki fortyfikacyjnej, otaczając go dwoma pierścieniami wałów i fos. Posiadał on niezależny od miasta system obronny. Główny bastion zamkowy zwrócony został na wschód. Do zamku prowadziły dwie bramy. Była to budowla znacząca, bo na liście polskich miast murowanych z XVI wieku, posiadających zamki, wymieniono tylko Kraków, Sandomierz, Lublin, Krasnystaw, Poznań, Konin, Płock, Warszawę, Pułtusk, Lwów, Przemyśl, Krosno i Kamieniec Podolski. Pierwszy znany opis krasnostawskiego zamku pochodzi z 1560 roku i zawiera go „Inwentarz pożytków Starosty Krasnostawskiego” spisany po śmierci starosty Mikołaja Bogusza. Mówi on, że droga do zamku wiodła przez dwa mosty zwodzone, od strony miasta i przedmieścia. Wejście na teren zamku prowadziło przez bramę murowaną, mijając po drodze mur wewnętrzny wokół dziedzińca. Dalej w murze znajdowały się wrota drewniane prowadzące na dziedziniec zamkowy. Zamek zbudowany był z cegły, a pod nim znajdowały się piwnice. Wejście do piwnic, izb zamkowych i na piętro prowadziło z sieni bramy zamkowej. Ta część zamku nakryta była dachem gontowym. Na lewo od sieni biegł mur, po którym przechodziło się do pokoju królewskiego poprzedzonego sionką. Z sionki prowadziło też wejście do „nowego domu”, który „JKMość Zygmunt II August, przy bytności swej dał zbudować”. Tę część domu zbudowano z drewna na murowanym fundamencie, a pod drugą były położone zręby. Nowy dom składał się z sieni z kominem murowanym, izby sypialnej bez okien, z łóżem, stolikiem, ławami, i miał podłogę z cegły. Dalej mieściły się dwie komnatki, jedna z kominem. Z niej prowadziło wejście na mur, ku basztom „aż ku drugiemu murowi, co zamek otacza wkoło”. Przy murze mieściła się kuchnia oraz stajnia z piętrem, na którym było 19 komórek dla czeladzi. Przy stajni znajdowała się „izba biała” z sienią wyposażoną w ławy, dwa stoły i trzy przyławkę. Od tej izby biegł mur przy wieży (na rogu od rzeki). W wieży mieściła się komnata z kominem murowanym i z dwójgiem drzwi, a na górze - druga komnata z kominem oraz stołem, ławkami, dwoma włoskimi stołkami i przyławką. Obok wieży znajdowała się furta prowadząca do rzeki. W skład zabudowy zamku wchodziła też piekarnia, kuchnia grodzka oraz dom starości - piętrowy, pokryty dachem gontowym, od którego biegł mur do bramy zamkowej.

Drugi znany dokument lustracyjny, datowany jest na dzień 9 kwietnia 1572 roku i sporządzony został po śmierci starosty krasnostawskiego Mikołaja Łaskiego. Opisuje on zamek murowany, obwiedziony dookoła przekopem, przez który prowadzi do zamku most. Obok znajduje się stajnia i domek dla kowala. Dalej była brama zamkowa z dwiema komorami, a po jej prawej stronie - mur i wieża murowana z armatą zamkową. „Mur idzie do domu wielkiego, murowanego. Z obu stron domu wieże. W nich piwnice na każdą stronę po 4, a 9 pod wieżą. Nad dolnymi „drugie sklepy”, na nich gmachy... czwarte gmachy. Po prawej stronie bramy dwie baszty murowane, niezakryte”. Opis wymienia uzbrojenie zamku: 4 działka spiżowe na kołach, 14 hakownic ze stemplami, 13 rusznic, 11 kul żelaznych do działek.

Sam zamek i budynki w obrębie murów były w złym stanie. Pomieszczenia zaniedbane, a okna bez blon. W 1575 roku Tatarzy ponownie zniszczyli krasnostawski zamek, lecz w następnych latach został on całkowicie odbudowany, a nawet rozbudowany. Po roku 1586 prace remontowe prowadzono z myślą o stworzeniu tu rezydencji dla Anny Jagiellonki, wdowy po królu Stefanie Batorym, lecz w wyniku stanowczych protestów królowej nie doszło do tego. Były to jednak lata największej świetności krasnostawskiego zamku, w których zapisał się on na kartach nie tylko polskiej historii. W 1588 roku Jan Zamoyski pokonał w bitwie pod Byczyną wojska arcyksięcia Maksymiliana Habsburga, pretendenta do polskiego tronu. Pokonany arcyksiążę trafił do niewoli i został osadzony w krasnostawskim zamku. Duży wpływ na uwięzienie arcyksięcia w Krasnymstawie miała bliskość Zamościa, a także to, że bezpośredni nadzór nad przeciwnikami politycznymi króla Zygmunta III Wazy sprawował najbliższy przyjaciel Jana Zamoyskiego, późniejszy wojewoda lubelski Marek Sobieski. Ważną rolę odegrało położenie zamku, jak i jego zabezpieczenia obronne oraz standard wyposażenia. Nuncjusz papieski Arnibal z Kapni w liście do kardynała Montalto pisał: „Uradzono nareszcie, że nie wstępując do Krakowa Pan Kanclerz zaprowadzi Maksymiliana na Ruś, do zamku zwanego Krasnymstawem, nader warownym z położenia swego, a do tego dobrze upatrzonego”. Maksymilian Habsburg, arcyksiążę, syn Maksymiliana II Habsburga Cesarza Rzymskiego Narodu Niemieckiego, tytularny już wówczas (koadiutor) Wielki Mistrz Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego, czyli zakonu krzyżackiego, niedoszły pretendent do korony polskiej został osadzony w honorowej niewoli na zamku w Krasnymstawie. Zamieszkał w

narożnej, północnej, kwadratowej baszcie bramnej, zwanej odtąd Maksymilianowską, a apartament więźnia składał się z dwóch pokoi. Zamku zamienionego w prawdziwą fortecę, strzegło dniem i nocą 300 żołnierzy. Arcyksiążę przebywał w Krasnymstawie prawie półtora roku, otoczony wszelkimi wygodami i traktowany z należnymi honorami. Przyjmował wizyty obcych posłów i dostojników kościelnych. Gościł w Zamościu w czasie karnawału i został ojcem chrzestnym hetmańskiego syna. Na zamku często przebywał Jan Zamoyski i inni przedstawiciele wielkich rodów polskich. Wyprawiano liczne uczyty i bale. 20 maja 1589 roku na krasnostawski zamek przybył król Zygmunt III Waza na czele orszaku złożonego z 6 tysięcy ludzi. Przywitanie z arcyksięciem nastąpiło na dziedzińcu zamkowym. W spotkaniu uczestniczyli i przysięgę Maksymiliana przyjęli: nuncjusz papieski, poseł cesarski, biskup wrocławski, ks. kardynał, 4 biskupów polskich, rada koronna i wojewoda krakowski. Maksymilian rzekł się pretensji do korony polskiej. 28 lipca został uwolniony i w honorowym orszaku odprowadzony do granicy państwa.

Kolejne lata przyniosły konflikty zbrojne ze Szwecją i powstanie kozackie na Ukrainie. Walki objęły tereny powiatu krasnostawskiego i odcisnęły swe niszczące piętno na królewskim zamku. Lustracja starostwa z roku 1659 podaje, że zniszczony zamek poddawano wówczas remontowi. Był on otoczony murem, a brama z przejazdem nosiła nazwę Maksymilianowskiej. W bramie tej mieściły się dwie izby i komnaty, które popalone, wymagały remontu. Z bramy prowadziło przejście do pokoi, także zniszczonych, w których odbywały się sądy. Zamek właściwy był budowlą trójkondygnacyjną. Na dole znajdowały się „izby stołowe, drugie pokoje z komnatami i alkierzami, górna także z alkierzami i komnatami pokojowymi, sklepy dalsze pod izbami murowane”. W czasie spisywania inwentarza, pomieszczenia zamkowe gruntownie remontowano, wstawiając piece, okna, posadzki i kominy. W celu podźwignięcia miasta i zamku z ruiny, królowie wydawali przywileje mające pomóc w odbudowie. Jan Kazimierz zezwolił na budowę mostu i pobieranie myta. Jan III Sobieski dopuścił do wyrębu drzew z lasów starostwa, w zamian za świadczenia przy odbudowie. Zapewne wówczas wybudowano południowe skrzydło zamku. „Lustracja Starostw, Dzierżaw i wszelkich Królewskich w Ziemi Chełmskiej, Powiecie Krasnostawskim” z 4 sierpnia 1765 roku prowadzona przez Józefa z Romanowa Romanowskiego, pisarza ziemskiego chełmskiego, ukazuje zamek już odbudowany, powiększony i przebudowany. Wjazd do zamku prowadził przez bramę, koło kościoła

i klasztoru Augustianów. Za mostem znajdowała się druga brama i furtka. Zamek „krzyżową strukturą z cegły murowany” był po lewej stronie. Wejście na górę, na galerię wiodło po nowych schodach sosnowych, z dębowymi poręczami. Z galerii wchodziło się na zamkowe sale. Z opisu poszczególnych pokoi wynika, że wszystkie pomieszczenia zostały gruntownie przebudowane. W oknach znajdowały się szklane szyby, a nie błony, jak w okresach poprzednich. Wstawiono nowe piece kaflowe, podłogi z drewna, a ściany „wapnem i kijem wytynkowano”. Inwentarz wymienia piec saskiej roboty wystawiony w jednej z komnat. Pojawia się też wzmianka o kaplicy zamkowej, archiwum pańskim i archiwum grodzkim. Zamek kryty był nowym dachem gontowym, a ściany wieńczyła koronka z muru. Obok zamku znajdowała się drewniana oficyna przy murze, a za nią kuchnia i piekarnia. Od wymienionych budynków prowadziła droga do wieży Maksymilianowskiej, „przez którą z zamku do sądu z dawną gościniec Lubelski wyjeżdżony, obok murów, które w kwadrat ze znakami rezydencji, już dawno przez Szwedów opustoszone stoją”.

Wspomniany wyżej Inwentarz ukazuje nowy, przebudowany zamek w jego najświetniejszym okresie. W Inwentarzu spisany w Krasnymstawie w dniu 12 kwietnia 1782 roku wspomina się o zniszczonym moście murowanym prowadzącym do zamku. Zamek z tego okresu był budowlą murowaną, skierowaną frontem na wschód. Wejście do budynku prowadziło po schodach na ganek na pierwszym piętrze. W kolejno opisanych salach odnotowano częściowo zepsute podłogi i posadzki, a w wielu oknach brakowało szyb. Niektóre pułapy wymagały „znaczonej bardzo reparacji”. Część okien zabita była deskami, a pewna liczba komnat, zwłaszcza na drugim piętrze, od dawna „stała pustkami”. Zamek pokrywał dach łamany, a mury wieńczyła attyka. Opisane zniszczenia nastąpiły prawdopodobnie w czasie wojny domowej podczas konfederacji barskiej. Inny przekaz z 1782 roku, to wspomnienie bp. Ignacego Krasickiego z jego podróży z Warszawy do Galicji. Píše on: „Zatem Krasnystaw - szedłem do zamku, gdzie mi pokazano rozwaliny gmachu i powiadano o tym, który w nim niegdyś przebywał”. W pięć lat później, w marcu 1787 roku, w krasnostawskim zamku zatrzymał się król Stanisław August Poniatowski z dworem, w czasie podróży do Kaniowa. Gdyby zamek był w ruinie, królewski orszak nie mógłby w nim przebywać. Należy zatem przyjąć, że wspomnienie bp. Ignacego Krasickiego ukazuje ruiny dawnego zamku z wieżą Maksymilianowską obok, lub częściowo na murach którego znajdował się zamek znany z rysunków Vogla, wyglądający jak rezydencja, a nie ufortyfikowana twierdza z XIV- i XV-wiecznych przekazów. Opis podróży królewskiej,

pióra bp. Adama Naruszewicza podaje, że Stanisław August przybył do miasta 4 marca o drugiej po południu. Na zamku przyjmowali go między innymi kasztelan chełmski Poletyło, nowy starosta krasnostawski August Kicki, poprzedni starosta Tomasz Stamirowski, sufragan ks. Kochanowski, starosta chełmski Węgleński. Naruszewicz pisze: „zamek ten starożytny, w całości swej utrzymany zawsze i murami nowymi powiększony, dostatecznym był dla wygody Jego Królewskiej Mości i objął wszystkich domowników i sług”. 5 marca przybyli ordynatowie Zamoyscy, wydano uroczysty obiad, a po wysłuchaniu mszy orszak królewski ruszył w dalszą drogę. Ostatnia lustracja z roku 1789 wspomina, że stan pomieszczeń zamkowych nie uległ zmianie, a wieża Maksymilianowska popada w dalszą ruinę. 11 czerwca 1794 roku w czasie wojny polsko-rosyjskiej, wojska moskiewskie zajęły miasto. Wtedy to w nieustalonych okolicznościach zamek krasnostawski uległ spaleniowi. W krótkim czasie popadł w całkowitą ruinę. Nie było już polskiej państwowości, królewskich przywilejów i odbudowy. Zadaniem zaborców było niszczenie kraju. W 1811 roku Krasnostaw i jego zamek strawił ogromny pożar. Spłonęło 125 domów w mieście, a ocalało 38. „Projekt do przyszłego wymurowania lub zbudowania po zgorzeniu Miasta Krasnegostawu” z dnia 10 września 1811 roku zawiera informację, że miasto już dwakroć było palone przez Kozaków Chmielnickiego i przez Szwedów, jednak przez swoje dogodne położenie dźwigało się ze zgliszcz. W tym dokumencie podano, że zamek zburzony był w 1794 roku przez Moskali, jednakże z pomocą rządu może być jeszcze zreperowany. W „Raportie Dozorczy Miast” z dnia 30 listopada 1813 roku zawarte są uwagi, które ostatecznie przesądziły o losach krasnostawskiego zamku. Zawierały one analizę ogromnych kosztów odbudowy zamku i innych spalonych budowli jak katedra, czy cerkiew, i wnioskowały o odstąpieniu od realizacji tego projektu. Materiały budowlane z tych obiektów postulowano wykorzystać do odbudowy miasta.

Kolejne lata przyniosły całkowitą zagładę zamku, obronnych murów miejskich z basztami i bramami, starej katedry i cerkwi. Z rozbieranych obiektów odzyskiwano materiał, odbudowywano kamienice miejskie i utwardzano ulice. Julian Ursyn Niemcewicz przebywał w Krasnymstawie w 1816 roku, a swoje wspomnienia zamieścił w „Podróżach historycznych”. Pisał w nich: „niegdyś z wspaniałym zamkiem, obwiedzionym murami po większej części, równie jak i domy, z wapiennego kamienia... poszedłem zamek ten oglądać. Już tylko dwie z niego ściany zostały, świadczące jednak piękną strukturę gmachu tego”. Taki był

koniec piastowskiego, królewskiego zamku w Krasnymstawie. Zamku królewskiego w pełnym tego słowa znaczeniu, bo gościli w nim, a nawet przebywali dłużej (nawet po kilka miesięcy), prowadząc swą monarszą działalność (wiele dokumentów królewskich datowanych jest w Krasnymstawie) królowie: Władysław Jagiełło, Władysław III Warneńczyk, Zygmunt II August, Zygmunt III Waza, Władysław IV Waza, Jan II Kazimierz, Jan III Sobieski i Stanisław August Poniatowski.



Wacław Kupuś, Panorama Krasnegostawu - XVII wiek.

Analizując dostępne materiały, zwłaszcza ikonograficzne, należy wspomnieć o obrazie „Krasnostaw, gub. Lubelska w XVII wieku”, którego autorem był ks. Wacław Kapuś. Przedstawia on panoramę miasta wraz z zabudową przedmieść i widokiem zamku. Czworoboczny zamek znajduje się tuż nad brzegiem Wieprza, na północ od miasta. W otaczającym go murze znajdują się trzy lub cztery baszty narożne i brama wjazdowa o półkolistym przejeździe od strony miasta. Obraz został namalowany prawdopodobnie na podstawie widoku przedstawionego na starym drzeworycie,



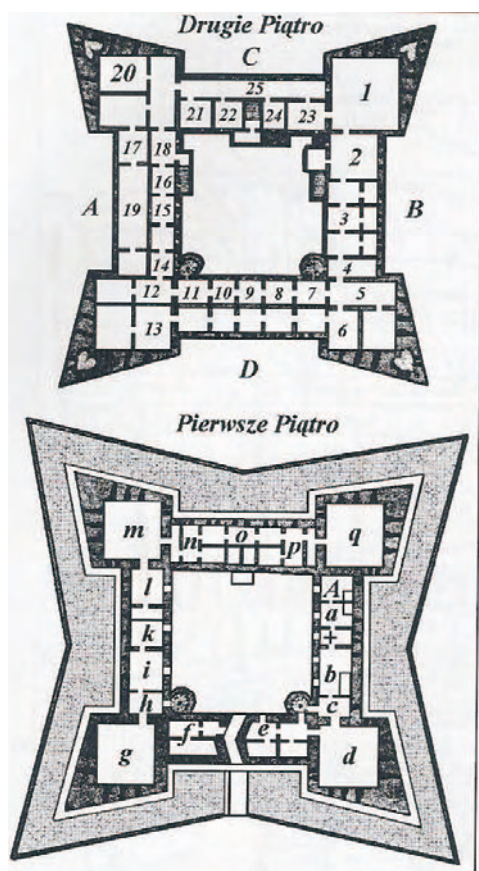
Zamek z litografii Józefa Kościńskiego.

który niestety zaginął. Innym, ciekawym obrazem jest litografia Józefa Koźmińskiego z I połowy XIX wieku, pt. „Jan Zamoyski bierze w niewolę Arcyksięcia Maksymiliana pod Byczyną, miastem śląskim pokonanego roku 1588 i osadza go na zamku Krasnostawskim”. Widok dzieli się na dwie części. Dolna przedstawia moment, gdy pokonany Maksymilian oddaje Zamoyskiemu swój miecz. Górna część przedstawia ufortyfikowany zamek otoczony murem w kształcie czworoboku. W murze znajdują się baszty narożne. Zamek właściwy na planie kwadratu, także z wieżami w narożach, jest wyższy niż mur obronny. Widok zamku dopełnia akcję dziejącą się na pierwszym planie i wskazuje miejsce uwięzienia Maksymiliana. Budowle z obrazu i litografii są bardzo podobne. Czyżby naprawdę były to widoki krasnostawskiego zamku? Bardzo ciekawym dokumentem jest plan podpisany „Zamek Krasnostawski” znaleziony około 1640 roku w rękopisie „Artylerii” Józefa Naronowicza Narońskiego. Przedstawia on plan kwadratowego,

dwukondygnacyjnego zamku, z wieżami w narożach. Opisy pomieszczeń wewnętrznych świadczą, że jest to zamek będący siedzibą starosty. Czy jest to plan zamku w Krasnymstawie? Czy tak naprawdę wyglądał krasnostawski zamek? Przedstawione ilustracje i plany mają tyle samo zwolenników, co przeciwników w temacie ich wiarygodności. Na podstawie posiadanych informacji trudno o jednoznaczną odpowiedź. Prawdopodobnie jakieś nieznane dotychczas materiały o zamku znajdują się na terenie Szwecji, gdzie zapewne trafiły wśród wywiezionych w czasie Potopu bibliotek augustianów i jezuitów. Być może coś ciekawego znalazłoby się w Wiedniu na dworze cesarskim i w Niemczech w siedzibie zakonu krzyżackiego. Ciekawe dokumenty na temat nieistniejących już budowli, jak zamek krasnostawski, i wyglądu miasta z XVIII wieku zawiera zapewne archiwum jezuickie w Watykanie. Z całą pewnością wiele informacji uzyskanoby po przeprowadzeniu badań archeologicznych na terenie zamku. Jak na razie takie prace nie są prowadzone, a nawet planowane, z powodu braku środków na ich realizację.

Dzisiaj po wspaniałym zamku i innych, wymienionych wcześniej historycznych budowlach miasta nie pozostało nic, a wielka szkoda, bo były to obiekty, świadczące o wielkości i wspaniałej historii Krasnegostawu - miasta, które powierzchnią wewnątrz murów dorównywało Lublinowi, należało do najlepiej urządzonych miast Polski i Litwy, przewyższało liczbą ludności i rozwojem gospodarczym stolicę ziemi chełmskiej, do której należało, czyli miasto Chełm, a na terenie między Lublinem, a Lwowem nie miało sobie równych.

Zbigniew Atras



Plany zamku.

Literatura:

1. Krasnostaw. Rys historyczny, Kazimierz Stołeczki, Puławy 2008.
2. Nieistniejący zamek w Krasnymstawie, Ludwik Grajewski.
3. Czy plan kwadratowego zamku bastionowego, znajdujący się w rękopisie Artylerii Józefa Naronowicza Narońskiego, przedstawia zamek w Krasnymstawie, Tadeusz Marian Nowak.
4. Dokumentacja i opracowania z zasobów delegatury Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Chełmie.

Kazimierz Stołecki

XVI-wiecznej historii Krasnegostawu Spór o „czabańskie woły”

Dokument z roku 1545, odsłania ciekawy konflikt natury etyczno-handlowej, w którym stroną byli dwaj bardzo bogaci, *Borzobohaci*, krasnostawscy mieszczenie pochodzenia ruskiego, bracia Iwan (Iwaszko) i Olechno. Spór dotyczył tysiąca „czabańskich” (stepowych) wołów, które wzięli oni w komis od wołoskiego wojewody Piotra IV Raresza, obiecując zapłacić 3 tysiące czerwonych złotych węgierskich (to kwota miliona dzisiejszych złotych!). Zapłata bardzo się opóźniała. Wojewoda zwrócił się ze skargą wprost do młodego króla Zygmunta Augusta, którego znał jako wielkiego księcia litewskiego i jeszcze za życia króla Zygmunta Starego, posyłał doń poselstwa. Poselstwo wojewody przybyło w roku 1545. Humennik soczawski Szeptelis i starosta szypiński Burła jadący z listami, w Lublinie spotkali młodego króla podróżującego do Krakowa. Zostali przezeń uroczyście przyjęci, lecz po odpowiedź odesłani do Wilna, do powrotu króla z „Lachów” „z tych przyczyn, iż JKMć natenczas na w. księstwie litewskim, jako na osobnym państwie swem ojczystem siedzi”. W sprawie skargi hospodara na kupców krasnostawskich *Borzobohatych*, młody król uprzedził, że już polecił tę sprawę rozpatrzyć na rokach wyznaczonych w Krasnymstawie, oraz wymierzyć niezwłocznie należną sprawiedliwość [1].

Oto fragment oryginalnego listu zawierającego odpowiedź króla, udzieloną posłom wojewody, listu zapisanego w księdze Metryki Litewskiej: *hospodar wasz wskazał czerez was do Jeho korolewskoie Miłosti, żałujuczy y prosiaczy sprawiedliwosti na kupców Jeho Miłosti krasnostawskich Iwana a Olechna Borzobohatych, że oni u hospodara waszoho wzięli tisiaczu wołów czabanskich y mieli za to iemu dati tisiaczy zołoty ch czerwonych whorskich, a toho ieszcze niezapłatili aż do sich czasów; ino Jeho korolewskaia Miłost, chotiaczy aby sia w tom hosudaru waszomu sprawiedliwost stała, pisati kazał listy swoi do kasztalana chołmskoho, starosty lubomlskoho, pana Mikołaja Khrabi, a do kasztalana belskoho pana Woytiecha Starychowskoho, a do starosty krasnostawskoho pana Bohusza ... y rok Jeho Miłost pewnyi tomu prawu pokładaiet na dień światoho Michajła rymskoho świata, to iest' Sientiabria dwatcat' osmoho dnia pered światym Pokrowom za try dni, aby oni na tot rok do Krasnohostawu sia ziezchali y tym kupcom krasnostawskim Borzobohatym kazali pered soboiu stati y hosudaru waszomu o ty woły, o kotoryi na nich załużet, sprawiedliwost uczyniti. A w czom oni s prawa winny zostanut,*

to Jeho Miłosti wielełim hosudaru waszomu bez omieszkania zaplatiti; y sarnim tym Borzobohatym też Jeho Miłost osobliwy list swoy pisati wieleł, aby oni na ony rok pered tymi sud'iami Jeho Miłosti stali y hosudaru sia waszomu usprawiedliwili. i ty listy swoi do tych sudiey y do kupców pisanyi szleł Jeho Miłost czerez posłańca swoieho upiered was, y wyby o tom wiedali y toho roku pilnowali [1].

Spór o tysiąc czabańskich wołów został rozstrzygnięty odrębnym dekretem królewskim, wydanym w Krakowie 16 II 1546 r. Dekret ów stanowił: *w sprawie pomiędzy Piotrem, wojewodą wołoskim, a Iwaśko Borzobohatym, mieszczaninem krasnostawskim, o pieniądze, potwierdzamy, że onże Barzobohaty jest dłużny za woły wojewody wołoskiego* [2].

Sprawa „czabańskich wołów” zmusiła króla do osobistej interwencji i dochodzenia sprawiedliwości. Rodzinie Borzobohatych jednak zupełnie to nie zaszkodziło. A nawet, można odnieść wrażenie, przysporzyło im sympatii królewskiej (syn Olechny został dworzaninem królewskim). W roku 1554 uzyskała szlachectwo, o czym tak piszą w swych herbarzach Bartosz Paprocki i Kasper Niesiecki: *Borzobohaci, ludzie majątni z Krasnegostawu. Przyjęci za czasów Zygmunta Augusta do herbu Koźlarogi (Jelita), od Zaleskiego rzeczzonego Miedźwiec, który się wyniósł na Wołyń z sieradzkiej ziemie* [3,4]. Adam Boniecki dodaje: *Borzobohaci h. Jelita pochodzą z mieszczan krasnostawskich, a obdarzeni szlachectwem, od dóbr Krasne, które na Wołyniu posiadali, Krasieńskimi się zwali* [5]. A tak nawiasem, Anusia Borzobohata-Krasieńska z Trylogii Henryka Sienkiewicza, wywodziła się z tej krasnostawskiej rodziny: *Anusia Borzobohata-Krasieńska* (Ogniem i Mieczem, t. 1 i 2, Potop, t. 1, 2 i 3, Pan Wołodyjowski), (wymowa - nie „Bożobohaty”, ale „Bor-zobohaty”, od ruskiego „bardzo bogaty”), herbu Jelita, wywodziła się z mieszczan krasnostawskich pochodzenia ruskiego, nobilitowanych w 1554 roku [6].

Świadczenia niezwykle intensywnej i bardzo szerokiej działalności braci Borzobohatych, znajdujemy także w innych przekazach historycznych. Informacje o rodowodzie Borzobohatych zawiera następująca notatka [7]. Stefan, za wojenne zasługi od króla węgierskiego Macieja I Korwina otrzymał w roku 1482 herb, w Polsce nazywany Gozdawa. Synowie Stefana byli na polskiej służbie. Jacek był później władzą włodzimierskim. Od niego z kolei pochodzą Olechno Jackowicz i jego brat Iwan a przezwisku Borzobohaty. Pierwsze wzmianki o działalności braci dotyczą komór celnych. W roku 1533 kupcy zanieśli skargę do sądu na podwójną opłatę celną,

którą płacili w Zaslaviu i ponownie w komorach celnych łuckiej i krzemienieckiej. O wyzysk oskarżano Iwana Borzobohatego, celnika wołyńskiego. W księgach Metryki Koronnej zapisano: 4 października 1541. *Braciom rodzonym Olechno i Iwaskowi Borzobohatym, obywatelom krasnostawskim, od dnia [św.] Kaliksta (14 października) roku 1541 oddaje się w dzierżawę na rok, za 2530 florenów, cło chełmskie, czyli komory chełmskie do Krasnegostawu i Lubomli przeniesione, w Ratnie, Rubiessowie i Lubaczowie, a także cło włodawskie w Rudnie, Oxowie, Czernizinie i Slipeczy* [2]. W 1545 r. bracia Borzobohaci wzięli w dzierżawę myta w całym Podlasiu, razem z komorami woskowymi i solnymi. Żaden z kupców nie mógł omijać komór celnych, *a jeśli by kto chciał myta gospodarskie stare i nowe i komory woskowe i solne przejeżdżać bez cechów i bez kwitów mytników z towary abo, myta im nie zapłaciwszy, takich mają oni prawo zabierać w przemycie* [8]. W roku 1548, Iwan Borzobohaty kupił wójtostwo łuckie od królowej Bony i wspomniany jest w zapisach Metryki Litewskiej jako wójt łucki. W spisie urzędników wołyńskich wymienieni są obaj bracia oraz syn Olechny [9].

Iwan Jackowicz Krasieński Borzobohaty h. Jelita: klucznik łucki (1558-62), horodniczy łucki (1558-62), mostowniczy łucki (1558-62), wójt łucki (1548-66), celnik wołyński (1561-62), koadiutor władzy włodzimierski i brzeskiego (1562-63), władca włodzimierski (1564-65), władca piński i turowski (1566-68), władca łucki i ostrogi pod imieniem Jona (1569-85), archimandryta żydyczynski (1569-82), zmarł w 1585.

Olechno Jackowicz: horodniczy łucki (1557), klucznik łucki (1557), mostowniczy łucki (1557), celnik wołyński, zmarł przed 29 V 1562.

Iwan Olechnowicz: dworzanin królewski (1563), mostowniczy łucki (1563-1602) zmarł przed 29 IV 1602.

W końcu roku 1562, Iwan Jackowicz Borzobohaty został koadiutorem swego ojca, władcy włodzimierskiego Jacka, nazwany był władcą włodzimierskim i brzeskim już 1563. W roku 1563 otrzymał od króla przywilej na biskupstwo wołyńskie. W tym czasie doszło do sporu z królem o nierozliczenie się z ceł wołyńskich i innych należności z klucza łuckiego. Możliwe, że utrata przezeń urzędów była wynikiem konfiskaty. We wrześniu 1565 Iwan został siłą usunięty z władztwa włodzimierskiego przez nominata królewskiego Feodosia władcy chełmskiego i bełskiego, po tej dacie występuje bez urzędów. W roku 1567 Iwan Jackowicz dostał przywilej królewski na prawosławną katedrę łucką, pozostając osobą świecką. W liście metropolity

kijowskiego Jonasza datowanym 21 X 1570 nazywa się go mianowanym biskupem łuckim. W roku 1571 wstąpił do stanu duchownego i nazywano go: wielbny ojciec Jonasz (Iona), biskup władca łucki i ostrogi, archimandryta żydaczynski [10]. Po wielu kłopotach (oskarżany był o niegospodarność i zagarnięcie majątku cerkiewnego [11]), zmarł na wygnaniu w roku 1585.

Kazimierz Stolecki

Literatura:

1. Aleksander Jabłonowski wydał, *Sprawy Wołoskie za Jagiellonów, akta i listy, Źródła Dziejowe, tom X*, Skład główny Gebertnera i Wolffa, Warszawa 1878.
2. Theodorus Wierzbowski, *Matricularum Regni Poloniae Summaria, Partes I-V, a. 1447-1572*. Tipis Officinae C. Kowalewski, Varsoviae MCMV-MCMXI.
3. Bartosz Paprocki, *Herby rycerstwa polskiego*, wydanie Józefa Turowskiego, nakładem Wydawnictwa Biblioteki Polskiej, Kraków 1585.
4. X. Kasper Niesiecki SJ, *Korona Polska... 1728*. W Drukarni Collegium Lwowskiego Societatis Iesu.
5. Adam Boniecki, *Herbarz Polski*, część I, tom II, Skład główny Gebethner i Wolff, Warszawa 1904.
6. Władysław Zawistowski, *Kto jest kim w „Trylogii” Henryka Sienkiewicza?* Wydawnictwo Tower Press, Sopot 1999.
7. Елена Гдальевна Попова-Яцкевич, *Польская шляхта в России: род Яцкевичей герба „Gozdawa”, Поляки в России: XVII-XX, вв. Материалы международной научной конференции, Кубанский Государственный Университет, Краснодар 2003*.
8. Aleksander Jabłonowski, *Źródła dziejowe. Tom XVIII, Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym, tom VI, cz. 3, Podlasie*. Skład Główny Geberthnera i Wolffa, Warszawa 1910.
9. Antoni Gąsiorowski, red., Marian Wolski oprac., *Urzędnicy dawnej Rzeczypospolitej XII- XVIII wieku, t. III, z. 5, Ziemie ruskie, Urzędnicy wołyńscy XIV- XVIII wieku*, Biblioteka Kórnicka, Kórnik 2007.
10. Архив Юго-Западной России, Том 1. Въ Университетской Типографіи, Кіевъ 1859.
11. Александр Александрович Половцов, *Русский Биографический Словарь, Т. 8*. Тип. Гл. упр. уделов, Санкт-Петербург 1897, wersja elektroniczna <http://www.rulex.ru>.

Agnieszka Szykuła-Żygawska

XVIII-wieczny teatr jezuicki w Krasnymstawie i figura patronki muzyki kościelnej - św. Cecylii

Kościół katolicki od czasów powstania, sięgającego według tradycji I wieku n.e. był świadomy powinowactwa istniejącego między Stwórcą a człowiekiem, którego przeznaczeniem jest kontynuowanie Jego twórczej działalności.¹ Za pomocą środków wyrazu artystycznego upowszechniano Słowo Boże, postaci i wydarzenia z Pisma Świętego. W okresie renesansu i baroku sztuka stała się orędziem dążącym do tryumfu katolicyzmu. Powoływano nowe organizacje i ich placówki, które miały upowszechniać dogmaty i pobudzać gorliwość religijną przez kaznodziejstwo i sztukę. Około 1540 roku powstał zakon Towarzystwa Jezusowego, którego przedstawiciele byli ukierunkowani na działalność katechizacyjną. Upowszechnianiu Słowa Bożego służyły administrowane przez zakonników instytucje, czynne w różnych dziedzinach życia religijnego. Utworzono sieć seminariów duchownych i bractw religijnych.² Miejscem katechizacji były kolegia kierowane przez Towarzystwo Jezusowe, które utworzyło system jednolitego szkolnictwa. Na terenie Rzeczypospolitej zakonnicy ci prowadzili szkoły średnie i dwie akademie: w Wilnie i Lwowie. Konwent kształcił własnych architektów, rzeźbiarzy i malarzy.³

W 1685 roku biskup Stanisław Świąciecki sprowadził o.o. jezuitów do Krasnegostawu.⁴ Zakonnicy mieli do dyspozycji nowo wybudowany kościół oraz klasztor. Miasto było wówczas stolicą diecezji chełmskiej i dużym ośrodkiem życia religijnego. Przy klasztorze o.o. jezuitów w 1. połowie XVIII wieku znajdowała się siedziba biskupstwa chełmskiego, funkcjonowało seminarium i kolegium jezuickie oraz drukarnia. Te instytucje wpłynęły na religijność wiernych w diecezji chełmskiej i jej stolicy.

Z przekazów źródłowych wynika, że w latach 1732-1750, a więc przez 18 lat w Krasnymstawie działał teatr jezuicki.⁵ Przepuszczalnie był on skupiony przy kolegium. Niewiele wiadomo o repertuarze granych sztuk oraz ich częstotliwości. Można jedynie przypuszczać, że aktorami byli duchowni, a prezentowanym sztukom towarzyszyła muzyka.

Wiadomo, że w programie nauczania o.o. jezuitów uwzględniano różne dziedziny sztuk - były one ważnym orędziem w upowszechnianiu Słowa Bożego. Zwracano uwagę na sztuki plastyczne i dźwięk.

Odważnym będzie stwierdzenie, że sceną dla grywanych w teatrze jezuickim sztuk był kościół św. Franciszka Ksawerego. Warto jednak zwrócić uwagę, że kościół jest bazyliką z okazałym chórem - dziełem XVIII- i XIX-wiecznych rzeźbiarzy. Elementy kompozycyjne chóru i ornamenty należą do stylistyki rokoka - wykonane zostały około 1770 roku przez warsztat działający w szerokim zakresie w całej diecezji chełmskiej. Z 1. połowy XIX wieku pochodzą ich uzupełnienia. Na emporach chóru i prospekcie usytuowano figury adorujących i grających aniołów. Pośrodku aniołów znajduje się rokokowa figura św. Cecylii - patronki muzyki kościelnej.



XVIII-wieczna figura św. Cecylii z empory chóru kościoła pw. św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie, fot. P. Sarzyński, 2009.

Święta ta żyła na przełomie II i III wieku po narodzinach Chrystusa. Jako chrześcijanka, złożyła ślub czystości. Mimo że zmuszono ją do małżeństwa z poganinem, nie złamała ślubu, ale nawróciła swego męża i jego brata. Wszyscy troje ponieśli męczeńską śmierć przez ścięcie.⁶ W V w. ku czci św. Cecylii wzniesiono w Rzymie bazylikę, z tego stulecia pochodzi również antyfona brewiarzowa, która zapoczątkowała patronat Cecylii nad muzyką kościelną. Przypuszcza się, że niewiasta grała na harfie, instrumencie popularnym wśród patrycjuszek rzymskich. Według podania lubiła śpiew i muzykę, jej kult jako patronki muzyki kościelnej popularyzowały bractwa i stowarzyszenia, których głównym celem było pielęgnowanie muzyki kościelnej i liturgii.⁷



Fresk przedstawiający św. Cecylię na chórze kościoła pw. Św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie, fot. P. Sarzyński.

W Krasnymstawie, święta została ukazana jako urodziwa niewiasta z długimi włosami w sukni z gorsetem, podczas gry na harfie. Towarzyszą jej usytuowani na balustradzie aniołowie. Być może kult świętej popularyzował działający w Krasnymstawie teatr jezuicki i z jego działalnością związany jest pomysł wykonania rzeźby - jedynego przedstawienia świętej na terenie byłej diecezji chełmskiej.

Temat teatru jezuickiego oraz roli muzyki w upowszechnianiu Słowa Bożego przez o.o. jezuitów w Krasnymstawie wart jest poznania, również ze względu na nieprzebadany dotychczas program ikonograficzny malowideł stiukowych z kościoła św. Franciszka Ksawerego, gdzie nad chórem została przedstawiona m.in. św. Cecylia. Zakomunikowany jedynie w tym artykule wymaga wielu dalszych badań.

Agnieszka Szykuła-Żygawska

¹ S. Bednarski, *Podstawowe zasady szkolnictwa jezuickiego* [w:] *Z dziejów szkolnictwa jezuickiego w Polsce. Wybór artykułów*, red. J. Paszenda, Kraków 1994, s. 19-24; B. Natoliński, *Szkolnictwo jezuickie w dobie kontrreformacji*, [w:] *Wiek XVII. Kontrreformacja-barok. Prace z historii kultury*, red. J. Pelc, Wrocław-Warszawa-Kraków, 1970, s. 309-339.

² J. Kłoczowski, *Dzieje chrześcijaństwa polskiego*, Warszawa 2000, s. 158-159.

³ Por. R. Skulski, *Z dziejów teatru jezuickiego we Lwowie*, „Pamiętnik Literacki”, T. XXXII, 1935, z. 1-2, s. 541-548; J. Lewański, *Oblicze teatru religijnego* [w:] *Księga tysiąclecia katolicyzmu w Polsce*, T. II, Lublin 1969, s. 359-393.

⁴ A. Rusińska-Kurzątkowska, *Kościół pojezuicki w Krasnymstawie*, RHKUL, T. VI, z. 4, 1958, s. 111.

⁵ *Z przeszłości kulturalnej Lubelszczyzny*, oprac. A. Aleksandrowicz, Lublin 1978, s. 100.

⁶ *Żywoty świętych starego i nowego zakonu na każdy dzień przez cały rok, do których przydane są niektóre duchowe obroki i nauki przeciw kacerstwu* [...] przez ks. Piotra Skargę *Societatis Iesu* [...] z przydatkiem niektórych żywotów na końcu, wybór II, wybór i opracowanie M. Kozielski, Kraków 1995, s. 289-303.

⁷ Z. Bauer, A. Leszkiewicz, *Wielka księga świętych*, T. I, Kraków 2003, s. 134-135.

Lucjan Cimek

Bohaterowie tamtych dni

Było to w starożytnej Grecji: „Ateńscy podczas wojny z Rodos wzięli do niewoli, wraz z innymi jeńcami, zaciętego ich wroga Dorieusa, zwycięzcę olimpijskiego w agonii pięściarzy. Puścili go wolno, gdy tylko wyszło na jaw, kim był pojmany...”

Było to w środkowej Europie, w Polsce, w XX wieku, w 1940 roku, w 1547 lat od ostatniej olimpiady greckiej, w cztery lata po Igrzyskach XI Olimpiady w Berlinie. Hitlerowski okupant kazał pojąć rekordzistę świata, zwycięskiego olimpijczyka - Janusza Kusocińskiego i postawił go przed plutonem egzekucyjnym...

Janusz Kusociński - zwycięzca w biegu na 10 000 metrów na Igrzyskach X Olimpiady w Los Angeles w 1932 roku - służy w Polsce za wzór sportowca i patrioty. Jako sportowiec, dzięki wytrwałości i nowatorskim metodom treningu, zdołał przełamać hegemonię biegaczy fińskich na długich dystansach. W okresie największej próby dla narodu polskiego walczył mężnie w obronie Warszawy, a potem, podczas hitlerowskiej okupacji, w podziemnym ruchu oporu. Za wolność narodu został zamordowany, jak miliony jego rodaków.

Ileż to lat w PRL-u wystarczył nam życiorys Kusocińskiego mający rozmiar encyklopedycznego hasła? I to już nawet wtedy, gdy w stolicy zaczęto organizować mityngi lekkoatletyczne ku czci wielkiego mistrza, a po morzach i oceanach zaczął pływać statek ochrzczony jego imieniem. A jeżeli dopiero teraz życiorys Kusocińskiego stał się w miarę pełny, to jak się tu nie dziwić, iż taka pustka panuje wokół innych polskich sportowców, którzy podczas wojny lub po tzw. wyzwoleniu podzielili los „Kusego”? Kto dzisiaj na przykład wie, kto jeszcze pamięta, kim był Stanisław Sokołowski urodzony w pobliskim Rejowcu 27 stycznia 1913 r.?

W 1985 r. „Przegląd Sportowy” w numerze 117 z dnia 18 czerwca zamieścił artykuł mgr. Janusza Waśko, pt. „Kusy nie uнікаł...”, w którym m.in. czytamy: „Na stadionie w Zamościu w dniu 5 maja 1937 r. towarzyszący na zdjęciu (Januszowi) Kusocińskiemu w stroju CIWF zawodnik, to Stanisław Sokołowski - przyjaciel lub co najmniej dobry znajomy Mistrza. Należał on do grona czołowych polskich wieloboistów i miotaczy... Po ukończeniu miejscowego Gimnazjum został słuchaczem (chyba od jesieni 1935 r.) Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego. Największym osiągnięciem sportowym S. Sokołowskiego był fakt posiadania szóstej pozycji w klasyfikacji „all time” na krajowej liście oszczepu na dzień 31 sierpnia 1939 r.”

Stanisław Sokołowski, wspaniały lekkoatleta, studia na Akademii Wychowania Fizycznego im. Józefa Piłsudskiego ukończył w 1939 r. (absolutorium). Pozostała mu jeszcze do napisania

praca magisterska, do której rozpoczął badania i zbieranie materiałów. W międzyczasie został wytypowany, jako przyszły reprezentant, do przygotowań olimpijskich na 1940 rok. Miał uczestniczyć w igrzyskach XII Olimpiady w Helsinkach. Niestety, koło historii potoczyło się inaczej.

Zmobilizowany 28 sierpnia 1939 r. podporucznik rezerwy Stanisław Sokołowski zameldował się w koszarach Wojska Polskiego w Zamościu. Na drogę otrzymał od żony, która spodziewała się dziecka, szkaplerz z relikwiami św. Andrzeja Boboli. W kampanii wrześniowej walczył jako dowódca plutonu w 9. Pułku Piechoty Legionów w obronie przyczółka mostowego pod Puławami, a 15 września uczestniczył w obronie Lublina. Potem cofnęli się na wschód, do Chełma, ale stamtąd wracali żołnierze już bez karabinów i... oficerów. Uderzyli więc na Krasnystaw, i tutaj w dniu 19 września 1939 roku stoczyli ostatnią bitwę w wojnie obronnej (okolice Krupego, Kasjanu i Borku). Do niewoli niemieckiej nie poszedł, lecz szczęśliwie wyprowadziwszy swych żołnierzy z opresji (po rozbiciu stanowisk artylerii polskiej w Kolonii Siennica Nadolna), sforsował Wieprz i pod osłoną nocy z plikiem map sztabowych przybył do domu swej żony we wsi Niemienice koło Krasnegostawu. Tutaj zakonserwował przyniesioną broń i, podobnie jak Kusociński, od razu przystąpił do organizowania pracy podziemnej, nawiązując kontakt z konspiracyjnym ruchem ludowym.

Jego życie w czasie okupacji, to ciągle pasmo walk z niemieckim okupantem w różnych okolicznościach, niesienie pomocy gnębiomym przez wroga, aresztowanym i katowanym rodakom. Wiele pracy i sił poświęcił na szkolenie przyszłych żołnierzy dla potrzeb Batalionów Chłopskich w Leśnej Szkole Podchorążych Piechoty, kwatrującej w gajówce niemienickiego lasu. Dniem i nocą przebiegał z jednej placówki do drugiej. Organizował różne zawody i biegi przełajowe dla młodzieży wiejskiej w oparciu o sprzęt sportowy, który wcześniej skrupulatnie zgromadził.²

Najgroźniejszym czynem Stanisława Sokołowskiego była akcja zbrojna na więzienie w Krasnymstawie przeprowadzona w nocy z 19 na 20 września 1943 roku, gdzie bez jednego wystrzału uwolnił 294 więźniów z rąk hitlerowskich oprawców.³ Sam zaś zginął już po zakończeniu wojny - zamordowany przez UB i NKWD w nocy z 23 na 24 listopada 1945 r.

Na dwa tygodnie przed śmiercią była Komenda Batalionów Chłopskich Okręgu IV w Lublinie pismem z dnia 12 listopada 1945 r. skierowała Stanisława Sokołowskiego do Zarządu Głównego ZMW „Wici” w Warszawie. W piśmie polecającym, nie bez uzasadnienia, napisano: „Proszę skontaktować kol. Sokołowskiego, majora

BCh z obywatelem Trawińskim, Porębą lub ob. Banachem względnie z ob. Wójcikiem. - Poza tym proponuję kol. Sokołowskiego jako specja - sportowca do prac klubu sportowego - w Wiciach. /Podpisał b. Komendant Okręgu IV BCh. Jawor - Pasiak Jan, płk BCh./”⁴

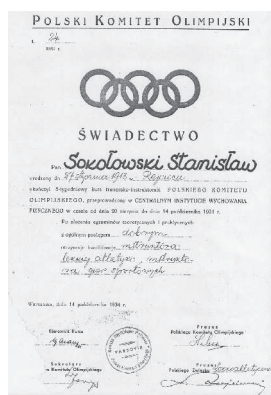
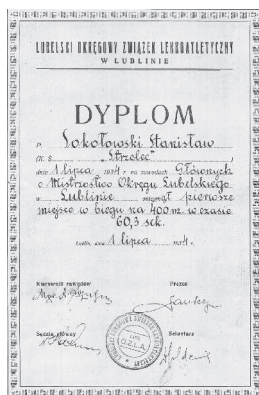
Stanisław Sokołowski, legendarny „Rolnik”, przyjaciel Janusza Kusocińskiego, człowiek wielkiego serca i wielkiej odwagi, ofiara politycznego terroru, trwa w naszej świadomości jako wzór sportowca, żołnierza i partyzanta, jako ucieleśnienie idei wolności. Wzorował się na Kusocińskim i dobiegł do swej ostatniej mety podobnie jak „Kusy”. Miał 32 lata.

Ten ostatni, nocny bieg Stanisława Sokołowskiego przerwały celne strzały z broni maszynowej oddane przez funkcjonariuszy Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Krasnymstawie z Gustawem Królem na czele. Z relacji wdowy po Stanisławie Sokołowskim, Marianny, wynikało, że jej mąż został zadenuncjowany przez sąsiada, agenta UB i późniejszego ormowca, który poszedł na współpracę z PPR i położył duże zasługi w „utrwalaniu władzy ludowej” na terenie powiatu krasnostawskiego.⁵

W miejscowym muzeum, mieszczącym się w budynku pojezuickiego kolegium, znajdują się liczne pamiątki po Stanisławie Sokołowskim. Wśród dokumentów, zdjęć, licznych dyplomów, odznaczeń i medali, znajduje się karykatura Sokołowskiego narysowana przez Kusocińskiego oraz oryginalny plan akcji BCh na więzienie w Krasnymstawie. W roku 2002, w dniu 15 sierpnia, Gimnazjum nr 2 w Kolonii Zakręcie otrzymało sztandar i przyjęło imię majora Stanisława Sokołowskiego. Jego imię nosi też obwodnica Krasnegostawu - fragment drogi krajowej nr 17 biegnącej z Warszawy - przez Krasnystaw - do Zamościa i dalej do granicy państwa.



Stanisław Sokołowski
- rys. Janusz Kusociński



Z przedstawionych faktów wynika, że Stanisława Sokółowskiego wprost rozsądzała pasja walki i nienawiść do okupanta, a jego konspiracyjna działalność była tak żywiołowa, spontaniczna, niejednokrotnie stojąca na granicy ryzyka, ale zawsze prowadzona według zasady „fair play”.⁶ Niestety, te zasady nie uznawali ani pepeerowcy, ani ich moskiewscy mocodawcy.

Powiat krasnostawski został w brutalny sposób spacyfikowany. Jak podaje Mieczysław Wójtowicz, około 160 osób zostało wywiezionych do sowieckich łagrów, a wiele zostało skrytobójczo zamordowanych bądź osadzonych w więzieniach.⁷ Prof. Roman Tokarczyk z Wydziału Prawa i Administracji UMCS Lublinie w monografii poświęconej Turobinowi w pow. krasnostawskim, cytując Henryka Czachorowskiego, pisze: „Regularne wojska radzieckie poszły dalej w pościgu za cofającym się wojskiem niemieckim. Bezpośrednio za tym wojskiem wkroczyło NKWD i rozpoczęło swoje rządy... rozpoczęły się masowe aresztowania byłych członków Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich... Powstało piekło na Lubelszczyźnie... do Urzędu Bezpieczeństwa przyjmowane były typy, skromnie mówiąc, żądne krwi i morderstw, często podjudzane przez NKWD”.⁸ W listopadzie 1944 roku osiemnastu byłych partyzantów wywieziono do Borowicz w ZSRR. Pracując w tragicznych warunkach w kopalni węgla (brunatnego), sześciu z nich tam zmarło; ci którzy powrócili do kraju, mieli wyniszczone zdrowie.⁹ Podobne fakty miały miejsce w pozostałych 12 gminach pow. krasnostawskiego, a także w samym Krasnymstawie. Tutaj, w miejscowym więzieniu, Sąd Wojskowy Lubelskiego Garnizonu Ludowego Wojska Polskiego w dniu 23 listopada 1944 r. skazał na karę śmierci Józefa i Stanisława (braci) Waręckich - żołnierzy BCh z Krakowskiego Przedmieścia oraz Wacława Wronę. Wyrok wykonano w piątek, 1 grudnia 1944 r. w pobliskim lesie „Mardolina” (za kościołem w Siennicy

Nadolnej - L.C.), wchodzącym w skład leśnictwa Borek.¹⁰ Dowódcą plutonu egzekucyjnego był kpr. Paweł Szałek, funkcjonariusz UB w Krasnymstawie, pochodzący z Pilaszkowic w gminie Rybczewice, za okupacji przynależny do czerwonej partyzantki.¹¹ Natomiast Jan Czuba ps. „Wujek” mieszkający w Przedmieściu Zastawie został zamordowany przez funkcjonariuszy UB (Józef Dąbrowski, Wasyl Dzida i inni) w dniu 29 stycznia 1946 r., nazajutrz po powrocie z Kongresu PSL w Warszawie. Zastrzelono go w odległości 20 metrów od własnego domu.¹²

Powojenne losy bechowców, którzy „byli sercem wsi”, okazały się dalekie od wyobrażeń o dziejach bohaterów. Przez wiele lat traktowani byli przez państwo jak obywatele drugiej kategorii, a nie bohaterowie. Zmianę sytuacji przyniósł dopiero rok 1989. W dniu 24 stycznia 1991 r. Sejm RP uchwalił Ustawę o kombatanach oraz niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego. Natomiast w dniu 24 września 1992 r. powstał Ogólnopolski Związek Żołnierzy Batalionów Chłopskich.

Lucjan Cimek

¹ L. Cimek: *Nie wszystko umiera*, „Wieści” nr 32, Warszawa 1988.

² Relacja sierż. Edwarda Żurka ps. „Bartnik” z lutego 1983 r., zam. w Kol. Bobrowe, gmina Gorzków, -w zbiorach autora.

³ Z tej liczby (według „evidencji więźniów” zabranej przez BCh z więzienia w Krasnymstawie i zdeponowanej wraz z kluczami u Wacława Szostaka - „Jelenia” w Olesinie, gm. Gorzków) na dzień 19 września 1943 r. wykreślonych było 21 nazwisk z adnotacją: *przekazany do Lublina - 7 osób, zmarł - 3 osoby i zwolniony (sic!) - 11 osób*.

⁴ Odpis z oryginału znajdującego się w zbiorach Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie. Teczka dokumentów zatytułowana: „Major Stanisław Sokółowski 1913-1945”.

⁵ Relacja ustna Marianny Sokółowskiej-Michno, zam. Lublin, ul. Lwowska 9 m. 22, udzielona autorowi w listopadzie 1990 r. M. Wojtowicz: *Roch i Bataliony Chłopskie w Obwodzie Krasnostawskim 1939-1945*. Lublin 1997, na s. 229 pisze: „Stanisław Sokółowski zginął z ręki swoich podwładnych - jak się okazało - pepeerowców. Pierwszy atak NKWD z donosu Tadeusza Światowskiego z Olesina, a drugi atak tragiczny z donosu niewiadomego nazwiska”.

⁶ Wojciech Lipiński: *Humanistyczna encyklopedia sportu*. Hasło: fair play - etyka sportowej walki. Warszawa 1987 r. s. 84-85.

⁷ M. Wojtowicz, op. cit., s. 290.

⁸ R. Tokarczyk: *Turobin - dzieje miejscowości*. Lublin 2002, s. 289.

⁹ R. Tokarczyk: op. cit., s. 290.

¹⁰ L. Cimek: *Świadek tamtych dni*. „Ziemia Krasnostawska”, nr 3 (106), Krasnostaw 2003.

¹¹ R. Maleszy: *Zakład Karny w Krasnymstawie 1906-1996*, Krasnostaw 1997, s. 70-74. M. Wojtas, *Słownik biograficzny żołnierzy Batalionów Chłopskich - IV Okręg Lublin*, T. II, Lublin 2001, s. 778-779.

¹² Relacja ustna Jana Staszczaka zam. Krasnostaw, Przedmieście Zastawie (ul. Łukaszyńskiego) i Zofii Wojtal z d. Sadowskiej zam. Krasnostaw, Przedmieście Góry (ul. Kickiego) udzielona autorowi w czerwcu 2003 r., M. Wojtas, op. cit., T. II, s. 131.

Wacław Gutowski urodził się 4 sierpnia 1929 roku w Olesinie, w powiecie krasnostawskim. Pomimo dotkliwej choroby, zdobył średnie wykształcenie i do emerytury prowadził wraz z żoną 2,5-hektarowe gospodarstwo rolne w Nowinach, na terenie gminy Łopiennik Górny, gdzie mieszka do dzisiaj. Jest znanym i cenionym działaczem społeczno-kulturalnym. Początki swojego pisarstwa odkrył tuż przed wojną, jednakże zadebiutował dopiero w 1965 roku wierszem *Przyjaźń* w „Głosie Młodzieży Wiejskiej”. Później wielokrotnie publikował m.in. w „Kamieniu” i „Tygodniku Chełmskim”. Jego prace znalazły też swoje miejsce w antologiach poezji ludowej: „Wiersze proste jak życie”, „Gruszo polna graj na wietrze”, w trzecim tomie „Wsi Tworzącej” i innych. Autor ma też na swoim koncie kilka indywidualnych tomików, z których najobszerniejszy nosi tytuł „Psotki myślenia” i to z niego dokonaliśmy wyboru zamieszczonych obok fraszek. Należy zaznaczyć, że Wacław Gutowski w 1968 roku był współzałożycielem Stowarzyszenia Twórców Ludowych, a w 2003 roku otrzymał nagrodę im. Oskara Kolberga „Za Zasługi dla Kultury Ludowej”. Przez wiele lat dokonywał pomiarów i obserwacji dla Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej, Pracowni Fizyki Atmosfery we Wrocławiu oraz Komitetu Międzynarodowej Współpracy Geofizycznej Polskiej Akademii Nauk. Pracę łączył z pasją przepowiadania pogody na podstawie obserwacji zjawisk przyrody i ludowych przypowieści. Te prognozy w wersji literackiej drukowała cyklicznie w 1990 roku „Gazeta Krasnostawska”, o czym zaświadcza jej twórcy - dzisiaj wydawcy „Nestora”.



Koczwisko literackie. Las białecki pod Krasnymstawem w latach siedemdziesiątych. Od lewej: Wacław Gutowski, J.H.Cichosz, A.D.Misiura, T.A.Kiciński, Marta Szuran (Józwiak), fot. Krzysztof Szuran.

Wacław Gutowski

Jego powiodła

Jakoś nie mam teraz do kobiet śmiałości -
Mówi młody mężczyzna do drugiego w złości -
Kiedy piękną dawniej poznałem Alicję,
To nad ranem po mnie wezwała policję.
I tak miałeś szczęście! Wiesz? Bo moja jędrza,
To zaraz mnie rano powiodła do księdza!

Protestacja

Byłeś u dyrektora i wałnąłeś pięścią w biurko?
Byłem i wałnałem - ukochana żonko.
I żądałeś od niego swojej pensji podwyżki?
Żądałem, bo w złości skręcało mi kiszki.
I co na to dyrektor, że nie miałaś racji?
Dyrektora nie było, bo dziś w delegacji.

Już nie

Czy mąż pani jest lunatykiem nadal?
Już nie! - zapłakana żona odpowiada.
A co, może wyleczył się z tego?
Spadł z dachu i zabił się, kolego!

Sąd i oskarżona

Pani włamywacza dotkliwie pobiła.
Sąd chce, aby oskarżona się wytłumaczyła!
Nie chciałam - proszę sądu - robić krzywdy nikomu.
Było ciemno, myślałam, że mąż wrócił do domu.

Sprawny ochroniarz

Wracać z pracy nocą przez las jej się zdarza,
Więc zatrudnia, dla obrony swojej, ochroniarza.
Ochroniarz się sprawuje świetnie - drodzy moi,
Bo przez las już chodzą, od miesiąca, we troje.

Zwraca psa

Tego psa, co kupiłam, już go panu zwracam.
A co, może on węch już, albo słuch zatracą?
Nie... ale tak czekał, że nie słyszałam, panie,
Jak włamywacz obrobił mi w nocy mieszkanie.

Wacław Gutowski**Też zalani**

Wiesz? - mówi do swojej żony pan Ignacy -
Do Atlantydy podobni są wszyscy pijacy.
Przecież dawno zalana jest już Atlantyda.
Właśnie. Na pijakach też to samo widać!

Sąsiada ominął

Za zdradę swojego męża, zazdrosna małżonka,
Mściła się z sąsiadem, aż do wschodu słońca.
Gdy ich wschodzące słońce ciepłem oblewało,
Szepcze sąsiadowi - Jeszcze zemsty mało!
Lecz sąsiad zaspany, tylko ręką skinął
I powiada, ledwie zipiąc - Mnie już gniew ominął!

Reklamowe zalecenie

Kupuj whiskas mała
Będiesz puszystą kotkę miała

Prezent literatowi

Jestem przyjacielem literata młodego
I chciałbym na prezent coś kupić dla niego.
Coś na prezent? - Sklepowa rzecz - proszę,
Mamy na makulaturę nowiuteńkie kosze.

Kobiecina chciała

Kobiecina chciała
Na swędzenie ciała
Leku, panie doktorze,
ale najtańszego może.
Dobrze. Przypiszę drapanie.
To kosztuje najtaniej.

Do przepowiadania

Co, barometr kupiłeś?! - Krzyczy żona młoda.
Tak. Będziemy wiedzieli jaka ma być pogoda.
Całkiem zbędny wydatek! - Żona dalej warczy -
Bo twój reumatyzm też by nam wystarczył!

Wacław Gutowski, *Psołki myślenia*, PKUP,
Chełm 1999, ss.179.

Lidia Jurkiewicz**Miejsce z opowieścią - Baraki**

- Wystarczy popatrzeć na mapę geodezyjną gminy Siennica Różana, a już dysponujemy częstką wiedzy na temat jej mieszkańców - mówi Waldemar Nowosad, przewodniczący Rady Gminy Siennica Różana - Jaki był ich rodowód? Czym się zajmowali? Jak długo zamieszkują te tereny? Otóż ziemia pisze historię sprzed lat.

Rok 1864 przyniósł ogromne zmiany na polskiej wsi. Na mocy ukazu carskiego dokonano uwłaszczenia chłopów. Dotychczasowe obszary dworskie lub rządowe zostały w dużej części rozparcelowane pomiędzy użytkujących je chłopów. Byli to głównie mieszkańcy z dziada, pradziada związani z Siennicą Różaną. Car uwłaszczył również dobra kościelne. Jednak część folwarków pozostała w rękach właścicieli dworu, którzy również z czasem pozbywali się ich, odsprzedając je nowym gospodarzom. I tak w nazewnictwie wsi możemy się doszukać związków własnościowych; Siennica Różana Folwark, Siennica Różana Kolonia, Siennica Różana Poduchowna.

Zainspirowana przeszłością miejsc, domostw i rodzin znalazłam się we wsi Baraki. Od razu padły w mojej głowie pytania: skąd nazwa Baraki?, kiedy powstały?, do kogo należały te ziemie?, kim byli jej mieszkańcy?, czym się zajmowali? Zbliżający się jubileusz 25-lecia zespołu śpiewaczego *Słowianki* z Baraków skłonił mnie, by tam się udać i zgłębić wcześniej postawione pytania. Rozmawiam ze współzałożycielką zespołu, panią Haliną Skibą. Niepostrzeżenie nasza rozmowa z historii *Słowianek* dotyka przeszłości Baraków.

- Ziemię moi rodzice wykupili od banku rolnego, który przejął zadłużone dobra siennickie folwarku, którego właścicielem był Władysław Ostrowski. Mój tatuś - Stanisław Zadrag i jego wujowie - Michał i Franciszek Banaszkiwiczowie to pierwsi mieszkańcy, pierwsi gospodarze wsi, którą trzeba było później jakoś nazwać.

- A dlaczego Baraki?

- Wokół dworu Ostrowskiego, nieco niżej, w pofałdowaniach terenu, z białego kamienia rozciągały się zabudowania gospodarcze, dawniej zwane czworaki i stąd wzięły się Baraki. W 1935 r. na skutek wielkiej burzy czworaki się zawaliły, Baraki zostały do dziś.

- Wszystko, co się dzieje, z nazwy bierze swój początek, a jaki początek miały Baraki?

- Zadłużony folwark wciąż rozparcelowywano. Przybywali nowi gospodarze, wiele rodzin przybyło z Zakręcia (gmina Krasnystaw). Były to

rodziny Laskowskich, Zadragów, Banaszkiewiczów i Kaweckich. Później przybywali inni, odkupując parcele ziemi od tych, którzy przybyli na Baraki wcześniej.

- Źródła podają, że majątek Ostrowskiego liczył 151 hektarów, ile waszej rodzinie przypadło w udziale?

- Należeliśmy do gospodarzy średnio zamożnych, nabyliśmy 20 mórg czyli dzisiaj przeliczając na hektary, to wypada ich 11. Bogatsi byli Laskowscy, którzy zamieszkali we dworze po Ostrowskim. Dziś już go nie ma, gospodarzą tam państwo Wójcikowie.

- Widzę, że pola na Barakach są szerokie, po uprawach sądząc - ziemie urodzajne, teren łagodnie wznosi się i opada, a poza tym rozległe lasy. To wymarzone miejsce dla tych, którzy chcą rozwinąć gospodarstwo. Od czego zaczynał pani ojciec?



Stanisław Zadrag

- Od wiedzy i działania w różnych dziedzinach. Ukończył bowiem średnią szkołę rolniczą w Danii, był członkiem Sejmiku Krasnostawskiego i działaczem ruchu ludowego.

- W książce P. Czuby i J. Wojtala *Walczyli na ziemi krasnostawskiej* czytamy: *Okręgowy Zarząd ZMW w tym okresie stanowili: Stanisław Zadrag - prezes, (...)*. To mowa o pani ojcu? Co wie pani o jego działalności?

- Pierwsze lata niepodległego państwa, a o tych czasach rozmawiamy, wiąże się z ożywionym ruchem społecznym. Szczególnie aktywni byli chłopcy. Mój tatuś działał w Związku Młodzieży Wiejskiej, przecież na zjeździe ludowców poznał moją mamę. Ta organizacja urządzała na wsi świetlice, biblioteki, czytelnice, sceny przenośne. Tatuś był działaczem powiatowym. Dużo mówił i pisał o tym. Był niezłym oratorem, również pisał artykuły na łamach ludowej prasy.

- Powróćmy do gospodarstwa. Jak powstawało?

- Wiem, że było ciężko, ale oczami dziecka widzę sielski krajobraz. Widzę ten dom, tuż obok maliniak, rzędy porzeczek, dookoła obsadzony był czereśniami. Tuż za domem rozciągał się młody sad jabłoniowy z bogactwem odmian. Rosły tam antonówki, złote renety, redeny i grochówki. Były też wiśnie, śliwy, szczególnie - renklody. A wszystko w najlepszym porządku, równo i symetrycznie rozplanowane i zagospodarowane. Tatuś lubił dokładność i skrupulatność. Przypomniło mi się nawet, że prowadził rachunkowość swojego gospodarstwa i skrzętnie notował wszystkie wydatki i przychody. Nawet zakup igły nie uszedł jego uwadze.

- Tak więc nic dziwnego, że gospodarstwo się rozwijało?

- Najpierw zbudowaliśmy dom, składał się z izby, komory i sionki. Potem powstała duża stodoła z dwoma bojownikami oraz duża obora z kamienia. Dachówka na dom i oborę była własnego wyrobu. Na Barakach gliny było pod dostatkiem. Istniała tu cegielnia, która niegdyś należała do Koszarskiego. Tak więc dojne krowy, dwa konie, trzoda chlewna zasiedliły oborę. Trzeba więc było zasiać dużo żyta, uprawiać buraki i koniczynę, by wykarmić inwentarz. Jest rok 1935, pamiętam przyszła burza, która zniszczyła wiele. Zerwała dachy z budynków inwentarskich, obila owoce, trzeba było zaczynać od nowa. W 1934 r. zmarła moja mamusia, miałam wtedy 11 lat. Tato został sam. Potem była mama

Stanisław Zadrag z córką Haliną, lato 1938 rok



Karolina (mówiłam na nią „mama Karola”) - druga żona tatusia. Zamieszkała również z nami ojciec macochy. Dobry był z niego gospodarz.

- Nadal więc rozkwitały sady i rodziło się zboże.



Z prawej Stanisław Zadrag z żoną Karoliną z domu Gulaś. W środku Franciszek Banaszkiewicz, jeden z pierwszych mieszkańców Baraków; z lewej Jan Zadrag brat Stanisława

- Toczyło się życie, ale nie tylko rodzinne. Mieszkańcy wsi zaczęli coraz bardziej odczuwać, że połączyło ich miejsce, w którym żyli, coś na kształt ludzkiej więzi. Szczególnie społecznikowska pasja była bliska mojemu tatusiowi. Trzy lata przed wybuchem wojny zebranie wiejskie wybrało go na wójta gminy Siennica Różna. Wójt wtedy posiadał uprawnienia policyjno-administracyjne i sądownicze. Pamiętam, że tatuś założył straż obywatelską, a kto dopuścił się czynu karalnego musiał odsiedzieć w tak zwanej kozie. Cała wieś była dumna, że z takiej małej społeczności, która nie miała sołtysa, wybrano wójta.

- Jak długo pani ojciec sprawował tę funkcję?

- Minęło dwa lub trzy lata od wyborów, przyszedł rok 1939 i II wojna światowa. Jest 20 września, wczesne popołudnie. Przez wieś Niemcy pędzą mężczyzn. Wcześniej w Siennicy Różnej miało miejsce wydarzenie - otóż ostrzelano niemiecki patrol konny. Zginęło wtedy trzech Niemców. Z zemsty przetrząśnięto wieś Baraki i zastrzelono kilku mężczyzn. Wśród nich znaleźli się: Stanisław Bojarski, Stanisław Jakubiec, Wincenty Jakubiak, Stanisław Kot, Tomasz Kowalski, Franciszek Mielnicki, Piotr Płachetki. Ja byłam świadkiem jak zginął mój tatuś. Akurat wyszliśmy ze schronu, który był pod wiśnią. Tatuś na rękach trzymał Wieśka, młodszego brata, był jeszcze wujek z Księżomierza i brat mamy - Józef Gulaś. Ja stałam obok mamy i pani Laskowskiej, było jeszcze kilkoro dzieci. Nagle trzech Niemców odłączyło się od grupy i zbliżyło się do nas. Rozkazująco wskazuje na tatusia, aby oddał dziecko matce. I nagle widzę Niemców przygotowujących się do strzału: przyklęknięli, nacierowali i strzelili jak do kaczek. Tatuś dostał w

pierś - śmiertelnie. Przewrócił się i upada na wznak. Upada też drugi mężczyzna. Był to Józef Gulaś. Dostał w głowę i upada na twarz - nie żyje. Potem pada trzeci mężczyzna. Okazuje się później, że przeżył. Był to wujek z Księżomierza. Podniósł wtedy głowę i zapytał: *Poszli?* Mama odpowiada: *Poszli*. Podbiega szybko do ojca. On unosi ku niej rękę, która bezwiednie opada, opadają też jego powieki. Całe zdarzenie miało miejsce tu, pod tą jabłoneczką. Tam położyliśmy ciała i przykryliśmy je. Po dwóch godzinach pojawia się dziesięciu Niemców. Pytają: *Gdzie jest Zadrag?* Mama odpowiada: *Zastrzelony*. Niemiec nie rozumie, pyta dalej: *Zabił?* Mama mówi, że tak i pokazuje zakrwawione ręce.

- Co było dalej?

- Zaprzęgliśmy konie i pojechaliśmy na Rudkę, do domu rodzinnego mamy. *Gdzie Stasio? Gdzie Józio?* - padły pytania. *Nie żyją* - odpowiada mama, pokazując zakrwawione ręce.

- Zginął pan Stanisław, ale nie zginęła historia, którą stworzył, która przywiązała wielu ludzi do miejsca przez niego wybranego, nazwanego i ukochanego.

- To miejsce związało też i mnie, i moją rodzinę. Przez lata pielęgnowałam każdy odruch ludzkiej działalności, który służył tej społeczności, zamieszkałej wśród baraczkowych wzgórz. Pełniłam funkcję sołtysa, zakładałam Koło Gospodyń Wiejskich, zespół śpiewaczy *Słowianki*, byłam łączniczką Armii Krajowej.

- Wśród wielu odznaczeń za swoją działalność dla społeczeństwa, jakie pani otrzymała, jedno z nich swoją nazwą bardzo dobrze określa pani postawę wobec niego. Jest to Order Serca Matkom Wsi.

Odwiedzając Baraki i jej mieszkańców, poznając ich historie, poczułam niedosyt wiedzy o czasach sprzed lat, o czasach, kiedy powstawała Polska. Szybko więc wpisałam adres internetowy www.siennica.pl. W zakładce sołectwa odczytałam: *Miejscowość Baraki powstała na przełomie XIX i XX wieku, jako folwark ziemski dóbr Siennica Różana. Nazwa miejscowości pochodzi zapewne od nazwy budynków folwarcznych zwanych barakami. W 1921 roku w folwarku Baraki było 3 domy i 52 mieszkańców. W okresie międzywojennym właścicielem folwarku liczącego 151 ha był Władysław Ostrowski. Obok folwarku istniała cegielnia, a jej właścicielem był J. Konarski.*

Kiedy wracam do tego miejsca, do małej wsi ukrytej wśród wzgórz i lasów, powracam myślą do zdarzeń i widzę, jak widział nasz wieszcz narodowy: *Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju, na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju, stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany.*



Pomnik zamordowanego przez Niemców
Stanisława Zadrąg i Józefa Gofas

Stał również na cmentarzu pomnik zamordowanych z napisem: *śp. Józef Zadrąg wójt gminy tutejszej, żył lat 40 i Józef Gufaś lat 16 zabici 20 IX 1939 r.* Widniała też płaskorzeźba Matki Boskiej okrywającej płaszczem polskiego żołnierza, z napisem: *Królowo Korony Polskiej - módl się za nami.* Niemcy rozbili pomnik, zniszczyli napis i płaskorzeźbę. Zginęło to, co materialne, ale nie zginęło miejsce wraz ze swoją historią. Wciąż tworzy się nowa. Baraczne wzgórza wciąż witają nowych gospodarzy, a nawet i turystów.

Lidia Jurkiewicz

Daniel Piekarus

Powstanie i pierwszy rok działalności krasnostawskiej bezpieki

Wkroczenie na Lubelszczyznę oddziałów Armii Czerwonej wraz z Wojskiem Polskim gen. Zygmunta Berlinga, dało początek procesowi instalacji nowej władzy na terytorium tzw. Polski Lubelskiej. Powstały w ZSRS Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, o którym obwieściło moskiewskie radio w dniu 22 lipca 1944 roku, miał być namiastką „legalnej władzy”. W dniu 26 lipca 1944 roku członkowie PKWN podpisali z przedstawicielami władz sowieckich dwa kluczowe dokumenty, które miały decydujący wpływ na późniejsze wydarzenia w „Polsce Ludowej”. Pierwszy z nich określał pełną swobodę działania oddziałów NKWD na terytorium Polski, co bezpośrednio związane było z dalszym prowadzeniem działań wojennych. Drugi dokument

potwierdzał granice między ZSRS a Polską, według tzw. linii Curzona. Głównym zadaniem przed jakim postawiono członków PKWN, było zorganizowanie od podstaw formacji wojskowo-politycznej mającej za zadanie zabezpieczenie nowej władzy przed atakami i inwigilacją ze strony tzw. reakcyjnego podziemia, będącego pod wpływem polskiego rządu w Londynie.

Wojewódzkie Urzędy Bezpieczeństwa Publicznego i ich prawie wierne kopie na szczeblach powiatowych, wchodzące w skład Resortu Bezpieczeństwa Publicznego podlegały bezpośrednio pod Stanisława Radkiewicza. Na szczeblu wojewódzkim struktura urzędu dzieliła się na trzy zasadnicze części: kontrwywiad, sekretariat i wydział personalny. W skład kontrwywiadu wchodziło osiem sekcji: I - przeciwdziałanie wywiadowi niemieckiemu, II - rozpracowanie partii politycznych i innych organizacji opozycyjnych, III - inwigilacja duchowieństwa, IV - obserwacja, V - prowadzenie poszukiwań osób podejrzanych i ściąganych przez UB, VI - technika specjalna (podśluch), VII - prowadzenie spraw śledczych, VIII - gromadzenie materiałów ewidencyjnych i tworzenie kartoteki operacyjnej. Powiatowa struktura urzędu bezpieczeństwa miała być, przynajmniej w teorii, wierną kopią struktur wojewódzkich. W rzeczywistości braki kadrowe i specyfika poszczególnych powiatów sprawiły, że niektóre sekcje istniały tylko w dokumentacji. Praktycznie każda sekcja w początkowej fazie działalności skupiona była na likwidacji polskich oddziałów partyzanckich. Według schematu struktury organizacyjnej, na czele urzędu stał kierownik. Bezpośrednio podlegała mu Powiatowa Komenda Milicji Obywatelskiej oraz kancelaria. Zastępca kierownika był jednocześnie kierownikiem kontrwywiadu, czyli trzech pierwszych skomasowanych sekcji, określanych mianem grupy kontrwywiadu (sekcja I zajmowała się tzw. podziemiem poniemieckim, volksdeutscheami i współpracownikami władz niemieckich, sekcja II zajmowała się tzw. „andersowcami”, likwidacją podziemia niepodległościowego oraz inwigilowała odradzające się partie polityczne, natomiast do kompetencji sekcji III należało pilotowanie wizyt przedstawicieli obcych państw oraz rozpracowanie nacjonalistów ukraińskich). Bezpośrednio pod zastępcę kierownika urzędu podlegały sekcje: IV - obserwacyjna, VII - śledcza oraz VIII - ewidencja i kartoteka. Sekcje V i VI w początkowej fazie formowania się aparatu bezpieczeństwa nie były tworzone. W kwietniu 1945 roku powołano do życia sekcję Walki z Bandytyzmem (WzB), która wspólnie z sekcją II zajmować się miała rozpracowaniem i fizyczną likwidacją zbrojnych oddziałów niepodległościowych. Następnie WzB zmieniono

na referat III, który podzielono na sekcje: I - walka z bandytyzmem, rozpracowanie UON - UPA, II - sekcja do walki z podziemiem niepodległościowym AK - WiN, III - ds. rozpracowania podziemia narodowego (S. Poleszak, *Narodziny bezpieki. Powstanie powiatowych urzędów bezpieczeństwa publicznego na Lubelszczyźnie od sierpnia 1944 do czerwca 1945 roku*, [w:] „Zwyczajny” resort. Studia o aparacie bezpieczeństwa 1944-1956, pod red. K. Krajewski, T. Łabuszewski, Warszawa 2005, s. 34-38).

Pieczę nad powstawaniem w Polsce urzędów bezpieczeństwa miało NKWD. Według Stanisława Biernackiego, pierwsze przesłanki co do stworzenia polskich organów bezpieczeństwa, pojawiały się już w 1943 roku, zaraz po ujawnieniu zbrodni katyńskiej, Stalin prawdopodobnie rozważał koncepcję powołania polskiej bezpieki, która miała być strukturalną kopią jej sowieckiego odpowiednika - NKWD (S. Biernacki, *Początki kształtowania się Aparatu Bezpieczeństwa w Polsce*, [w:] Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu - Instytutu Pamięci Narodowej nr 34, Warszawa 1992, s. 57). Pogląd ten podtrzymuje Ryszard Terlecki, twierdząc że głównym zadaniem Radkiewicza było scalenie i podporządkowanie specjalnych zmilitaryzowanych oddziałów, przeznaczonych do zadań polityczno-wojskowych. Już od października 1943 roku nadzorował w Biełomotach pod Moskwą formowanie się Samodzielnego Batalionu Szturmowego, który w 1944 roku został przekształcony w Polski Samodzielny Batalion Specjalny. Nad całością prac związanych z wyszkoleniem nowo powstałej formacji wojskowej, czuwali funkcjonariusze NKWD. To właśnie oni objęli w nim stanowiska dowódcze (R. Terlecki, *Miecz i tarcza komunizmu, Historia aparatu bezpieczeństwa w Polsce 1944-1990*, Kraków 2007, s. 10-11).

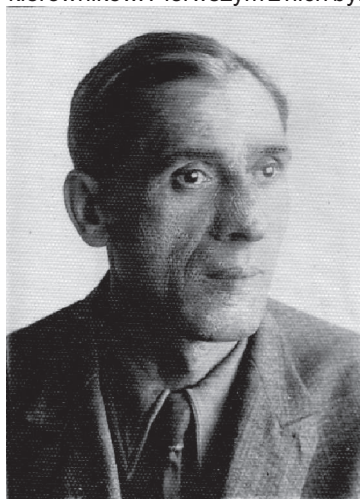
Sytuacja społeczno-polityczna w powiecie krasnostawskim była typowa dla większości powiatów w ówczesnym województwie lubelskim. Działające na przełomie lat 1944/45 liczne grupy partyzanckie AK i BCh utrudniały aklimatyzację przedstawicielom i sympatykom „nowej władzy”. Zestawienie statystyczno-opisowe za rok 1944, odnalezione w archiwum IPN, zawiera opis formowania się urzędu bezpieczeństwa w Krasnymstawie w następujący sposób: *W pierwszych dniach sierpnia 1944 r. z Resortu Bezpieczeństwa przy PKWN w Lublinie, z polecenia tow. Orehwy do Krasnegostawu zostaje skierowany tow. Oleksa, b. członek KPP, PPR i AL, w celu zorganizowania Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.*

Po przyjeździe do Krasnegostawu tow. Oleksa zastaje tam już kilku ludzi członków PPR i AL, którzy wcześniej rozpoczęli przygotowania do zorganizowania Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Do tych towarzyszy należeli: Król Gustaw, Kozioł Albin, Heleniak Stefan, Romanek Władysław, Smoleń Mieczysław i Opaliński Jan. Przychodzą oni do organizującego się Urzędu prosto z oddziałów partyzanckich AL. Dołączają do nich Huszcza Jan, Glinka Władysław, Bazyl Bronisław, Pop Bronisław, Szłapa Józef i Mochejski Ludwik. Większość z nich to członkowie PPR i AL. Wymienieni towarzysze stanowili trzon aparatu, który od pierwszych dni na wezwanie PKWN stanął do walki o zdobycie i utrwalenie władzy ludowej (...) Na pomieszczenia dla siedziby powiatowego urzędu wytypowano budynek, w którym kompletnie brak było sprzętu biurowego. Pracownicy byli skoszarowani w prowizorycznie zorganizowanym hotelu, a po jego likwidacji - w pokojach biurowych urzędu. Za pierwsze miesiące pracy nie było żadnego wynagrodzenia, które dopiero w 1945 r. zaczęto pracownikom wypłacać. Kompletny brak umundurowania zmuszał pracowników do noszenia swoich nie zawsze dobrych ubrań. Pierwsza broń to ta, którą przynieśli ze sobą członkowie AL. Ważnym zagadnieniem była też sprawa wyżywienia dla pracowników, którzy byli skoszarowani, a więc musieli otrzymywać całodzienny wikt. Z uwagi na trudności aprowizacyjne, nieraz głód zaglądał im w oczy. To jednak były początki. Nikt tym się nie zrażał, nie było na to czasu. Praca w tych pierwszych miesiącach trwała niemal dzień i noc. Szczupła liczba pracowników nie mogła podołać obowiązkowi jakie należało w tym okresie wykonać (AIPN Lu, sygn. 042/2, k. 1-2).

Początkowo urząd bezpieczeństwa zlokalizowany został w budynku przy ulicy Głównej 11, a następnie przeniesiono go do innego budynku, który posiadał bezpośrednie wejście do osławionych krasnostawskich lochów (ul. Główna 34). Co więcej, od sierpnia 1944 roku podporządkowano UB więźniem przy ul. Okrzei (J. Romanek, *Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Krasnymstawie w latach 1944-1948 - powstanie i zarys działalności*, [w:] *Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Krasnymstawie w latach 1944-1956*, pod red. J. Romanek, Lublin 2008, k. 16). Wg sprawozdania za okres do 31 grudnia 1944 roku, w urzędzie bezpieczeństwa pracowało już 38 pracowników. W pierwszym kwartale 1945 roku stan pracowników PUBP w Krasnymstawie wynosił 22 zatwierdzone osoby, a reszta czekała na zatwierdzenie.

Widoczny wzrost zatrudnienia nastąpił wraz z reorganizacją urzędu w styczniu 1945 roku i osiągnął stan 49 pracowników. De facto, już w lutym 1945 roku krasnostawska bezpieka posiadała 54 pracowników, a na kontakcie UB zarejestrowano 43 agentów i 112 informatorów.

Trudności w rozwoju krasnostawskiej bezpieki, przynajmniej na jej początkowym etapie, wynikały z dwóch głównych przyczyn. Pierwszą z nich była słabo wykształcona kadra, zwłaszcza kierownicza. Świadczy o tym fakt, że do reorganizacji aparatu bezpieczeństwa tj. do początków stycznia 1945 roku, przez PUBP w Krasnymstawie przewinęło się aż trzech kierowników. Pierwszym z nich był Jan Kaliszczuk



Jan
Kaliszczuk

(vel Kaliszczak, s. Pawła, ur. 21.01.1897 roku we wsi Krasne, gm. Pawłów. Narodowość polska, wyznanie rzymskokatolickie, pochodzenie społeczne robotnicze. Podoficer Armii Czerwonej w latach 1919-1922. Uczestnik wojny domowej w Rosji, w obozie czerwonym. Od 1919 członek WKP (b), ukończył Komuniwersytet - AIPN Lu, sygn. 0287/129, Akta osobowe Jana Kaliszczuka), rzekomo zwolniony z urzędu z powodu bardzo złych wyników w pracy, zwłaszcza niskiej wykrywalności. Prawdziwym powodem zwolnienia Kaliszczuka był konflikt, w jaki wdał się z żołnierzami Armii Czerwonej, którzy bezprawnie konfiskowali mienie miejscowej ludności. Otwarcie określał ich mianem „wyrzutków społeczeństwa w mundurach żołnierzy sowieckich” (AIPN Lu, 0287/129, Akta osobowe Jana Kaliszczuka, k. 8). Dodatkowo napiętą sytuację podgrzewał otwarty konflikt ze swoim doradcą, oficerem sowieckim „Wasilewskim” (prawdopodobnie prawdziwe nazwisko Gorgułow). Z relacji Kaliszczuka wynika,

że enkawudzista, oskarżając o współpracę z Niemcami, jawnie okradał zamożne osoby (S. Harasimiuk, *Trzynastu*, Lublin 1994, s. 35-36). Pod wymagowanym zarzutem negatywnego stosunku względem narodu rosyjskiego, został aresztowany przez NKWD i osadzony na Zamku w Lublinie. Po wyczerpującym śledztwie został wywieziony w głąb ZSRR, do obozu w Igolsku. Na jego miejsce zatrudniony został Gustaw Król (s. Władysława, ur. 15.11.1918 roku w Chłaniowie, gm. Żółkiewka. Narodowość polska, wyznanie rzymskokatolickie, pochodzenie społeczne rolniczo-rzemieślnicze. Ukończył 7 klas szkoły powszechnej. Członek dowództwa powiatowego AL o ps. „Cygan”, do PPR wstąpił w kwietniu 1943 roku. Od 01.11.1944 roku - kierownik PUBP w Krasnymstawie. Zwolniony ze służby w dniu 01.01.1945 rzekomo z powodu gruźlicy - AIPN Lu, sygn. 0287/180, Akta osobowe Gustawa Króla), został wydany z UB za niewłaściwy stosunek do pracy. Oficjalną przyczyną, która doprowadziła do odwołania Króla z funkcji kierownika urzędu, było powszechne pijaństwo. Przeprowadzona inspekcja dowiodła, że w dniu 11 listopada 1944 roku, Król zorganizował libację alkoholową w budynku UB (w świetlicy). Podczas imprezy, w atmosferze alkoholowych uniesień i awantur doszło do procedury podziału funkcji i obowiązków służbowych (AIPN Lu, sygn. 042/2, k. 23 - 24). Współpracownik WUBP w Lublinie - Henryk Gryta, w swoim sprawozdaniu z pobytu na terenie powiatu krasnostawskiego stwierdził dobitnie, że praca tutejszego urzędu bezpieczeństwa jest nie do zaakceptowania, ponieważ była sparaliżowana brakiem zorganizowanej sieci agenturalnej. Uniemożliwiał to skuteczne działanie grup operacyjnych, zwłaszcza w gminach, gdzie „reakcyjne” podziemie wraz z antagonistycznymi względem nowej władzy partiami politycznymi (PSL, środowisko PPS-WRN), miało szerokie wpływy. Dlatego też polecono kierownikowi UB, Gustawowi Królowi, zabezpieczyć zaufanymi i sprawdzonymi w działaniu agentami zwłaszcza gminy: Siennica Różana, Rybczewice, Fajslawice i Zakrzew. Król stwierdził, że ma odpowiednich ludzi, którzy mieli już następnego dnia zająć stanowiska we wspomnianych gminach. Bardzo dużo zastrzeżeń wysunięto względem organizacji administracyjno-prawnej urzędu. Pracownicy, bez kompetencji i wiedzy, nie potrafili przez długie miesiące skutecznie prowadzić spraw operacyjnych. Zły stan budynku oraz słabe jakościowo wyposażenie (brak zamkniętych biur i szaf aktowych), rzutowały na niską skuteczność działania krasnostawskiej bezpieki. Tajna dokumentacja wytwarzana przez urząd nie była zabezpieczana. Stan personalny jak i morale funkcjonariuszy nie pozostawiały złudzeń co do złego stanu instytucji: *Kierownik PUBP Król nie interesuje się wcale pracą urzędu. Prosiłem go*

kilkakrotnie o listę reakcjonistów za okupacji na terenie miasta, jednak takowej nie otrzymałem. Twierdzi on, że przymusowo pracuje w PUBP i że za dwa tygodnie przenosi się do PPR (...) Pracownicy PUBP nie chcą pracować w tej instytucji i tak: zast. kier. PUBP idzie w przyszłym tygodniu do wojska, kier. sekcji VIII Mochejski Ludwik przeniósł się do Lublina do PPR, maszynistka urzędu Zulinczuk Luba zwolniła się dzisiaj z pracy i wyjechała prawdopodobnie do Moskwy, funkcjonariusz PUBP Bazyl Stanisław stara się o przeniesienie do żandarmerii [...] (AIPN Lu, sygn. 042/2, k. 15-16).

Teza o rzekomej chorobie Króla, która nie pozwalała mu na kierowanie urzędem, nie oddaje do końca ówczesnej rzeczywistości w krasnostawskiej bezpiece. Dokładna analiza materiałów źródłowych pozwala stwierdzić, iż przesłanką do usunięcia kierownika, był jego otwarty konflikt ze swoim zastępcą Mikołajem Oleksą. W piśmie do sekretarza obwodowego komitetu PPR w Lublinie, Gustaw Król podał prawdziwe przyczyny odejścia z pracy. Jasno nakreślił panujący w PUBP konflikt między funkcjonariuszami pochodzenia ukraińskiego na czele z Oleksą a Polakami. Według Króla, zarówno Kaliszczuk jak i Oleksa starali się skupiać wokół siebie osoby o narodowości ukraińskiej. Sytuacja zaostriżyła się do tego stopnia, że funkcjonariusze pochodzenia polskiego, podjęli próbę dezercji z urzędu. W dniu 18 marca 1945 (o godzinie 5 rano), w pełni uzbrojona dziesięcioosobowa grupa opuściła budynek UB. Potwierdzeniem powyżej wspomnianej sytuacji mogą być słowa kpr. Albina Kozła, który oznajmił, że *odkąd będą rządzić Żydzi, Sowietci i Ukraińcy, to nie będą pracować Polacy* (AIPN Lu, sygn. 0287/180, Akta osobowe Gustawa Króla, k. 6). Król twierdził, że do Mikołaja Oleksy bardzo negatywny stosunek miał też sekretarz Powiatowego Komitetu PPR, Konstanty Krasowski, twierdząc że: *nigdzie go [Oleksy] nie chcą, że tutaj chce się usadowić,*



Mikołaj Oleksa

że ja [Gustaw Król - dop. D.P.] nie mam zielonego pojęcia, co to są za ludzie, że jeśli tacy ludzie będą pracować, to on nie chce widzieć Krasnegostawu i znać (AIPN Lu, sygn. 0287/180, Akta osobowe Gustawa Króla, k. 10). Z wyżej wymienionych przyczyn, Król zrezygnował z pełnionej funkcji.

Kierownictwo urzędem objął z dniem 1 stycznia 1945, Mikołaj Oleksa (s. Marka, ur. 17.05.1911 roku w Ostrowie, gm. Rakolupy. Narodowość ukraińska, bezwyznaniowy, pochodzenie społeczne chłopskie. Ukończył 6 klas szkoły powszechnej, z zawodu kołodziej. Członek KPZU, od 1932 działacz KPP do momentu likwidacji partii i aresztowania. Następnie działacz PPR i PZPR. Podczas okupacji był oficerem żywnościowym AL, o ps. „Zbyszek”, „Bynio” - AIPN Lu, sygn. 028/2044, Akta osobowe Mikołaja Oleksy). De facto, od samego początku podjął próbę usunięcia z pracy funkcjonariuszy sympatyzujących z dawnym kierownikiem.

Dużym problemem dla WUBP były silne powiązania funkcjonariuszy UB jak i MO ze „środowiskami reakcyjnymi”. Nie inaczej było w Krasnymstawie, gdzie zwłaszcza obsada więzienia (niektórzy wartownicy) sympatyzowała z podziemiem. W raporcie z dnia 30 listopada 1944 roku adresowanym do majora Szota, inspektor WUBP stwierdza, że za ucieczkami aresztantów stoją wartownicy tutejszego więzienia zatrudniani na te stanowiska, mimo że w większości są dezertierami z Wojska Polskiego. Inspektor WUBP stwierdza wprost, że kierownik tutejszego Urzędu, przy zatrudnianiu ludzi do służby wartowniczej kieruje się niezrozumiałym sentymentem do AK i BCH: *Jest to dotychczas niespotykanym jeszcze zjawiskiem, aby dezertjerzy, którzy są przestępcami, pełnili służbę i pracowali w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego - którego zadaniem jest unicestwiać przejawy przestępczości i przekazywać w ręce sprawiedliwości [przestępców (sic!) - przyp. D.P.]* (AIPN Lu, sygn. 052/2, k. 23). Co więcej, współpracownik WUBP Henryk Gryta, powołując się na poufną rozmowę z kierownikiem PUBP stwierdził, że komendant MO Radecki spotykał się z przywódcami Armii Krajowej m.in. z dowódcą regionu 633 „Jeżem” oraz „Jadźwingiem” i „Gniewoszem”. Wspomniane spotkanie odbyło się w miejscowości Wiśniów, gm. Gorzków, na którym (według oświadczenia referenta sekcji śledczej, Huszczy) mieli być obecni także pracownicy urzędu bezpieczeństwa. Radecki umyślnie utaił termin spotkania. Prawdopodobnie chodziło o wyprawienie oddziałów leśnych, które co jakiś czas prowadziły akcje zbrojne przeciwko „nowej władzy”. Przykładem może tutaj być oddział Józefa Śmiecha „Ciaga”, który w nocy z 6 na 7 maja 1945 roku rozbił posterunek MO w Kraśniczynie, lub atak

na posterunek MO w Żółkiewce, podczas którego zabrano broń, sprzęt biurowy oraz dokumentację. Trzeba zaznaczyć, iż członkowie podziemia zaraz po wkroczeniu Armii Czerwonej na tereny powiatu krasnostawskiego, usiłowali przejąć kontrolę w powiecie. W wyniku chaosu i początkowej dezinformacji NKWD akcja ta zakończyła się powodzeniem. Bolesław Kukielka ps. „Janusz” (dowódca oddziału partyzanckiego AK) zaczął nawet organizować ekspozyturę policyjną, lecz po coraz większym napływie komunistów do miasta musiał się wycofać.

Według raportów przesyłanych do WUBP sytuacja społeczno-polityczna pod koniec 1944 roku ulegała stabilizacji. Jednakże gmina Łopiennik ciągle opanowana była przez AK. Zła sytuacja panowała także w gminie Wysokie, gdzie silne wpływy byłych bechowców utrudniały pracę milicji (zastraszeni funkcjonariusze nie raportowali o żadnej działalności opozycyjnej). Funkcjonariusze krasnostawskiej bezpieki tylko do końca 1944 roku aresztowali 196 osób (w ciągu pięciu miesięcy działalności, daje to średnio 39,2 aresztanta na miesiąc). Aresztowania odbywały się najczęściej za następujące przewinienia: morderstwo - 7 osób, przynależność do reakcyjnego podziemia - 84 osoby, zbrodniarze wojenni i volksdeutsche - 47 osób, obszarnicy - 1 osoba, nielegalne posiadanie broni - 27 osób, dezertrzy - 16 osób, inne bliżej nieokreślone zatrzymania - 14 osób (AIPN Lu, sygn. 042/2, k. 4). Żołnierzy podziemia niepodległościowego oraz ich współpracowników wtrącano do lochów znajdujących się pod miastem, poddając wymyślnym torturom m.in. tzw. płukaniu nosa, czyli wlewaniu wody w nozdrza. W prowizorycznych, zagrzebionych celach przetrzymywano aresztantów zazwyczaj przez okres dwóch tygodni. Lochy były etapem między aresztowaniem, a „prawomocnym wyrokiem” i ostatecznym osadzeniem skazanego w więzieniu. Po wielogodzinnych bestialskich przesłuchaniach, nieprzytomnego więźnia wrzucano do wspomnianych lochów, gdzie niejednokrotnie konał na rękach swoich kolegów. Stanisław Kardyka, mieszkaniec Kol. Giełczew swój pobyt w krasnostawskich lochach zrelacjonował w następujący sposób: *Zostałem wtrącony przez strażnika do lochu, gdzie było już ponad 30 osób. Ilość lokatorów ciągle się zmieniała, gdyż co kilka dni po przesłuchaniu formowano czwórki i odprowadzano do więzienia. W lochu przy schodach ustawione było drewniane naczynie o pojemności około trzech wiader. Był to tzw. „kibel” służący do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Codziennie o 6.30 rano, dwóch aresztantów wynosiło kibel, oplukując go wodą. Była to jedyna okazja, kiedy można się było napić do woli wody ze studni. W wodzie maczało się ubranie, które po powrocie do lochu wysysali najbardziej spragnieni. O godz. 7.00*

*przynoszono dwa dzbanki kawy zbożowej bez cukru i tyle było państwowego wikt. Na głód jednak nikt nie narzekał, bowiem znajomi i rodziny przesyłali paczki żywnościowe. Można było podawać różnego rodzaju żywność, ale do lochu docierały tylko: chleb, smalec i cebula. Wędliny gdzieś po drodze ginęły. Poza tym, siostry zakonne z opaskami PCK codziennie dostarczały żywność i kawę zbożową. Ubowcy bardzo „uprzejmie” obchodzili się z zakonnicami. Często powtarzały się słowa zaczynające się na k... i p... Zakonnice obelgi te znosiły ze stoickim spokojem. Jedynymi naczyniami w lochu były puszki po konserwach. Najgorsze było pragnienie, jednak dostarczana kawa była dzielona przez samych „kryminalistów” równomiernie. W lochu była tzw. żelazna porcja wody w 2 naczyniach napełnianych codziennie przy okazji wynoszenia kibla. Wody tej nikomu nie wolno było ruszać, a przeznaczona była dla tych, którzy wracali z przesłuchania. Jakiś litościwy ubowiec podrzucił czasem wiązkę słomy, na której leżeli ci, którzy o własnych siłach nie mogli wrócić z przesłuchania, a wracali z rozbitymi nosami, powybijanymi zębami, pokaleczonymi palcami, a nawet z połamanymi żebrami. (S. Kardyka, *Lochy UB - list*, [w:] *Gazeta Krasnostawska*, nr 3, 1990 r., s. 4). Terror stosowany wobec zatrzymanych, zwłaszcza byłych członków AK i WiN, nasilał się proporcjonalnie do lokalnych incydentów, jakie występowały w danym okresie w powiecie. Dla przykładu - 19 maja 1945 roku, w miejscowości Czysta Dębina k. Gorzkowa, doszło do potyczki funkcjonariuszy krasnostawskiej bezpieki z oddziałem AK dowodzonym przez Zygmunta Kuncewicza „Podkowę”. Funkcjonariusze UB zostali zaatakowani przez partyzantów, ostrzelanych przez przychylnych im mieszkańców. Zaskoczeni silnym oporem ubecy ponieśli dotkliwie straty. Zginęło dwóch funkcjonariuszy, a kilku zostało ciężko rannych. Oddział partyzancki przemieścił się do wsi Kolonia Czysta Dębina, wiedząc dobrze, że mógł liczyć na przychylność mieszkańców. Już w nocy z 20 na 21 maja bezpieka (przy pomocy milicji i prawdopodobnie KBW) dokonała pacyfikacji Kolonii Czysta Dębina w odwecie za pomoc, jaką mieszkańcy wioski udzielili partyzantom. Miejscowość została doszczętnie spalona (W. Danielak, *Śledztwo po półwieczu*, [w:] *Prawo i życie*, nr 34, 1994 r., s. 14-15). Według śledztwa [S. 126/01/ZK] prowadzonego przez Oddziałową Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu - IPN, potyczka oddziału „Podkowy” z UB miała miejsce w dniu 23 maja, natomiast odwet bezpieki nastąpił 25 maja 1945 roku. Podczas pacyfikacji wsi, funkcjonariusze UB niszczyli dobytek rolników, strzelali do kobiet i dzieci, jednakże w raportach stwierdzili, że to oddział*

„Podkowy”, wycofując się detonował beczki z amunicją i spirytusem, czym dokonał podpalenia miejscowości (AIPN Lu - 042/3, k. 53). Było to oczywiście wierutnym kłamstwem. Wspominany już Stanisław Kardyka, który w okresie opisanej pacyfikacji był przetrzymywany w lochu (12-26 maja 1945 roku) wspomina: *W czasie jednego z polowań na akowców w okolicach Czystej Dębiny k. Gorzkowa, UB spotkało się z „bandą”, która im trochę skórę przetrzepała. Po powrocie z tego polowania (19 maja 1945 r.) zaczęło się ogólne bicie mieszkańców lochu. Ubowcy wyprowadzali po kilku i nie zadając żadnych pytań walili gdzie popadło [...] (S. Kardyka, *Lochy UB - list*, [w:] *Gazeta Krasnostawska*, nr 3, 1990 r., s. 4).*

Dużym problemem dla krasnostawskiego urzędu bezpieczeństwa okazała się także masowa dezercja 31. Pułku Piechoty stacjonującego w Białce k. Krasnegostawu. W nocy z 12 na 13 października 1944 roku, prawdopodobnie 667 żołnierzy pochodzących w większości z powiatu krasnostawskiego opuściło oddział, zabierając ze sobą broń. Powołując się na raporty UB, przyczyną dezercji był reakcyjny światopogląd dowódcztwa pułku oraz „akowskie korzenie wielu żołnierzy”. Przy pomocy Rosjan, rozpoczęto na szeroką skalę akcję wyłapywania dezertów. W krótkim czasie zatrzymano 161 osób. Żołnierzy, którzy dobrowolnie zgłaszali się na posterunki, wcielano do oddziału formowanego przy 2. Armii Polskiej (AIPN Lu, sygn. 042/2, k. 12). Często podejrzanych o dezercję wysyłano najpierw do Rejonowej Komendy Uzupełnień. Pracownicy RKU byli w dużej mierze byłymi akowcami, dlatego chętnie pomagali „ochotnikom” unikającym służby w WP. Dużą rolę w RKU odegrał dr Pawłowski z Izbicy oraz sekretarz Repeć ps. „Wilga” (były członek AK). Funkcjonariusze UB dostarczali do ekspertyzy często szeregowych żołnierzy AK, BCh czy NSZ, jednakże znaczone igłą lub kropką dowody osobiste, pomagały członkom RKU szybko rozpoznać „swoich” i wydawać zaświadczenia o niezdolności do służby w wojsku. Autentycznych ochotników członkowie komisji zniechęcali mówiąc: *Nie ciśnijcie się głuptasy, jeszcze nie czas na was, nam każą my robimy, lecz jak będzie czas to my was zabierzemy* (AIPN Lu - 042/3, k. 29). Jeszcze wtedy środowiska antykomunistyczne wierzyły, że sytuacja polityczna ulegnie zmianie. Tymczasem, do końca listopada 1944, funkcjonariusze krasnostawskiego UB odstawili do Lublina 110 dezertów, jednakże 28 nadal pozostawało w więzieniu. Wielu dezertów znalazło schronienie w lasach, przyłączając się do resztek oddziałów partyzanckich, a ci którzy dali się złapać powiększali grono aresztantów lub ginęli podczas łapanek.

Na zebraniu kierowników Powiatowych Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego, por. Pałka, dokonując podsumowania pierwszego roku pracy, dobitnie stwierdził: *My jeszcze nie stoimy na takim poziomie, na jakim powinniśmy stać. Zauważa się we wszystkich Urzędach Pow[iatowych] brak planu pracy i podziału tejże między sekcje. Praca jest luźna. Urzędy Bezpieczeństwa nie biorą udziału w zebraniach i obradach Gminnych, Miejskich i Powiatowych Rad Narodowych, przez co nie mają dokładnego obrazu nastroju różnych ugrupowań. Ogólnie wywiad stoi na niskim poziomie, agentura jest słabo rozwinięta* (AIPN Lu - 055/1, k. 27). To prawda, nie stali jeszcze na poziomie jaki zadowalałaby MBP, jednakże sukcesywnie rozbudowywana sieć agenturalna pozwalała bezpiece na coraz śmielsze poczynania względem politycznej opozycji. Taki stan rzeczy doprowadził z czasem do całkowitej likwidacji podziemia niepodległościowego oraz PSL - największego konkurenta komunistów na scenie politycznej.

Post scriptum:

Działalność krasnostawskiego Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego nie jest jeszcze dogłębnie poznana. Setki jednostek archiwalnych, jakie wytworzyła bezpieka na przestrzeni ponad 12 lat działalności (do reorganizacji, która nastąpiła w 1956 roku) stanowią bogaty materiał badawczy dla historyków pragnących zgłębić wiedzę na temat cywilnych organów bezpieczeństwa publicznego. Powyższy artykuł został opracowany na bazie materiałów archiwalnych zgromadzonych w lubelskim IPN, oraz wykorzystano oryginalne fragmenty z książki „Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Krasnymstawie w latach 1944-1956” pod red. dr. Jacka Romanka, za wcześniejszą zgodą autora.

Daniel Piekaruś

KSIAŻKI NADESŁANE

- *W nauce życia* (antologia poezji), Koło Literatów Polskich im. Zbigniewa Herberta, WEKTORY, Wrocław 2009, ss. 196;
- Edward Franciszek Cimek, *Krople słońca*, wiersze, Polianna, Krasnostaw 2009, ss. 40;
- Małgorzata Łobejko, *Trakty niespokojne*, wiersze, Chełmska Grupa Literacka „Lubelska 36”, Chełm 2009, ss. 88, il. 1;

A kim ja byłam? Byłam tylko sanitariuszką u „Łupaszki”...

Tak o sobie, mówi Pani Lidia Lwow-Eberle.



Lidia Lwow.

Nikt by nie podejrzewał, że ta skromna osoba to podporucznik czasu wojny, sanitariuszka 5. Wileńskiej Brygady AK, w działaniach tego oddziału na Białostocczyźnie, Podlasiu, Mazurach i Pomorzu przydzielona do szwadronu „Lufy”, wieloletnia towarzysząca życia majora Zygmunta Szendzielarza - „Łupaszki”, odznaczona Krzyżem Walecznych za bohaterstwo w walkach na Wileńszczyźnie, skazana na dożywotnie więzienie, z którą przeprowadziłem dwie (w sierpniu 2006 roku oraz styczniu 2007 roku) długie rozmowy, a ich efekt możecie Państwo przeczytać poniżej:

- Zaczniemy od początku czyli od Pani najwcześniejszych wspomnień.

- Urodziłam się w dwudziestym roku w Rosji, w miejscowości Płos na północny-wschód od Moskwy.

- Jakie są Pani korzenie, Pani rodzina?

- Rosyjskie. Prababka ze strony ojca była Polką. Matka ojca czyli moja babka, też - z domu Dobrowolska. Jej rodzina miała majątki na kresach - w okolicach Bobrujska, Pińska, Łucka.

- Członek Pani rodziny był pierwszym premierem rosyjskim po abdykacji cara?

- Był to kuzyn dziadka - księżę Jerzy Lwow. Był „kilkumiesięcznym” premierem.

- Rozumiem, że gdy nastąpiła czerwona zaraza, cała rodzina musiała ewakuować się do Polski?

- Tak. Ale przyjechaliśmy dopiero w kwietniu 1921 roku. Tylko i jedynie dlatego, że ojciec urodził się na terenie Polski (w ówczesnych granicach - przyp. G.P.), bo ojciec urodził się w Równym, i dlatego rodzice otrzymali zgodę na opuszczenie terytorium Rosji Sowieckiej. Podróż ta też była „urozmaicona”. Ojca na granicy bolszewicy wsadzili do więzienia. Dopiero interwencja znajomego starosty, pana Okołowa-Okulicza, doprowadziła do jego zwolnienia. Ja miałam wtedy pół roku.

- Osiedliliście się Państwo w okolicach Równego?

- Nie. Do 1936 roku mieszkaliśmy w Nowogródku, gdzie czasowo przebywali dziadek z babcią. Później, gdy byłam w piątej klasie gimnazjum, ojciec zmienił miejsce pracy i dlatego przeprowadziliśmy się nad Narocz, nad to wielkie jezioro, do małego miasteczka Kobylnik. Gimnazjum skończyłam w Święcianach w 1938 roku. Potem rok byłam na prawie, na Wileńskim Uniwersytecie Stefana Batorego, a potem wybuchła wojna.

- Kiedy wstąpiła Pani do Armii Krajowej?

- Do partyzantki dostałam się w 1943 roku i od tego czasu już byłam w konspiracji do aresztowania w czerwcu 1948 roku.

- Jaki oddział był Pani pierwszym?

- Oddział „Kmicica” (por. rez. Antoni Burzyński) - pierwszy polski oddział partyzancki na Wileńszczyźnie, utworzony w marcu 1943 roku. To ten, który rozbroili sowieccy partyzanci „Markowa”, a następnie rozstrzelali dziewięćdziesięciu naszych żołnierzy. Ja właśnie tam byłam.

- Czyli w załączkach 5. Brygady?

- Tak.

- Pani była wtedy sanitariuszką?

- Wówczas, „na bazie”, kobiety pracowały w kuchni, pełniły funkcje sanitariuszek, nie brały udziału w akcjach zbrojnych. Szpital i baza zimowa dopiero się budowały.

- Jak Pani się udało uciec z tej pułapki?

- Nie - ja nie uciekałam. Po rozbrojeniu, siedziałam z „Kmicicem” i jeszcze jednym młodym człowiekiem, którego „Kmicic” podejrzewał, że był konfidentem, w jednej ziemiance. Z tej ziemianki wyprowadzili „Kmicica” w jego ostatnią drogę... Jak później

powiedziała zapytana przeze mnie białoruska kobieta, która pracowała w kuchni na bazie „Markowa”: „poprowadzili go w kierunku bazy litewskiej, a tam zawsze rozstrzeliwują”. Ja też byłam przesłuchiwana. Wiele lat później miałam możliwość przeczytać protokół z tego przesłuchania. Oczywiście to wszystko było w języku rosyjskim. Gdy zabrali „Kmicica”, przesiedziałam jeszcze w tej ziemiance całą noc, a następnie zdjęto wartę i powiedziano: „Ty jesteś wolna, możesz wracać do swoich!” Znalazłam się w trudnej sytuacji, bo nie znałam tego terenu i nie wiedziałam dokąd iść, aby wrócić „do swoich”. Nasz oddział otrzymał nowe, całkowicie podporządkowane Sowiecom dowództwo. Po wspólnej z sowiecką partyzantką akcji, jeden z plutonów postanowił wyjść i więcej nie wracać na bazę. Dowódcą tego plutonu był „Kitek”. Z nimi właśnie się „zabrałam”. Chcieli nawiązać kontakt z „Łupaszka” i nawiązali go.

- I potem była Pani cały czas u majora „Łupaszki”?

- Tak. Cały czas.

- Znała Pani Zygmunta Szendzielarza - „Łupaszkę” wcześniej?

- Nie. Nie znałam. Dopiero gdy dołączyliśmy do niego, każdego z nas przesłuchiwał, między innymi również mnie. Powiedział, że „... żadnej kobiety w jego oddziale nie ma” i że „nie jest to miejsce odpowiednie dla kobiety”. Stwierdził też, że bym wróciła do rodziny. Gdy odpowiedziałam, że jak wrócę to albo Sowietci, albo Niemcy mnie rozstrzelają, „Łupaszko” zatrzymał mnie w oddziale. Byłam pierwszą i dopiero potem zaczęły przybywać następne.



Sanitariuszki V Brygady Wileńskiej, trzecia z prawej - Lidia Lwow „Lala”. Przed szeregiem - rtm. „Łupaszko” (wiosna 1944 roku).



Ks. Aleksander Grabowski „Ignac”, kapelan V Brygady i Lidia Lwow „Lala” (wiosna 1944).

- Przeszła więc Pani cały szlak 5. Brygady i brała udział w jej akcjach bojowych?

- Tak. W wielu. Byłam ranna pod Worzianami, w naszej największej bitwie z Niemcami na Wileńszczyźnie. Zostałam trafiona, gdy zgodnie z rozkazem, pobiegłam po amunicję. Bitwa trwała cztery godziny. Z naszej strony poległo 19 chłopaków, a rannych było sześciu. To było zimą. Później na Podlasiu, w 1945 roku, też w wielu akcjach uczestniczyłam. Natomiast w 1946 roku nie było tych akcji zbyt dużo. Jednak „Żelazny” (por. Zdzisław Badocha) wykonał ten słynny rajd, podczas którego rozbroili szereg posterunków MO i placówek UB. Nie brałam w nim udziału - szliśmy z „Łufą” na Podlasie. „Jachna” też nie - ona była u „Zeusa”. W tej akcji uczestniczyła „Inka” (Danuta Siedzikówna), która była przecież sanitariuszką „Żelaznego”.

- Rozumiem, że podczas cofania się brygady przed Sowietami w 1944 roku, na trasie Wileńszczyzna - Białostockie była Pani obecna?

- Cały czas. Po rozwiązaniu brygady, koło Porzeczna, szliśmy małą, szesnastoosobową grupą. Zatrzymaliśmy się najpierw koło Wołkowyska, a potem w okolicach Świsłoczy. Tam też „Łupaszko” nawiązał przerwany kontakt z miejscową siatką, a następnie z komendantem Okręgu Białostockiego.

- Jak wyglądało odtwarzanie brygady po wycofaniu się za tzw. Linię Curzona?

- Tak jak mówiłam, „Łupaszko” nawiązał kontakty z miejscową siatką, która rozmieściła nas w rejonie miejscowości Jałówka i Kituryki. Cały czas przyjmowani byli partyzanci, którzy małymi grup-

kami przechodzili z Wileńszczyzny w Białostockie oraz przyjmowani byli ludzie miejscowi, którym ziemia „palila się pod stopami”. Kiedyś zostałam wysłana do Białegostoku, aby nawiązać kontakt z komendantem obwodu. Miałam się zgłosić do jego łączniczki, a tam był kocioł. Wróciłam do „Łupaszki”, który czekał na peryferiach Białegostoku. Dalej wracaliśmy ciężarówką, za butelkę wódki, z powrotem do Kituryk. Po drodze była taka miejscowość Królowa Most i tam był wojskowy punkt kontrolny. Nawet nie pamiętam czy prosili mnie o dokumenty, ale dokument „Łupaszki” się im nie podobał i kazali mu zejść z samochodu. „Łupaszko” miał na brzuchu pistolet, którego chciał się pozbyć. Zapytał czy może na stronę, ale powiedziano mu, że potem. Jak się okazało, nie podobało im się, że dokument napisany był tylko po polsku. Gdy go obszukiwano, ja wtedy po rosyjsku powiedziałam: „Jeśli wam człowiek mówi, że nic nie ma, to co wy chcecie?” Gdy to mówiłam, kontrolujący tylko „tak sobie” przejechał po skórzanej kurtce „Łupaszki” i nie wyczuł broni. Oddali mu dokument, poczęstowali papierosem i powiedzieli, że możemy jechać. „Łupaszko” miał takie swoje powiedzonko, że „święty Piotr jeszcze nie uderzył w klawisz” i wtedy też tak powiedział. W Kiturykach dołączył do nas między innymi Jasienica (por. Lech Beynar „Nowina”).

- Później było rozformowanie?

- Nie. Zaczęły się oblawy i „Łupaszko” wysłał Jasienicę wraz z chłopakami pod Hajnówkę. Tam zbudowali w puszczy sobie ziemiankę, aby przetrzymać. To był grudzień 1944. Spod Hajnówki, gdzie siedzieliśmy na melinach do kwietnia 1945 roku, a w sumie było nas około czterdziestu osób, siatka przerzuciła wszystkich w okolice Brańska w powiecie Bielsk Podlaski. Gdy w kwietniu wyszliśmy w teren, zaczęli napływać nowi ludzie i oddział zaczął się znowu powiększać.

- Jak wyglądała działalność Brygady po ponownej koncentracji i powiększeniu stanów w szwadronach?

- W 1945 roku było wiele akcji, między innymi na Siemiatyczach, Czeremchę oraz inne miejscowości. Zdobywaliśmy też broń, amunicję, pieniądze, aby płacić ludności za wyżywienie i zakwaterowanie, a także chroniliśmy ludność miejscową przed wracającymi do domu żołnierzami sowieckimi. Na Podlasiu akcji z naszej inicjatywy było sporo. Kiedy władze komunistyczne zostały uznane przez Zachód, przyszedł rozkaz rozpuszczenia oddziału. I „Łupaszko” rozpuścił oddział we wrześniu 1945 roku. Kto mógł albo chciał się zdemobilizować,

dostawał dokumenty, pieniądze, które „robiło” się przecież na spółdzielniach i innych tego typu placówkach. Kto miał rodzinę lub inne możliwości, ten wyjeżdżał, a kto nie - ten zostawał „w terenie”. Zostało może z dwadzieścia osób. Między innymi „Wiktor” (por. Lucjan Minkiewicz).



Mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszko”, obok - wachmistrz Wacław Beynar „Orszak” i ppor. Stefan Wileński „Stefan”, adiutant dowódcy V Brygady Wileńskiej - rok 1945.

- Chciałbym zadać pytanie, które stawiałem już kilku rozmówcom, a ich odpowiedzi były często rozbieżne. Czy major wierzył w wybuch III wojny światowej?

- Z początku, dopóki władze komunistyczne nie zostały uznane na arenie międzynarodowej, wszystko było możliwe. Już potem „Łupaszko” nie wierzył w wojnę, jednak do końca nie chciał się pogodzić z otaczającą rzeczywistością. Miał cały czas kontakty z Zachodem, dokąd wysłał „Orszaka” (Wacław Beynar), który kontaktował się między innymi z generałem Kopańskim. Proponowano „Łupaszce” wyjazd na Zachód, ale on powiedział: „Jak to, ja wyjadę, a chłopcy zostaną?” Nieprzerwanie też miał łączność z Wileńskim Ośrodkiem Mobilizacyjnym AK. Znamienna jest rozmowa, którą niedawno przeczytałam, a którą „Łupaszko” odbył z późniejszym senatorem I kadencji, Ryszardem Reiffem w 1944/45 roku, opisana w jego wspomnieniach, a która odbyła się (według R. Raifa) w okolicach Białegostoku.

- Jak major dobierał ludzi na stanowiska dowódcze?

- Raczej nie dobierał. Jak się ktoś zgłaszał, przeprowadzał z nim rozmowy. Był dosyć dobrym psychologiem. Umiał rozmawiać z ludźmi. To była jego duża zaleta, to był bardzo ważki walor. Ustawiał ludzi tam, gdzie uważał, że najlepiej się sprawdzą.

- Czy przy tym obsadzaniu dowódców grał jakąś rolę fakt, że znał ich z Wileńszczyzny lub podobne względy?

- Nie. Nie miało to wpływu. Tak jak powiedziałam, po prostu rozmawiał z ludźmi. Chciał mieć swoje

wyobrażenie o danym człowieku. Potrafił widzieć człowieka takim, jakim ów był.

- Jak wyglądało składanie raportów - czy były to służbowe meldunki czy też raczej towarzyskie pogawędki?

- Obowiązywała dyscyplina wojskowa, lecz były również stosunki nie tylko służbowe, ale i przyjacielskie. Nigdy przy tym (przy składaniu meldunków - przyp. G.P.) nie bywałam. Nas obowiązywała zasada, że „czym mniej się wie, tym lepiej”. Oczywiście, gdy kogoś „Łupaszk” bardziej lubił, to z nim częściej przebywał.

- Podobno lubił „Jastrzębia” (por. Józef Bandzo)?

- Tak, był on lubiany. A major lubił i cenił „Jastrzębia” za jego własny sposób oceniania spraw oraz za wewnętrzny spokój.

- Zresztą był szefem jego ochrony, więc musiał go lubić i mieć do niego zaufanie.

- Tak, tak. Oczywiście. Był on wyróżniony.

- Jest też wiadomym, że bardzo lubił „Żelaznego” (ppor. Zdzisław Badocha).

- „Żelazny” w pełnym tego słowa znaczeniu był żołnierzem. „Jastrząb” do innych spraw się nadawał, do... może „spokojniejszych”, a ppor. Badocha był urodzonym dowódcą. A przy tym naprawdę „Żelazny” był bardzo prawym człowiekiem. Była w nim jakaś moc i spokój. To od niego emanowało. Tak. Naprawdę. Takim był „Żelazny”.

- A jak wyglądała sprawa z kolejnym rozwiązaniem Brygady?

- Brygada była rozwiązywana trzykrotnie. Pierwszy raz na Wileńszczyźnie w lipcu 1944 roku, drugi raz na Podlasiu we wrześniu 1945 roku, a trzeci raz to już prawie całkowicie przestała istnieć w 1947 roku. Po drugim rozformowaniu, kto mógł, po otrzymaniu niewysokiej odprawy, wyjeżdżał. We wrześniu 1945 major zabrał mnie, „Miecia” (Mieczysław Abramowicz) - naszego najmłodszego partyzanta, ówczesnego adiutanta „Stefana” oraz „Orszaka”. Przenieśliśmy się z Podlasia do Gdańska-Oliwy. „Orszak” wynajął tam mieszkanie przy ulicy Podhalańskiej, na piętrze, gdzie mieszkała również teściowa „Łupaszk” i jego córka. W końcu listopada wyjechałam do Nowego Targu. Po znanym incydencie w restauracji, gdzie „Łupaszk” został zatrzymany, ale nierozpoznany, on też wyjechał z Oliwy. Gdy wróciłam, od teściowej „Łupaszk” otrzymałam nowy adres. Przenieśli się do Sztumu, a właściwie kolonii pod Sztumem, dokąd się udałam. Przyjeżdżali tam chłopcy. Cały czas był z nimi kontakt. Prowadzono wówczas działania dywer-

syjne. Tam byliśmy do lutego, kiedy ponownie trzeba było „nawiewać”. W ciągu godziny nie było już nikogo. Po wielu perypetiach, dotarłam do wyznaczonego punktu zbornego w Zielenicy. W tej miejscowości byliśmy do kwietnia. Tam trwaliliśmy do wyjścia znów w teren.

- Arok 1946?

- Czterdziesty szósty rok był okropnym. Już nas ganił „nie z tej ziemi”, a pomimo to „Żelazny” potrafił rozbroić tyle posterunków. Pamiętam tylko, że nas ciągle gonili. Kiedyś przeprawialiśmy się szczęśliwie przez Wisłę i zaraz po tym nasi złapali jakiegoś UB-owca. Pomyślałam wtedy: „Boże! Taki młody, taki żal, że go rozstrzelają”. Nie wiem, co z nim zrobili.

- Czyli w tym 1946 roku nie było już planowanych, robionych z rozmysłem akcji?

- Trudno było coś robić. „Żelazny” przecież wykonał tę akcję w jeden dzień, nie była rozciągniętą w czasie, nie było możliwości. Akcje odbywały się przez zaskoczenie albo w trakcie obław na nas. Po duktach chodziło wojsko z psami. W pewnym sensie, większość akcji była przypadkowa - gdy musieliśmy się bronić lub wycyfywać.

- Ile dziewczyn wtedy jeszcze było w Brygadzie?

- W każdym szwadronie jedna - u „Zeusa” (por. Leon Smoleński) była „Jachna” (Janina Smoleńska), u „Żelaznego” - „Inka” (Danuta Siedzik), a ja byłam u „Lufy” (por. Henryk Wieliczko), z którym najczęściej „chodził” „Łupaszk”.

- Jak wyglądały relacje pomiędzy 5. Brygadą a mniejszościami narodowymi?

- Raczej nie było żadnych problemów. W oddziale byli przecież Rosjanie, jeden Niemiec, Białorusini. Gdy byliśmy na Podlasiu, nie mieliśmy pełnego zaufania do zamieszkających tam Białorusinów. Ale oni, to jest gospodarze, u których kwaterowaliśmy, nie okazywali nam żadnej wrogości.

- Czy była na bieżąco prowadzona kancelaria?

- Gdy poruszaliśmy się małymi grupkami, to pisany był dziennik. Z naszą grupką z Wileńszczyzny, szedł kronikarz Brygady. Gdy przebywaliśmy w Puszczy Różańskiej, koło wsi Kaczki „Oran” (Waldek Ludwik), czyli prowadzący kronikę,

musieliśmy umieścić go w kopie siana, w której po dwóch dniach został przez wszechobecne wojsko odkryty. Nie wiem, czy go zastrzelili, ale owa kopa zaczęła się palić. Myśmy podjęli walkę z tymi żołnierzami, którzy go odkryli, ale nie udało się nam. Rozproszyli nas. Kronika Brygady przepadła razem z „Oranem”.

- Co robiliście podczas zimowych „przestojów” czy też w okresach „przestojów” dla oddziału?

- Na przykład na Podlasiu major „Łupaszko” prowadził kursy dla młodszych dowódców. Były wykłady, nauka rysowania map oraz strzelanie. Oczywiście strzelano tam, gdzie było można to robić. Obchodziliśmy święta, na przykład 11 listopada. W takich dniach były nadawane awanse do stopni podoficerskich.

- Pani posiadała stopień podporucznika czasu wojny - kto i kiedy go Pani nadał?

- We wrześniu 1945 roku zostałam, wraz z innymi, awansowana przez „Łupaszkę”. Wtedy „Łupaszkę” powiadomiono, że jeszcze może przesłać awanse do zatwierdzenia.

- Jakim człowiekiem był Zygmunt Szendzielarz „Łupaszko”?

- Czasami zdarzało się, że jakiś mały drobiazg wyprowadzał go z równowagi. Ale w takiej sytuacji, w jakiej żyliśmy, wcale mu się nie dziwię. Uczył mnie wszystkiego - między innymi gotowania, dojenia krów i kóz oraz wielu innych praktycznych rzeczy. Mówił do mnie na przykład: „Jeśli coś chcesz, a ja jestem przeciwny, to nie upieraj się! Zostaw to! Potem zrób, a ja się zgodzę”. Dla mnie zawsze był dowódcą. Miał tę zaletę, że kochał ludzi. Dbał o nich, czego wynikiem był fakt, że w akcjach ginęło mało chłopców. Po akcjach lubił słuchać sentymentalnych piosenek. Lubiał żartować i prze-komarzać się.

- Jak wyglądało Wasze „rozstanie” z Brygadą i pobyt w Tatrach, czy raczej ogólnie na południu?

- Najpierw, w marcu, wyjechał z Podlasia „Łupaszko”. Pojechał do Warszawy i wydaje mi się, że wtedy spotkał się z Rzepeckim. Nie jestem tego pewna - pozostałam w Kiersnowie. Następnie kazał mi przyjechać do Prądnika na Śląsku. Tam major czekał na człowieka z organizacji. Przyjechało dwóch. Jeden miał na nazwisko Bukowski. Po tych rozmowach wraz z „Orszakem” (Wacław Beynar), który cały czas był z nami, wyjechalśmy pod Głubczyce, gdzie „Orszak” został kierownikiem młyna. Tam przyjechała jego (W. Bynara - przyp.

G.P.) żona. On też wszystko załatwiał, a myśmy po prostu starali nie rzucać się nikomu w oczy. Był z nami też „Miecio” (Mieczysław Abramowicz). Zagospodarowaliśmy się - mieliśmy kury, trzy kozy, świnkę i ogródek, który uprawiałam. Młyn normalnie pracował. Odwiedzali nas tam różni ludzie, między innymi przyjechała moja mama. Tam byliśmy trzy miesiące. „Orszaka” przestrzegł pewnego dnia milicjant, że nami się interesują. „Łupaszko” zarządził natychmiastowe opuszczenie tego miejsca. Później mieszkaliśmy w Jordanowie, skąd „Miecio” wyjechał do Krakowa, do salezjanów.

- Jednak chciałbym się dowiedzieć, jak wyglądał Wasz dzień powszedni, co robiliście, jak spędzaliście czas w górach, przed aresztowaniem? Na przykład spacerować?

- Mieszkaliśmy jako letnicy z Gdańska. Zbyt dużo nie chodziliśmy. Różne sprawy bieżące to ja załatwiałam. Zygmunt („Łupaszko”) narzekał na chory kręgosłup. Byliśmy kiedyś w dziecięcym szpitalu klinicznym. Tam, gdy czekaliśmy na lekarza, zostaliśmy rozpoznani przez chłopczyka, który zapamiętał nas ze spotkania przy bunkrach Göringa na Mazurach. Poza tym, gdy mieszkaliśmy w Zakopanem, to co miesiąc, a najwyżej półtora miesiąca zmienialiśmy zakwaterowanie. Między innymi mieszkaliśmy na Antałówce, przy Kościeliskiej, na Jaszczurówkach, na Skupówkach, w Chabówce. Na koniec zamieszkaliśmy w Osielcu. Podczas naszego pobytu w Zakopanem odwiedził nas Paweł Jasienica, ale był krótko. Miał do nas, do Osielca, przyjechać też „Wiktor” (por. Lucjan Minkiewicz) z żoną i synkiem Andrzejem, ale już nie zdążył.

- Aresztowano Was...?

- Rano, a w zasadzie świtem, przed piątą.

- Czy wie Pani kto Was zadenuncjował?

- Nie, nie wiem. Jedynie pewne poszlaki wskazywałyby na siostrę żony „Wiktora”. Ale to tylko takie moje domysły.

- Po aresztowaniu przewieziono Was...

- Samolotem z Krakowa do Warszawy. Tam „Łupaszkę” wsadzono do limuzyny, a mnie do „suki”. Trafiłam do piwnic na Koszykowej. W mojej celi na dziewięć osób osiem było z Wilna. Tą jedną „obcą” była Zofia Kopczyńska, sekretarka Mikołajczyka - tak się przedstawiała. Jakoś do mnie przygłęła, a podczas naszych rozmów mówiła, że „w stosunku do władzy jest lojalna”. Zawsze o coś mnie

pytała, ale sama nie chciała na pytania odpowiadać. Któregoś dnia powiedziałam: „Pani Zofio, pani pewnie jest kapusiem!”. Po dwóch godzinach zabrali ją z celi...

- Czy podczas odsiadki „wyroku” była Pani w jakiś specjalny sposób szykanowana?

- Raczej nie. Byłam traktowana tak jak każdy. Trochę inaczej wyglądało to podczas śledztwa, gdy byłam w osławionym Mokotowskim X Pawilonie, który dobrze opisał nasz kolega Sprudin. Ja miałam podobne przeżycia. Spaliśmy w zasadzie na betonie, gdyż kilka garści podobnej do sieczki słomy, trudno uznać za materac. Do jedzenia na przykład, dawano nam grochówkę z robakami lub kapuśniak z dorszem ze wszystkim - z ościami i całą resztą. W zasadzie nie bito mnie, ale robiłam przysiady. Ktoś mógłby powiedzieć: „E, tam, przysiady!”, ale ja po tych „przysiadach” prawie nie mogłam chodzić. Do „normy” wracałam po kilku dniach. Nie byłam w karcerze, ale stałam na betonie, przy otwartym lufciku, w samej koszuli, w lutym. Deptano mi po palcach u nóg, czy bito po głowie i podbródku, gdy mówiłam. Mocno mnie dręczyli, żeby się dowiedzieć jaki ksiądz dawał nam, mnie i „Łupaszce”, ślub. Wynikło to stąd, że „Łupaszko” podczas śledztwa mówił o mnie jako o żonie. Innych, ogólnych spraw nie musieli ze mnie „wyduszać”, po prostu znali je. Próbowano, na przykład, ze mnie zrobić świadka koronnego w sprawach przeciwko innym. Ale gdy odmówiłam dali z tym spokój. Nie będę nawet wspominała jakich rynsztokowych słów w czasie śledztwa używali. Gdy przesłuchiwał mnie na przykład pułkownik lub major można było zauważyć zdecydowaną różnicę w używanym słownictwie. Ale niektóre współwięźniarki miały o wiele gorsze, cięższe śledztwa niż ja.

- A jak wyglądało życie w więzieniu?

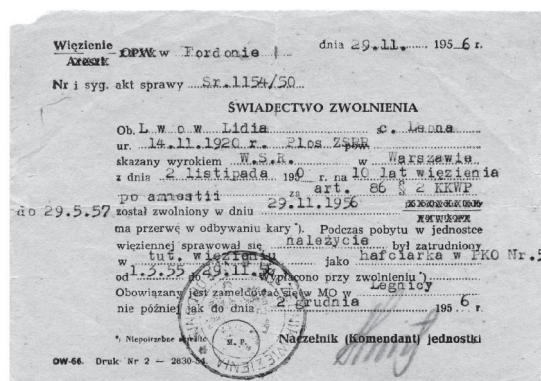
- Najpierw zostałam przewieziona z Warszawy do więzienia w Fordonie. W końcu 1952 roku, wszystkie z wysokimi wyrokami przewieziono do Inowrocławia, do więzienia o zastrzonym rygorze. Przebywałyśmy tam w izolatkach. Spacerowałyśmy tam bardzo rzadkie, a paczek w ogóle nie mogłyśmy otrzymywać. Co kilka dni były rewizje w celi. Co jakiś czas przyjeżdżały „panie z departamentu” i próbowały nas grzecznie indoktrynować. Gdy zmarł Stalin, przenieśli nas do wspólnych cel oraz pozwolono wypożyczać z biblioteki więziennej książki. Pozwolono też pisać listy do rodziny i można było mieć widzenia. W roku 1955 przeniesiono nas znowu do Fordonu. Tam mogłyśmy już pracować, a za wykonaną pracę otrzymywałyśmy pieniądze, odkładane na dwa fundusze - A i B.

- Czy podczas „odsiadki” wiedziała Pani, że major oraz wielu innych żołnierzy 5. Brygady nie żyje, że zostali zamordowani?

- Nikt mi o tym nie powiedział, chociaż zwróciłam się z takim pytaniem do komisji, przybyłej do Fordonu z Departamentu Więziennictwa.

- Później była „amnestia”?

- Nie. Najpierw w 1956 „odgórnie” zmienili nam wyroki na 12 lat, a mnie przez pomyłkę (jak stwierdził jeden z funkcjonariuszy) na lat 10. Ja wyszłam z Fordonu 28 listopada 1956 roku na „przerwę w odbywaniu kary” na trzy miesiące. Wtedy to, na skutek starań rodziców odbył się kilkakrotnie „odmawiany” proces. Pozostawiono mi tylko jeden paragraf, chyba 15: „Przynależność do organizacji...” Po zastosowaniu dwóch „amnestii” miałam siedzieć pięć lat, a przesiedziałam w więzieniu osiem i pół roku... Tak samo na „przerwę w odbywaniu...” została zwolniona między innymi „Jachna”. I w 1957 roku zaczęłam studia na Uniwersytecie Warszawskim.



Świadectwo zwolnienia Lidii Lwowskiej z więzienia z 1956 roku.

- Czy po wyjściu z więzienia była Pani jeszcze w jakiś sposób represjonowana?

- Nie. Po wyjściu z więzienia raczej nie. Tylko raz. Mieszkałam wówczas w akademiku, przyszedł jakiś młody człowiek i koniecznie chciał się dowiedzieć, gdzie zostały zakopane dokumenty, gdy „Łupaszko” rozpuszczał Brygadę. Oczywiście chciał mnie też nakłonić, abym słuchała o czym się mówi wśród studentów i mu o tym meldowała. Najpierw namawiał grzecznie, potem straszył, wreszcie proponował mi pieniądze. Przy drugiej wizycie, w obecności koleżanki z roku, dość ostro do niego przemówiłam (jak poradził mi pewien

mecenas). Przestał wreszcie przychodzić. Później jeszcze odwiedziła mnie dwukrotnie nasza wspaniała łączniczka z Wileńszczyzny - „Regina” (Regina Żelińska-Morda), która jak wreszcie wiadomo, wyspała wielu z naszej Brygady i też nagabywała mnie o te dokumenty. Ostatni raz była u mnie w 1965 roku.

- Po skończeniu studiów pracowała Pani...?

- Najpierw w Komisji Badania Dawnej Warszawy w dziale archeologicznym, bo już byłam archeologiem. Później, od 1967 połączyli nas z komisją w Muzeum Historycznym Miasta Warszawy, gdzie pracowałam do emerytury. Aktualnie nadal pracuję, w Muzeum Cechu Rzemiosł Skórzanych na Starym Mieście w Warszawie.



Lidia Lwow oraz Grzegorz Polikowski w Muzeum Cechu Rzemiosł Skórzanych - Warszawa 2008 rok.

- Serdecznie dziękuję za poświęcony czas oraz ciekawą rozmowę!

Rozmawiał: Grzegorz Polikowski

Zdjęcia pochodzą z książki T. Łabuszewskiego i K. Krajewskiego „Łupaszko”, „Młot”, „Huzar”. Działalność 5. i 6. Brygady Wileńskiej AK (1944-1952)” oraz zbiorów Lidii Lwow i autora.

KSIAŻKI NADESŁANE

- Bogumiła Prymaczuk, *W lustrze czasu*, wiersze, Polianna, Krasnystaw 2009, ss. 70, il. 31;
- Irena Iwańczyk, *Mistyka życia*, wiersze, POLIHYMNIA, Lublin 2009, ss. 100, il. 11;

Józef Nikodem Kłosowski

Ballada

Wiśniowych kwiatów puchy płyną,
Z jabłoni ciecie błady róż,
I w przestrzeń siną.
W szkarłatny zór

Śnieżysto-grzywy rumak dzwoni.
Królewic srebrny mknie z dziewczyną,
Dokoła smugi słodkiej woni
I poszept zbóż ...
Fiołki pachną liliowe,
Bzy białe kapią na mą skroń
I lzy skrzypcowe,
Błękitów toń ...

Szafirów wodnych aksamity,
Aleje szumią gdzieś mirtowe,
Wieniec się perli z róż uwity,
Omdlewa woń ...
Na morzu w dali, wśród koralu,
Pozłotą wieżyc wyspa lśni;
Sto baszt się pali
W słońca dni.

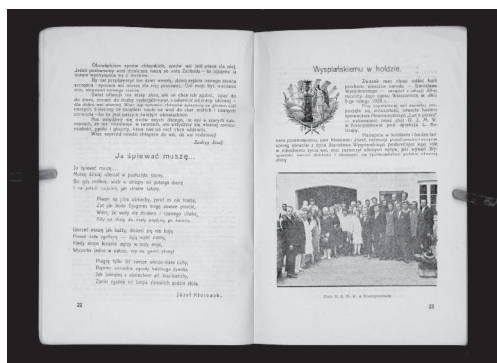
I rubinowe błyszczą wały ...
Podwoje, zdobne w blask opali,
Zaczarowany zamek cały.
Królowa śni.
Wichura drzewa szarpie, targa,
Huragan w krzewach gdzieś tam łka,
Zawodzi skarga,
Dygocze łąza;
W perłowym łożu pani błada,
A wiatr jej złote włosy targa,
I po komnatach strach się skrada
I smutek gra ...
Złoto-różana pieśń kołysze
Muzyką zmierzchu tchnący świat,
Wysłuchany w ciszę,
Jak kwiat,
Rozkoszą słońca upojony,
Anielskich chórów szepty słyszę:
Srebrzyste hymny jęczą dzwony
Dziecięcych lat.

pierwodruk „Ziemia Krasnostawska” 1925
(dodatek Sprawy Kulturalno-Oświatowe nr 1)

Adrian Uljasz

Józef Nikodem Kłosowski (1904-1959) **Działacz ludowy, partyzant** **i człowiek pióra**

Wykład wygłoszony 26 listopada 2009 r. w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie na okoliczność 50. rocznicy śmierci pisarza.



Spotkaliśmy się w dzień pięćdziesiątej rocznicy śmierci wybitnego krasnostawskiego działacza ludowego, pisarza, publicysty i bojownika antyhitlerowskiego ruchu oporu Józefa Nikodema Kłosowskiego, zmarłego 26 listopada 1959 r. w Lublinie, a pochowanego w Krasnymstawie. Tematem wykładu jest życie i twórczość Kłosowskiego jako człowieka Krasnegostawu i krasnostawskiej wsi.

Józef Nikodem Kłosowski urodził się 26 marca 1904 r. w Krasnymstawie w rodzinie robotniczo-chłopskiej. Rodzicami byli Jan i Maria z Witkowskich. Józef Nikodem już od uczniowskich lat wykazywał zainteresowania i ambicje literackie. Jako siedemnastolatek napisał baśń *O paziu złotowłosym*, wydrukowaną w czasopiśmie „Na Straży”. W 1921 r. uzyskał maturę w krasnostawskim gimnazjum humanistycznym.

Na okres 1922-1923 przypadł jego debiut poetycki - w numerze 11 czasopisma „Wianki” opublikowano wiersz *Hymn do słońca*. W latach 1923-1924 Kłosowski studiował polonistykę i historię sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Jednocześnie dorywczo pracował, bowiem rodzina była w trudnej sytuacji materialnej, matce nie starczało środków na edukację uniwersytecką syna.

Rodzice starszych mieszkańców Krasnegostawu i powiatu krasnostawskiego z pewnością pamiętali Kłosowskiego jako nauczyciela. W 1925 r. rozpoczął w Krasnymstawie pracę nauczycielską w szkole powszechnej, a następnie nauczał młodzież w Publicznej Szkole Rolniczej w Krasnymstawie, nazywanej też Technikum Rolniczym. W 1959 r. Czesław Klepacki

w takich słowach utrwalił na łamach poczytnego „Zielonego Sztandaru” postać Kłosowskiego jako nauczyciela technikum: „Wychowankowie z tamtego okresu podkreślają jego wielkie umiłowanie młodzieży wiejskiej, przyjacielski i serdeczny do niej stosunek. Już wówczas był czynnym działaczem wśród młodzieży”. Kłosowski prowadził działalność pedagogiczną także na Uniwersytecie Ludowym. Współpracując z uniwersytetami ludowymi, organizował uniwersytety gminne oraz akcję odczytową. Stworzył teatr objazdowy. W pamięci mieszkańców utrwalił się w ogromnej mierze jako działacz Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici” i Stronnictwa Ludowego. Do ZMW należał od osiemnastego roku życia.

Jednocześnie od młodości prowadził działalność literacką i publicystyczną. W latach 1929-1930 publikował w czasopiśmie „Słowo Zamojskie”, a w 1930 r. w „Tęczy”. W okresie 1930-1931 był kierownikiem literackim dwutygodnika „Wieś Krasnostawska”. Opowiadania, recenzje i artykuły publikował również m.in. w „Szkolnictwie i Oświacie Rolniczej” (1932), „Dzienniku Poznańskim” (1932-1938), „Głosie Podhala” (1934), chełmskiej „Kamenie” (1934-35), „Miesięczniku Literatury i Sztuki” (1935-36), „Siewie” (1928-1930), „Siewie Młodej Wsi” (1935-37), „Przewodniku Wiejskim” (1935-36), „Płomyku” (1935-39), „Kurierze Literacko-Naukowym” (1935, 1939), „Miesięczniku Literatury i Sztuki” (1935-1936, 1939), „Narodzie Polskim” (1937-1938). Wymienione czasopisma docierały do czytelników zróżnicowanych pod względem zawodu i wieku: inteligencji wiejskiej i miejskiej, chłopów i robotników, dorosłych, młodzieży i dzieci.

Kłosowski niezależnie od tego, że publikował w czasopismach, był autorem licznych książek, często o tematyce krasnostawskiej. W 1927 r. w Warszawie ukazał się wybór jego tekstów epickich zatytułowany *Przekłęte miasto. Baśnie i legendy*. Jeden z utworów nosił tytuł *Przekłęte miasto (Ze starych legend o Krasnym Stawie)*. Po dwóch latach w Domu Książki Polskiej w Warszawie wydano książkę wspomnieniową Kłosowskiego zatytułowaną *Moje dzieciństwo*. W 1933 r. w Krakowie wyszła powieść *Tańcząca karczma*, dotycząca problemu utalentowanej młodzieży chłopskiej, której zdolności marnowały się wskutek niedostępności wykształcenia. W roku 1935 w Grudziądzu wydrukowano wybór opowiadań *Zbrodnia Ewy Orskiej* (cykl nowel o okresie I wojny światowej zatytułowany przez autora pierwotnie *Głodna ziemia*), zawierający m.in. utwór *Wzgórze Męki Pańskiej*, będący wyrazem zainteresowań religijnych pisarza. Kolejna książka Kłosowskiego to dwutomowa powieść *Uroczysko*, opublikowana

w 1937 r. w Poznaniu w serii *Biblioteka „Dziennika Poznańskiego”*. W *Uroczysku* twórca dał „przekrój rzeczywistości polskiej na przestrzeni 20 lat”. Józef Nikodem Kłosowski był jak widać pisarzem regionalistą, silnie związanym z ziemią krasnostawską, a jednocześnie nie można go nazwać twórcą prowincjonalnym, skoro jego książki wydawano w takich ośrodkach kulturalnych, jak Warszawa, Kraków czy Poznań. W latach trzydziestych Kłosowskiego wyróżniono nagrodą na konkursie Polskiej Macierzy Szkolnej im. Bukowieckiej, za powieść dla młodzieży *Skarb czarnej groty*, której nie opublikowano, ponieważ w latach II wojny światowej rękopis został skonfiskowany podczas gestapowskiej rewizji. Około 1930 r. Kłosowski napisał dramat *Jawnogrzesznica*.

Od 1935 r. należał do Związku Zawodowego Literatów Polskich, noszącego od 1949 r. nazwę Związek Literatów Polskich. Nie zapominał o potrzebie uzupełnienia własnej edukacji, bowiem w latach 1938-1939 kontynuował studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Już na początku okupacji hitlerowskiej włączył się do tajnego nauczania, ucząc od listopada 1939 r. języka polskiego i historii w konspiracyjnym gimnazjum. W 1940 r. został członkiem organizacji Chłopska Straż (Chłostra), której nazwę zmieniono w 1942 r. na Bataliony Chłopskie. Kłosowski był współorganizatorem Okręgu IV BCh i wchodził w skład Piątki Politycznej powiatu krasnostawskiego. W 1942 r., zagrożony aresztowaniem ukrywał się w majątku Orchowiec. Ucieczkę przed poszukującymi go Niemcami, a ściślej przed gestapo, mającą miejsce w 1941 r., opisał w powieści *Jarzmo* z 1947 r., ukrywając się pod postacią bohatera o imieniu i nazwisku Józef Gajewski. Matylda Welna w takich słowach ukazała w artykule *Kochankowie* z *Inferna* z łamów czasopisma „Kresy Literackie” z 1994 r. tamtą ucieczkę z domu w Krasnymstawie oraz pobyt pisarza w Orchowcu: „Wyskoczywszy oknem z własnego mieszkania, Józef Nikodem przez ogrody i chaszcze, przez płoty i żywopłoty, w śnieżnej zadymce uciekał na wieś. Poza miastem zgubił jednego buta, nogę okrył chusteczką. W rozchełstanej koszuli i jakimś kubraku dotarł do najbliższej chałupy poza miastem, do Marii Jurkiewiczowej, kobiety, która przynosiła mleko i inne wiktuały do ich [Kłosowskiego i jego późniejszej żony, Zofii] domu. Stamtąd po paru dniach przeniósł się do domu swego ucznia w Orchowcu. Dowiedzieli się o nim Kazimierz i Janina Plewińscy, właściciele majątku i zaofiarowali mu dach nad głową. W zamian uczył i wychowywał ich wnuczkę Małgosię”. Przed Niemcami udało się uciec także bratu Jana Nikodema, Wacławowi. Późniejsza żona Kłosowskiego, Zofia, powróciwszy do domu z

podróży, wykonywanej na rozkaz organizacji, zgodnie z opisem autorstwa Matyldy Welny „(...) zastała mieszkankę puste i zimne, dom spładowany, okna pootwierane, a na stole kartka jakaś z przygodnym zdaniem dziwnym trafem znamiennej treści: „Pod twoją obronę...” Okazało się, że Niemcy przyszli po pisarza. Drzwi były dobrze pozamykane. Długo się dobijali. W tym czasie Józef Nikodem i jego brat Wacław zdołali uciec”. Na dworze panował wówczas jedena-stopniowy mróz. Według jednej z relacji, Kłosowski zgubił w czasie ucieczki prawie ukończony rękopis powieści dla młodzieży *Klejnoty Buddy*. Po ucieczce, młodzież szkolna, chcąc zbadać, jaki los spotkał pedagoga, poszukiwała jego śladów i znalazła na śniegu rozrzucone kartki rękopisu, które w całości przekazała rodzinie.

Po pobycie w Orchowcu, Kłosowski wstąpił do partyzantki. Będąc w partyzancie, pełnił funkcję redaktora konspiracyjnych czasopism BCh i „Rocha” (okupacyjny kryptonim Stronnictwa Ludowego): „Najnowsze Wiadomości” (1942), „Chłopski Znak” (kwiecień 1943 - marzec 1944, miejsce wydawania - Orchowiec), „Wyzwolenie” (1944) (wspólne wydawnictwo BCh i Armii Krajowej w obwodzie krasnostawskim) i czasopisma dla dzieci „Kukułka” (1944) (miesięczny dodatek do „Wyzwolenia”). Redagował też pisma ludowe „Biedronka”, „Hejnał”, „Zielona Kadra”. Od 1943 r. był szefem prasy i wydawnictw w Sztapie Okręgu Lubelskiego BCh oraz prezesem powiatowego zarządu „Rocha”. Używał pseudonimów „Lemiesz” i „Czepiec”. Zorganizował grupę pisarzy *Wieś Tworząca*, wydającą periodyk „*Wieś Tworząca*”. Miesięcznik poświęcony sprawom poezji, kultury i sztuki ludowej, którego ukazały się dwa numery. Adresatem pisma „*Wieś Tworząca*” była inteligencja wiejska. W numerze „Chłopskiego Znaku” z 15 kwietnia 1944 r., pisma redagowanego przez Kłosowskiego oraz w tomiku *Podziemny śpiew* z 1944 r. opublikowanym przez grupę „*Wieś Tworząca*” skupioną wokół krasnostawskiego literata i działacza ludowego, zamieszczono wiersz Józefa Tłuczka, w którym poeta pisał, popularyzując idee okupacyjnego SL „Roch”: „Jako lawina spadająca z siłą,/ Idziemy naprzód zjednoczoną masą./ By wstrząsnąć mocno twardą świata bryłą/ I pchnąć ją świeżo wytoczoną trasą/ I choćby nie wiem, jak szatańskie moce/ Zechciały stanąć w poprzek naszej drogi,/ Skończą się wreszcie długie, czarne noce./ Zabłyśnąć musi dla ludu dzień błogi./ Wszak dzisiaj wśród nas nie znajdzie się taki,/ Co chciałby zdradzić zielone standardy/ I iść pod inne, niż Rochowe znaki,/ I wskreszać dawno pogrzebane mary./ Zwyczajstwo nasze w połączeniu właśnie./ W naszej jedności, w harmonii i zgodzie,/ W tym, żeśmy wszelkie odrzuciwszy waśnie,/ Chęć twórczej pracy wznieśli w narodzie”.

Kłosowski propagował myśl stworzenia podziemnego teatru ludowego i zorganizował pierwszy zespół „Teatru Dzieci Rocha”. Zainicjował utworzenie Tajnego Instytutu Oświaty i Kultury Wsi, powstałego wiosną 1944 r. Kiedy w kwietniu 1944 władze okręgowe BCH zdecydowały o powierzeniu kierownictwa Tajnego Instytutu Oświaty i Kultury Wsi innemu działaczowi, noszącemu pseudonim „Halny”, Kłosowski na znak protestu złożył rezygnację z funkcji redaktora naczelnego wszystkich pism wychodzących w okręgu. Uczestniczył też w działalności organizacji politycznej „Orka” obejmującej inteligencję ludową zamieszkałą w ośrodkach miejskich, i wydawał jej organ prasowy „Orka” (1942-1944). W akcji scaleniowej BCH i AK podjętej wiosną 1944 r. reprezentował dążenie do całkowitego zjednoczenia i poddania BCH kierownictwu wojskowemu AK.

W numerze tajnego pisma „Wyzwolenie” datowanym na 10 lipca 1944 r. ukazał się wiersz Józefa Nikodema Kłosowskiego *Chłopski marsz*, którego słowami poeta zachęcał wiejskich czytelników do walki przeciw okupantowi oraz o realizację idei Polski Ludowej, głoszonej przez ludowców: „Nic nas nie wstrzyma w tym świętym pochodzie/ Nic nam nie stanie w marszu na przeszkodzie/ Jest nas jak piasku nieskończenie wiele/ A imię nasze: Mściciele!/ Marsz! Już błędnie mrok szary,/ Już zorza wschodzi, rozwińmy sztandary,/ Bo na nich ciepła/ Krew polska/ makiem czerwonym zakrzepła.../ Mocniej przyciśnij broń swą o żołnierzu/ Gdy zaczniesz mówić w swej zemsty pacierzu/ Za mękę, ból i krew/ Niech bagнет mój rozpocznie swój opętańczy śpiew!.../ A hasło nasze tylko dwa słowa: Polska Ludowa!”. Utwór miał duże znaczenie propagandowe, podobnie jak wiersz Józefa Tłuczka. W tym samym roku redakcja „Wyzwolenia” wydała konspiracyjnie pracę „Lemiesza” (Józef Nikodem Kłosowski) pt. *Propaganda. Organizacja propagandy w Ruchu Ludowym. [Bobrowe. Gmina Gorzków]*. W 1944 r., ale już po lipcu, w Krasnymstawie ukazał się tomik wierszy Kłosowskiego zatytułowany *Chłopski marsz*, podpisany przez autora pseudonimem „Lemiesz” i opublikowany przez Wydawnictwo Literatów Ludowych.

Żoną Kłosowskiego była Zofia z Samborskich, według słów Matyldy Wełny „młoda, piękna, jasnowłosa” dziewczyna, nazywana przez Józefa Nikodema Zoją i Zoj, a sama nazywająca go Nikiem. Zofia Samborska pochodziła z biednej i licznej rodziny robotniczo-chłopskiej z Zamościa. Po śmierci rodziców, Józefy i Tomasza, przeprowadziła się do Krasnegostawu. Jako podłotek często odwiedzała dom Kłosowskich, aby bawić się z najmłodszą wnuczką matki Józefa Nikodema, „Niuńką”. Już wtedy spodobała się

przyszłemu pisarzowi, wówczas studentowi Uniwersytetu Jagiellońskiego. Następnie Zośka Samborska wyszła za mąż za Józefa Borosia. Józef Nikodem Kłosowski dowiedziawszy się o tym, namówił ją do zerwania związku z mężem. Miał jej kategorycznie rozkazać: „Musisz go rzucić!”. Matylda Wełna napisała w *Kochankach z Inferna*: „Jasne, że po takim dictum skończyło się dobre małżeństwo Zofii, a zaczęły ukradkowe spotkania. Młody nauczyciel, jakim po przerwaniu studiów został Kłosowski, do tego poeta i pisarz, bardzo jej się podobał i imponował jej. Był przystojny, świetnie zbudowany, o męskiej pociągłej twarzy, konopnych włosach, energicznie szcesywanych z pięknego, wysokiego czoła. Marzyła o nim, nazywała go królewiczem z bajki, a on ją - również na podstawie jakiejś baśni - Kasią z królewskiej Dąbrowy. Zakochali się w sobie bez pamięci, do czego sprzyjał sielankowy wprost, pachnący ziołami i bodziakami Krasnymstaw. Ukradkowe spotkania stawały się coraz częstsze i gorętsze”. Nik zaproponował mężowi Zoi, Borosiowi, pieniądze w zamian za zgodę na rozwód. Ten pieniądze przyjął, ale ociągał się z rozwodem, wskutek czego Zofia uciekła z dzieckiem do Józefa Nikodema. Mieszkali u jego matki, w starym drewnianym domu, a następnie w nauczycielskim mieszkaniu przy szkole rolniczej, gdzie Kłosowski podjął pracę. W czasie okupacji powrócili na wcześniejsze miejsce zamieszkania, bowiem budynek ze służbowymi mieszkaniami dla nauczycieli został zajęty przez Niemców. O sile ich wzajemnej miłości świadczą listy pisane przez Kłosowskiego do Zofii w 1942 i 1943 r. W niedzielę i poniedziałek 27-28 grudnia 1942 pisał do niej w takich namiętnych i zarazem pobożnych słowach, opublikowanych w 1994 r. przez Matyldę Wełnę w „Kresach Literackich”: „Droga moja! Już podobno skończyły się święta Bożego Narodzenia. Chwała Bogu, bo lżej będzie sercu cierpiącemu i zasłuchanemu w echo świętej kolędy. Takiej wigilii nie miałem jeszcze w życiu. Wyobraź sobie, moja Kochana, mój mały pokój, oświetlony tylko świeczką. Na stole leży opłatek, ryba przystana z domu i kawałek chleba. Wstaję i wśród ciszy podaję bratu opłatek. Wtedy wybuchliśmy naraz wstrząsającym płaczem. I zamiast zasiąść do stołu, padliśmy na kolana, Jezubrac: „Jezuniu Nowonarodzony, ratuj nas, Jezuniu maleńki, wesprzyj nas!” Dusze nasze łkały, po twarzy toczyły się łzy, a świeczka kończyła się na stole. O Jezu mój! Klęcząc na podłodze we łzach, spłakany jak dziecko, czułem, żeś Ty, Kochana, przyszła do mnie i usłyszałem z tyłu Twoje westchnienie, a później... pocałunek na ustach. Potem złamałem opłatek, by podzielić się z Tobą, z Tobą, kochana moja towarzyszką doli i niedoli! I owinałem Cię w powietrzu ramionami, a ustami utonałem w Twych słonych ustach. I płakaliśmy razem - Ty i ja! Złączeni w serdecznej miłości

na śmierć czy na życie. Czy i Ty tak cierpiełaś, czy i Twoje oczy były pełne łez, czy i Ty czułaś, że jestem z Tobą? Czy czułaś, jak ścisnąłem Cię i całowałem całą noc wigilijną? Napisz mi, moja złota, jak przeżyłaś święta, bo ja wolę ci opowiedzieć wszystko. Pisałaś: „otwarta jestem dla Ciebie, Niku, całą noc wigilijną”. I skorzystałem z tego, i widziałem Cię przez całe święta taką dla mnie otwartą. I było mi słodko z tym obrazem Twoim. Pisałaś do mnie tak jeszcze: „Czekam Cię, Niku, z otwartymi rękami i...”. Zrozumiałem i to, ale po co tylko drażnisz swego Konika białego, co nóżką ogień krzesze. Czekaj teraz dnia Raju... Całuję Cię gorąco. Ścisnąm, Twój Nik. Czekam, kiedy zaśpiewasz mi do snu kołędę. (...) napisz...”

Józef Nikodem i Zofia pobrali się dopiero po wojnie, w 1944 r. Matylda Wełna napisała o ich związku, że „Była to miłość szalona, o wzrastającej temperaturze uczuć, trudności, jakie przez szereg lat spotykały tę parę, rozpałały ich namiętność, podsycały żar, każde dawało z siebie maksimum dla drugiego. To romantyczna para kochanków, miłość szczęśliwa, ale wciąż na skraju przepaści, w sytuacji śmiertelnego zagrożenia”.

Po wyzwoleniu Kłosowski był nauczycielem w gimnazjum w Krasnymstawie. W latach 1945-1950 pełnił funkcję naczelnika Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Lublinie. Działal też w literackim środowisku zawodowym, będąc od 1945 r. prezesem Oddziału Lubelskiego ZZLP, a następnie - członkiem zarządu oddziału w latach 1946-1948.

W 1945 r. założył dwutygodnik „Zdrój” i był jego redaktorem naczelnym do 1946 r. „Zdrój” wychodził w Lublinie do roku 1947. Czasopismu przyświecała idea wychowania odbiorców sztuki w szerokich rzeszach chłopów i robotników. W jednym z numerów pisma z 1946 r. redaktor podkreślił, że w nowej Polsce musi nastąpić demokratyzacja wszystkich dziedzin życia. Dodał, iż po reformie rolnej i podjęciu „wielkiego dzieła upowszechnienia oświaty” należy „bez żadnej zwłoki” zająć się udostępnianiem wyższych artystycznych wartości najliczniejszym kręgom obywateli”. Po II wojnie światowej Kłosowski publikował też w „Kamieniu”, „Dziś i Jutro”, „Sztandarze Ludu”, „Dzienniku Literackim”, „Gazecie Lubelskiej”, „Gazecie Ludowej”, „Kulturze i Życiu”, „Niedzieli na Wsi”, „Polsce Ludowej”, „Polsce Zbrojnej”, „Przewodniku Świetlicowym”, „Świetlicy”, „Teatrze Ludowym”, „Tygodniku Warszawskim”, „Warszawie”. W wymienionych periodykach ukazywały się jego artykuły, fragmenty powieści i recenzje.

W 1946 r. w „Gazecie Lubelskiej” wydrukowano, w podziale na odcinki, powieść Kłosowskiego dla młodzieży *Klejnoty Buddy*, napisaną w początkowym okresie okupacji hitlerowskiej. Akcja utworu toczy się na Cejlonie.

Recenzent „Gazety Lubelskiej” Z. Bolesławski pisał w 1945 r., że praca nad utworem stanowiła dla pisarza „podróż w wyobraźni” do egzotycznego kraju, poprzedzoną studiami bibliograficznymi, dającą wypoczynek od ciągłego nerwowego napięcia, towarzyszącego okupacyjnym przeżyciom i pracy konspiracyjnej.

Na początku 1947 r., 25 stycznia, Kłosowski uczestniczył w pierwszym po II wojnie światowej zebraniu członków Towarzystwa Biblioteki Hieronima Łopacińskiego w Lublinie, wspólnie z innymi osobami żywo zainteresowanymi losem biblioteki, takimi jak prof. Feliks Araszkiewicz, dr med. Mieczysław Biernacki, czy Józef Steliga.

W 1947 r. ukazała się powieść *Jarżmo*, wydana w Warszawie w serii *Biblioteka Prozaików Polskich*, uznawana za największe osiągnięcie literackie Józefa Nikodema Kłosowskiego, na której kartach autor ukazał walkę wsi krasnostawskiej z hitlerowskim najeźdźcą. Była to pierwsza powieść z życia Batalionów Chłopskich. Autor ukazał zarówno konspiracyjną pracę i walkę, jak i codzienne życie wsi oraz osobiste sprawy ludzi z opisywanego środowiska. Przedstawił życie miejscowości Orchowiec położonej pod Krasnymstawem, symbolizującej całą polską wieś okresu okupacji. Pisarz ludowy i znawca literatury polskiej okresu II wojny światowej oraz utworów o tematyce chłopskiej, Jan Szczawiej napisał o jednym z bohaterów *Jarżma*, charakteryzując w 1957 r. na łamach pisma „Orka” twórczość literacką Kłosowskiego: „Oto Franek z „Zalosku”, komendant malutkiego oddziału BCh, nie dostrzegający świata poza sprawami swojego plutonu. Iluż takich Franków miały setki i tysiące wsi polskich w tamtym okresie, ileż ich życie i praca zawierały poświęcenia i bohaterstwa”.

Do treści *Jarżma* Kłosowski wprowadził idee Polski ludowej, rządzonej przez lud, stanowiącą główny element programu politycznego polskich ludowców okresu II wojny światowej, hasło, którego nie należy mylić z ideologią polskich i radzieckich komunistów. Jednocześnie wyeksponował wątek religijny, szczególnie opisując majówkę, odbywającą się 8 maja, w dzień patrona parafii rzymskokatolickiej w Gorzkowie, świętego Stanisława. Uczestnicy majówki, wiejska ludność przetrzebiona i nadal zagrożona terrorem hitlerowskim, w dużej części młodzież, odmawiała wspólnie litanie do Matki Boskiej, zaś zgodnie z wizją powieściopisarza „Z wysokości krzyża spoglądał na ten tłum obdarty, biedny i skowyczący z udręki Jezus Chrystus, ukrzyżowany, krwią siedmiu ran broczący i smutny. Patrzył i każdą łzę, każdą skargę brał do swego boskiego wszechmocnego serca”. Po zakończeniu majówki, zgromadzony lud zaśpiewał wspólnie pieśń „Boże coś Polskę” zaintonowaną przez „donośny męski głos”. Kłosowski pisał: „Melodia rosła, potężniała,

by wybuchnąć gorącym, do szpiku kości przejmującym błaganiem, krzykiem wyprutym gdzieś z głębi ludzkich żył, prośbą tak żarliwą, że chyba mogłaby zbudzić ze śmiertelnego uśpienia na krzyżu rozpiętego Zbawiciela. „Przed twe Ołtarze zanosim błaganie -/ Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!”... Wołanie to płynęło przez ciemną, umajoną wieś, przez ukwiecone sady, wzgórze i lasy, przez parujące łąki, źródła i doliny, a wstrząsnąwszy ziemią, uderzyło w bezchmurne, szafirowe niebo, by ponad gwiazdami dostać się do stóp Stworzyciela...”

Jarzmo doczekało się wielu recenzji zamieszczonych w pismach: „Wieś”, „Tygodnik Warszawski”, „Dziennik Ludowy”, „Żołnierz Polski”, „Dziś i Jutro”, „Tygodnik Powszechny”, „Myśl Chłopska”, „Wiedza i Życie”, „Przekrój”. W Czechosłowacji został opracowany przekład *Jarzma*. Tłumaczką była Maria Babiakowa-Bajova. W 1947 r. pisarz, będący naczelnikiem Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Lublinie, otrzymał za utwór nagrodę literacką od miejscowej Wojewódzkiej Rady Narodowej. Autor artykułu *Na marginesie nagrody literackiej*, opublikowanego w numerze 86 „Życia Lubelskiego” z 1947 r., Stanisław Papierkowski skrytykował powyższą decyzję, pisząc: „Jeżeli zabieram głos w tej sprawie, czynię to nie dlatego, by kwestionować decyzję Jury odnośnie autora, któremu nagrodę przyznało, aczkolwiek sądzę, że wśród literatów lubelskich znaleźliby się inni jeszcze kandydaci na taką nagrodę zasługujący”. Chodziło o to, że nagrodę literacką przyznano twórcy pełniącemu wysoką funkcję kierowniczą w lubelskiej kulturze. O Kłosowskim bardzo źle świadczył fakt, że przyjął wyróżnienie. Oprócz tej nagrody, otrzymał także kilkakrotnie inne nagrody literackie Prezydentów Wojewódzkiej i Miejskiej Rady Narodowej w Lublinie. Za twórczość i działalność społeczno-kulturalną udekorowano go również Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem z Mieczami, Krzyżem Grunwaldu III klasy i wyróżniono innymi odznaczeniami.

Po roku w Warszawie wysłał powieść pisarza z Krasnegostawu pt. *Mgła*, podobnie jak *Jarzmo*, mająca za temat losy wsi krasnostawskiej w czasie okupacji hitlerowskiej. Jan Szczawiej pisał w „Orce”, że „*Mgła* (...) to kotłowanie wypadków okupacyjnych na wsi krasnostawskiej, przedstawiona przez autora z taką plastycznością i sugestywnością, jakiej w naszej literaturze chłopskiej, zajmującej się tematyką okupacyjną przed Kłosowskim nie spotykaliśmy”. Szczawiej chwalił autora *Mgły* za zwartość i oszczędność stylu, sceny akcji bojowych, opisy piękna krajobrazu wiejskiego oraz wizerunki psychologiczne postaci. Podkreślił, iż z każdej karty książki tchnie

„umiłowanie idei ludowej”. W 1949 r. w Bratysławie wyszedł słowacki przekład *Mgły*, opracowany przez Ferdynanda Gabaję. *Mgłę* recenzowano w „Kurierze Wielkopolskim”, „Dzienniku Ludowym”, „Tygodniku Powszechnym”, „Słowie Powszechnym”, „Dzienniku Literackim”, „Odrodzeniu”, „Gazecie Ludowej”, „Kuźnicy”, a także słowackich pismach „Tyždeň” i „Kultury Žywot”.

W tym samym roku co powieść *Mgła*, wydrukowano tom opowiadań Kłosowskiego *Serce w lipowym drewnie* (Warszawa 1948), skierowany do młodzieży i zawierający opowieści o życiu dzieci i młodzieży chłopskiej.

W następnym roku w *Bibliotece Prozaików Polskich* opublikowano powieść Kłosowskiego *Walka z aniołem* (Warszawa 1949), mającą za temat życie wsi polskiej w okresie międzywojennym i należącą do nurtu literatury socrealistycznej, ukazującego problem „walki klasowej na wsi”. Twórca ukazał konflikt między dwoma światami - dworem i ludem, stając po stronie ludności chłopskiej. Recenzje *Walki z aniołem* zamieszczono w „Gazecie Lubelskiej”, „Kurierze Codziennym”, „Homo Dei”, „Nowej Kulturze” oraz „Ilustrowanym Kurierze Polskim”.

W 1950 r. pisarz ciężko zachorował na serce. Przeszedł wówczas w stan spoczynku i skupił się wyłącznie na pracy literackiej. Jako przyczyna odwołania z wysokiego stanowiska jest też podawany akt odmowy wstąpienia do PZPR, dokonany przez Kłosowskiego. Pisarz był wielokrotnie przesłuchiwany przez Służbę Bezpieczeństwa.

Od 1953 do 1959 r. wchodził do kolegium redakcyjnego czasopisma „Kamena”.

W 1953 r. w „Czytelniku” opublikowano powieść Kłosowskiego *Czarna wiosna*, nietypową dla autora ze względu na to, że akcja toczy się w głównie w środowisku małomiasteczkowym, a w niewielkim stopniu na wsi. Tematem jest życie proletariatu w małym miasteczku na Lubelszczyźnie przed II wojną światową. *Czarna wiosna* doczekała się kilku recenzji, m.in. w „Życiu Literackim”, „Kamieniu”, „Tygodniku Demokratycznym”, „Wsi”, „Echu Tygodnia”, „Sztandarze Ludu”, „Strażnicy Ewangelicznej”. Na łamach „Kamienia” pisał o niej Wacław Gralewski.

Z 1955 r. pochodzi propagandowa powieść *Gwiazdy nad polaną*, w której autor pisał o okupacyjnej współpracy między Batalionami Chłopskimi a Armią Ludową. Ukazał też okupacyjne losy mieszkańców wsi Dąbrowa - rodzin i jednostek. *Gwiazdy nad polaną* zostały wydane w Warszawie przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą. Ciąg dalszy utworu to powieść *Ziemia bez skarg*, opublikowana w 1956 r. w Warszawie przez tego samego wydawcę, zawierająca opis losów bohaterów i wydarzeń, jakie rozegrały się we wsi Dąbrowa koło Kazimierza nad Wisłą i w sąsiednim majątku Zaklików w latach 1945-1946.

Ostatnie dzieło Kłosowskiego to powieść *Berło*, wydana w 1958 r. przez warszawską Ludową Spółdzielnię Wydawniczą. Bohaterem był młody lekarz walczący w prowincjonalnej osadzie o nazwie Ustronie przeciw ciemnocie i znachorstwu.

Na krótko przed śmiercią Józef Nikodem Kłosowski pracował nad powieścią pod roboczym tytułem *Bankiet*, której fragmenty opublikowano w „Kamieniu”. Główne postacie to dwaj młodzi przyjaciele - malarz i pisarz, a tematem są perypetie ich miłości do dziewczyny, która wyemigrowała ze wsi. Autor zamierzał ukazać w utworze problemy twórczości artystycznej, swobody twórczej i walki o niezależność wewnętrzną.

Kłosowski był też autorem prac redakcyjnych. W czerwcu 1944 r. wyszedł pod jego redakcją zbiorek 11 wierszy napisanych przez poetów ludowych Lubelszczyzny, opublikowany przez redakcję „Wyzwolenia”, noszący tytuł *Podziemny śpiew*.

Krasnostawski pisarz ma wielkie zasługi w zakresie popularyzacji twórczości poety ludowego z Krasnegostawu, Stanisława Bojarczuka (1869-1956), który podobnie jak słuchacze dzisiejszego wykładu był czytelnikiem Miejskiej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie. Kłosowski nieprzypadkowo jest uznawany za odkrywcę i promotora twórczości wybitnego poety. W 1955 r. w „Kamieniu” wydrukowano artykuł Kłosowskiego o Bojarczuku zatytułowany *Chciałem być chłopskim Petrarą*. Pisarz nazwał uzdolnionego krasnostawskiego poetę „śpiewakiem spod strzechy” i wiejskim „lirnikiem”. Omówił biografię i twórczość literata samouka. Ciepło wspominał spotkania i rozmowy z Bojarczukiem. Pisał o swojej wieloletniej zażyłości i przyjaźni z ludowym poetą. Po jednym ze spotkań z twórcą wracał razem z Bojarczukiem w stronę stacji w Krasnymstawie, co opisał w następujących słowach: „Powoli ruszamy w stronę stacji. W dali, na horyzoncie rysują się wieże starego kościoła, mienią się dachy nowych domów i poczerńiałych kamienic. To Krasnystaw. A na lewo od szosy rozciąga się szmaragdowa łąka, przecięta ołowianą łuską strumienia. Na usta cisną się słowa Bojarczuka: *Cześć ci, samotnio z gąszczu wierzbiego,/ gdzie świtezianek śnią się motańce,/ tu przy twojego urwiska tańce/ śmigiem jaskółczym myśli me biega./ Tu na kilimie murawy miękkiej/ suchych porostów rzuconym kłębem/ usiadłszy mile pieści me oko./ Kiedy przez palce rokity giętkiej/ słoneczny promień zaziera w głębie/ uformowane cisy zatoka.* To kraj Stanisława Bojarczuka, miejsce jego pracy, twórczości poetyckiej i długich dumań”.

W 1956 r. w LSW w Warszawie ukazał się wybór sonetów Bojarczuka, opracowany i uzupełniony wstępem przez Józefa Nikodema Kłosowskiego i Zbigniewa Stepka. Część wstępu

napisana przez Kłosowskiego, nosząca tytuł *Śpiewak spod strzechy* to przedruk cytowanego wyżej artykułu z Kamienia o „chłopskim Petrarce”. Autor dodał do niego informację, że po ostatniej wizycie u Bojarczuka udało mu się zainteresować wydaniem sonetów autorstwa ludowego poety z Krasnegostawu Ludową Spółdzielnię Wydawniczą. Podkreślił, iż Stanisław Bojarczuk „To na pewno jeden z największych poetów ludowych, jakich znamy dotychczas”. Uznał Bojarczuka za „indywidualność zupełnie nieprzeciętnej miary”.

Z oceną wypowiedzianą przez Kłosowskiego musimy się w pełni zgodzić, kiedy czytamy wybór sonetów Stanisława Bojarczuka, wydany w 2008 r. przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Krasnymstawie pt. *Linie liryki* na okoliczność sześćdziesięciolecia placówki. Sonety wydobył z rękopisu, opracował i opatrzył wstępem Józef Zięba. Znajdujemy się w bibliotece, a więc przytoczę teraz fragment sonetu Bojarczuka *Do książki*, wydrukowanego w przywołanym wyborze. Poeta daje wyraz swemu kultowi dla słowa drukowanego, pisząc o książce: „Dziś przed tabernakulum twym wielbiciel klęczy/ i śpiewa we swoisty sposób hymn spartańczy./ To niby macierz, kiedy miłe dzieci niańczy./ Wpatruje się w kart rozchył w miłości szaleńczej”. Dalej nazwał książkę „plonem plonów” oraz „zdobyczą” w swoim życiu. Sądzę, że słowa Bojarczuka zachęca słuchaczy wykładu oraz czytelników pisma „Nestor” do intensywnego korzystania ze zbiorów Miejskiej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie. Biblioteka wydała w 2008 r. także inną wartościową publikację - książkę Artura Borzęckiego *60 lat Miejskiej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie*, będącą monografią z pogranicza bibliotekoznawstwa i historii.

Część historyków literatury, m.in. Tadeusz Kłak z Lublina, zaliczało Józefa Nikodema Kłosowskiego do „reymontowskiej szkoły ukazowania wsi polskiej”, a więc uznawała pisarza z ich stron za jednego z następców Władysława Stanisława Reymonta.

Wybitny działacz ludowy, przywódca ruchu oporu i pisarz zmarł dokładnie pół wieku temu, 26 listopada 1959 r. Na kilka miesięcy przed śmiercią udzielił wywiadu Czesławowi Klepackiemu z pisma „Zielony Sztandar”, charakteryzując źródła swojej twórczości w takich słowach: „W powieściach swych bardzo często sięgam do zwyczajów i wierzeń ludowych. Materiałów świeżych i oryginalnych dostarcza mi żona, która pochodząc ze wsi, zna ich mnóstwo. Te pieśni i wierzenia nie tylko uskrzydlały fantazję, lecz pomagają bardzo w oddaniu wiejskich nastrojów i atmosfery”. Na temat czytelników powiedział: „Chciałbym, by byli to przede wszystkim chłopci i ludzie związani ze wsią pochodzeniem i pracą. Dlatego też staram się, by akcja moich

była ożywiona i trzymała w napięciu, choćby wiązało się to z rezygnacją z pewnych wartości artystycznych. Jeśli książka jest instrumentem przemian zachodzących w duszy człowieka i w społeczeństwie, to właśnie na prowincji może najlepiej spełnić swą rolę”.

Bezpośrednio po śmierci pisarza ukazały się artykuły wspomnieniowe w lubelskiej prasie, m.in. w „Kurierze Lubelskim”. Przyjaciel Kłosowskiego, Jan Szczawiej opublikował w 1959 r. szkice pt. *Owoc dobrego i złego*. Jeden z tekstów poświęcił Józefowi Nikodemowi Kłosowskiemu, nazywając zmarłego w tytule wspomnienia „bardem chłopskiej partyzantki”. Artykuły o Kłosowskim publikowano też na okoliczność rocznic zgonu literata, np. w „Kamieniu” i „Kurierze Lubelskim”. Tadeusz Kłak, pisząc o twórcy z Krasnegostawu w trzecią rocznicę śmierci, nazwał go na łamach „Kuriera Lubelskiego” „pisarzem lubelskiej wsi”. Inny autor, Stanisław Weremczuk, nazwał Kłosowskiego w 1984 r. „rzecznikiem walczącej wsi”. Ponad pięć i pół roku temu, w „Gazecie Wyborczej Lublin” z końca marca 2004 r., Kłosowskiego wspominał Jan Henryk Cichosz. Wspomnienie opublikowano z okazji setnej rocznicy urodzin pisarza. Autor informował, że na okoliczność stulecia urodzin Kłosowskiego Muzeum Regionalne w Krasnymstawie przygotowało wystawę poświęconą jego życiu i twórczości. Warto dodać, że w 1979 r., czyli dwadzieścia lat po śmierci Kłosowskiego, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza w Warszawie opublikowała książkę *Chłostra* z przedmową H. Dudowej. Do tomu weszły dwie powieści: *Jarzmo* i *Mgła*.



Józef Nikodem Kłosowski pozostawił po sobie bogatą spuściznę rękopiśmienną, dostępną w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie. W Dziale Zbiorów Specjalnych są przechowywane i udostępniane materiały biograficzne, głównie dokumenty, ale też maszynopisy z autobiograficznymi tekstami Kłosowskiego. Druga część

spuścizny to korespondencja. Duża wartość cechuje autorskie rękopisy utworów pisarza. Warto zapoznać się także z tzw. variami, do których wchodzi notatniki Kłosowskiego, szkice maszynopisowe i wycinki prasowe z recenzjami jego utworów. Najstarsze zapisy w notatnikach pochodzą z 1929 r. Są to głównie notatki z lektur dzieł takich pisarzy i myślicieli, jak Dante, Blaise Pascal, Lew Tołstoj, Romain Rolland, Fiodor Dostojewski, Andriej Bieli, Ernest Renan, Paul Claudel, Adam Mickiewicz, Teodor Tomasz Jeż, Aleksander Świętochowski, Stanisław Brzozowski, Leopold Staff, Julian Tuwim. Część notatek dotyczy Ewangelii św. Jana. Wiele ma charakter refleksji religijnych i modlitw. Zbiory dokumentów i rękopisów po Kłosowskim mogłyby się stać wraz z efektami rozległych kwerend prasowych i archiwalnych oraz studiów nad twórczością literacką i publicystyczną pisarza podstawą do opracowania książkowej biografii Józefa Nikodema Kłosowskiego.

dr hab. Adrian Uljasz
historyk, kulturoznawca i politolog

Józef Nikodem Kłosowski

Ja śpiewać muszę ...

Ja śpiewać muszę ...

Muszę dzisiaj uderzać w pozłociste struny,
Bo gdy zmiłknę, wiatr w strzępy mi potarga duszę
I na polach rozścieli, jak zblakłe całuny.

Plwam na jutra uśmiechy, pereł mi nie trzeba,
Żyć jak boski Djogenes mogę zawsze przecie,
Wiem, że wody nie zbraknie i czarnego chleba,
Gdy od chaty do chaty popłynę po świecie.

Umrzeć muszę jak każdy, śmierci się nie boję;
Ponad ciała zgniliznę - żyją myśli złomy,
Kiedy zimne konanie zajrzy w oczy moje,
Wszystko jedno w pałacu, czy na garści słomy!

Pragnę tylko iść zawsze wieczorniano cichy,
Poprzez wszystkie ogrody ludzkiego żywota;
Jak Sokrates z uśmiechem pić losu kielichy,
Zanim zgaśnie mi lampa ziemskich godzin złota

pierwodruk - „Młoda Wieś” - jednodniówka Związku Młodzieży Wiejskiej powiatu krasnostawskiego wydana na pamiątkę dziesięciolecia istnienia okręgu Krasnystaw, sierpień 1928

Alicja Wiech

Gdzie się kończy tęcza?

Gdzie się kończy tęcza? Kiedy pojawia się na niebie tuż po deszczu, widać jak styka się z ziemią. Czy można tam dojść, zobaczyć to miejsce, dotknąć tęczy? Pewnie nie można się na nią wdrapać, ale czy można wejść do jej wnętrza, tak aby być otoczonym ze wszystkich stron barwnymi promieniami światła? Czy można z jej środka oglądać zupełnie inny, kolorowy świat? To byłoby wspaniałe uczucie...

Bo tęcza to światło. Światło białe rozszczerzone na wszystkie barwy pośrednie. *Tęcza wszystko bieli zawdzięcza* (J. Sztaudynger). Właśnie dlatego widać ją po deszczu, bo światło musi mieć jakiś ośrodek, w którym załamuje swoje promienie, odbija i rozszczepia się. Są nim drobne kropelki wody. Światło białe, po wyjściu z takiej kropli widziane jest jako łuk składający się z widma kolorów, z których wyróżnia się od zewnątrz: czerwony, pomarańczowy, żółty, zielony, niebieski, indygo i fioletowy. To tak jak w pryzmacie (ryc. 1). *Przepięknie wygląda światło w fazie rozkładu* (V. Butulescu).

*A kto ciebie, śliczna tęczo,
Siedmiobarwny pasie,
Wymalował na tej chmurce
Jakby na atlasie?*

(M. Konopnicka, *Tęcza*)

Właściwie w tęczy zawarte jest całe widmo światła - od czerwieni po fiolet. To, ile barw się w niej dostrzega - zależy już od oka obserwatora. Najbardziej wyraziste są: czerwony, żółty i niebieski. Oprócz nich, widać pewną liczbę (3-4) barw pośrednich. Arystoteles wyróżniał czerwień, zieleń i fiolet, Pliniusz - czerwień, fiolet i niebieski. Z kolei tęcza powstała z odbitego światła Księżyca jest biała - w nocy i przy słabym oświetleniu oko nie rozróżnia kolorów. Wyobrażano sobie tęczę wód podziemnych, jako uzupełnienie do pełnego okręgu zwykłej tęczy na niebie. Ta miała być niewidzialna.

Do powstania tęczy potrzebne są więc drobne kropelki wody, i nie jest istotne czy powstałe podczas deszczu, czy unoszące się we mgle powstałe nad wodospadem, czy z tryskającej w górę fontanny, czy choćby z rozpryskującej się wody ze zwykłego węża ogrodowego (ryc. 2). Wtedy właściwie wystarczy, żeby za nami zaświeciło słońce, i już możemy oglądać tęczę. Najczęściej obserwuje się jedną tęczę, ale może pojawić się nad nią także tęcza wtórna i inne podobne zjawiska. W tęczy wtórnej kolejność kolorów jest odwrócona (ryc. 3).

Czym jest tęcza? *Tęcza jest wstążką, którą wkłada sobie natura po umyciu głowy* (R. G. de la Serna). Z fizycznego punktu widzenia, tęcza materialnie nie istnieje. Nie jest to żaden przedmiot odbijający światło, jak np. lustro. Jest to tylko efekt optyczny, zachodzący w określonych warunkach. *Dobrze tęczy się zielenić, błękitnawić i czerwienić* (C. K. Norwid, *Do J. B. Zaleskiego*).

*Po długiej niepogodzie zajaśniało słońce,
Na niebie zachmurzonym, na kształt pół-obręczy
Zajaśniał łuk świetlany siedmiobarwnej tęczy,
Piją zbyteczne wody obydwaj jej końce.*

(A. Kucharczyk, *Tęcza*)

Tęcza była tematem badań naukowych już od bardzo dawna. Prawidłowy opis sposobu powstawania tęczy podał już w XIII w. perski astronom Qutb al-Din al-Shirazi. Badania i eksperymenty ze światłem przeprowadzali też Robert Grosseteste, Roger Bacon i Teodor z Fryburga. Ten ostatni podał dokładne wyjaśnienie tego zjawiska. Stwierdził, że *kiedy światło pada na poszczególne kropelki wody, promienie ulegają dwóm rozproszonieniom (przy wejściu i wyjściu) i jednemu odbiciu (na tyłnej powierzchni kropki) zanim dotrą do oka obserwatora*. W wiekach późniejszych teorią tęczy zajmowali się René Descartes, Isaac Newton, Thomas Young czy George Biddell Airy.

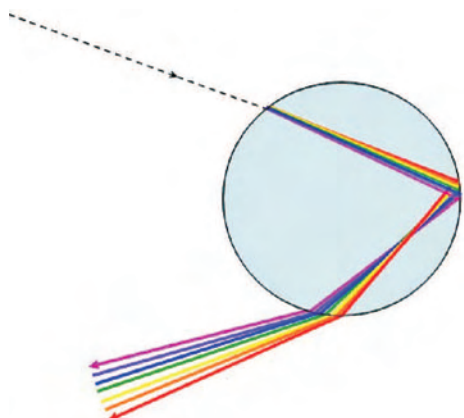
Tęcza jest przepięknym zjawiskiem i budzi zachwyt każdego, kto ją ogląda (ryc. 4). *A ja umrę kłęcząc... Przed trawą zieloną, przed różą, przed tęczą* (J. Sztaudynger). Jest oznaką pogody, optymizmu, więzi między ludźmi: *Ona tam daleko, gdzieś za siódmą rzeką, lecz Bóg tęczę związał nas. Z kolorowych siedmiu smug most przez niebo zrobił Bóg: po tęczowym moście serce moje do jej nóg* (L. Rydel, *Od Krakowa czarny las*). Szczególne doznania wzbudza tęcza pojawiająca się tuż po burzy. Wtedy jest ona jakby zwiastunem nowego życia, zapowiedzią spokoju, bezpieczeństwa. *Zdawało się, że po burzy tęcza siedmiobarwna zawisła nad krajem, zwiastująca ciszę i pogodę* (H. Sienkiewicz, *Ogniem i mieczem*).

*Lecz w chwili właśnie, gdy już, już mniemałem,
Że burza wielkim uderzy nawałem,
Góry - że echa gromowe rozjęczą,
Ironii jakaś siła niezgadniona*

Zamków dwóch szczyty... uwieńczyła - Tęczą!

(C. K. Norwid, *Tęcza*)

W wyobrażeniach i wierzeniach wielu ludów, tęcza stanowiła więź między niebem a ziemią. W mitologii skandynawskiej była mostem łączącym świat bogów i świat ludzi. Dla muzułmanina tęcza to także most, który musi przekroczyć dusza po śmierci, aby dostać się do nieba. Irlandzki skrzat zakopywał garniec złota na końcu tęczy, jako miejscu najbardziej niedostępnym. *Idź na koniec tęczy, a znajdziesz garniec pieniędzy* (przysł.).



Ryc. 1. Rozszczepienie światła białego w kropli wody.



Ryc. 2. Tęcza nad wodospadem.



Ryc. 3. Tęcza podwójna.



Ryc. 4. Jeden z końców tęczy.



Ryc. 5. J. A. Koch, Noe po ocaleniu.



Ryc. 6. H. Memling, Sąd Ostateczny (fragm.).

W mitologii chińskiej tęcza była szczeliną w niebie załataną przez boginię Nüwa kamieniami o siedmiu kolorach. W buddyzmie tęcza to siedmiobarwne schody, po których Budda zszedł na ziemię. Grecka bogini tęczy Iris, ubrana w kolorową szatę, była posłanką bogów, gdyż potrafiła rozciągać siedmiobarwny łuk łączący niebo z ziemią. Grecy traktowali tęczę jako uśmiech bogini Iris.

*Irys przez niebiosą skrzydły tęczowemi,
Tysiącem w słońcu różnych kolorów spowita*
(Wergiliusz, *Eneida* IV)

*Czy Irys... którą na świat znosi szklany
Obłok?... a tęczę świecące nad niwą
Tyle kolorów i słońc tyle mają,
Że ją nad ziemią na światłach trzymają?*
(J. Słowacki *Król-Duch*)

Łuk tęczy symbolizuje przymierze z Bogiem również w chrześcijaństwie. *Potem Bóg tak rzekł do Noego: [...] Łuk mój kładę na obłoki, aby był znakiem przymierza między Mną a ziemią. A gdy rozciągnę obłoki nad ziemią i gdy ukaże się ten łuk na obłokach, wtedy wspomnę na moje przymierze* (Biblia, Gen. 9, 13) (ryc. 5).

Bóg w wizji Ezechiela otoczony jest wielobarwnym nimbem: *Jak pojawienie się tęczy na obłokach w dzień deszczowy, tak przedstawiał się ów blask dokoła* (Ez., 1, 28). Chwała Boża objawia się w tęczy:

*Patrz na tęczę i wychwalaj Tego, kto ją uczynił,
nadzwyczaj piękna jest w swoim blasku:
otacza niebo kręgiem wspaniałym,
a napięły ją ręce Najwyższego.*
(Syr., 43, 11)

*jak słońce świecące na przybytek
Najwyższego,
jak tęcza wspaniale błyszcząca w chmurach*
(Syr., 50, 7)

W Apokalipsie św. Jana (10, 1): *I ujrzałem innego potężnego anioła, [...] tęcza była nad jego głową, a oblicze jego było jak słońce.*

Na obrazie Hansa Memlinga Sąd Ostateczny Chrystus zasiada na tęczy, która staje się jego tronem, symbolem boskości i chwały (ryc. 6). Motyw ten wykorzystali też inni artyści - S. Lochner, J. Cousin, G. Mostaert, H. Bosch. Dla wielu tęcza stała się symbolem Chrystusa, a trzy główne barwy tęczy - symbolem Trójcy Świętej. Barwa niebieska łączona bywa z wodami potopu, czerwona - z końcem świata, a zielona - ze światem, jaki powstanie na nowo.

O tęczy jako atrybucie sławy pisze Juliusz Słowacki w *Zawiszy Czarnym*:

*Do hełmu tęczę tę uczepić, co się nazywa sławą (...)
Tęcza ta siedmioro ma kolorów... kościelna sława -
fiolety... różaną jest... chcąc wiecznie trwać w sercu
kobiety, zieloną jest, kiedy szczepić myśli drzewo,
ognista, kiedy człowiek (...) w ognia się piekielnego*

*ubierze pochodnie (...), błękitną jest stalowa sława
bohatera, każda z nich... żółta wtenczas, gdy w
sercu zamiera.*

...a w *Balladynie* padają takie słowa: *A może
gdzie zawieszona na niebie tęczowa nić, to tęczę
wziąć na wrzeczona i wić, i wić, i wić!*

Podobnie Cyprian Kamil Norwid posługuje się porównaniem do tęczy w *Promethidionie* (Wstęp):

*O! sztuko - Wieczną tęczę Jerozalem,
Tyś jest przymierza łukiem - po potopach
Historii*

Tęcza bywa także motywem na obrazach. Malowali ją Rubens, J. Constable, J. A. Koch, G. Inness, W. Turner, C. D. Friedrich i inni (ryc. 7).



Ryc. 7. P. Rubens, *Krajobraz z tęczą*.

Łuk tęczy można odnaleźć na fladze i godle Nikaragui i na fladze brazylijskiego stanu Pernambuco, a także indiańskiego plemienia Nawaho (ryc. 8). Tęczowa flaga używana była jako symbol nadziei i pokoju, w PRL-u była znakiem ruchu spółdzielczości, obecnie często funkcjonuje jako symbol tolerancji obyczajowej.



Ryc. 8. Flaga Nikaragui.

Temat tęczy występuje w wielu utworach literackich: *Dolina tęczy* Lucy Maud Montgomery, *Na końcu tęczy* Cecelia Ahern, *Tęcza Grawitacji* Thomas Pynchon, *7 kolorów tęczy* Monika Sawicka i wielu innych. Nazwę *The Rainbow* nosił zespół

rockowy Ritchiego Blackmore'a, a także albumy piosenek Dolly Parton i Mariah Carey. Z filmu *Czarnoksiężnik z krainy Oz* (1939) pochodzi jedna z najsłynniejszych kompozycji filmowych wszech czasów - ballada *Over the Rainbow* (Ponad tęczę) śpiewana przez Judy Garland. *Tęczowy Wojownik* (*Rainbow Warrior*) - tak nazywa się statek flagowy organizacji ekologicznej Greenpeace. Jego nazwa nawiązuje do legendy Indian kanadyjskich, według której kiedy świat jest chory i umiera, ludzie powstaną jako Wojownicy Tęczy.

Rzadko się zdarza, by tęcza budziła inne niż pozytywne skojarzenia. *Tęczy, która wisi na niebie już od kwadransa, nikt więcej nie dostrzega* (J. W. Goethe). *Tęcza jest mostem prowadzącym z ziemi do nieba. Rozpadnie się na kawałki, gdy będzie się zbliżał koniec świata i diabeł przejedzie nią konno* (A. Pérez-Reverte). *Tęcza blaknie, a człowiek umiera* (przysł.).

Dzeus przed oczami śmiertelnych roztoczy na niebie

Tęczę krwawą, znak wieszczu, wróżący wojnę morderczą

Lub nawałnicę mroźną

(Homer, *Iliada* XVII)

U niektórych ludów tęcza jest potworem wypijającym wodę z jezior, rzek i morza i spuszczałym ją potem na ziemię, powodując ulewę i gradobicia. *Tęczo, tęczo, nie pij wody, bo narobisz ludziom szkody* (przysł.). Odwrotnie w marzeniach sennych - tęcza oznacza kres kłopotów, dobre widoki dla podejmowanych interesów, zamiarów, jasną przyszłość.

Tęcza jest jednym z najpiękniejszych zjawisk optycznych występujących w przyrodzie. *Tęcza - uśmiech nieba od ucha do ucha ziemi* (U. Zybur). Optymiści zawsze widzą przyszłość w *tęczowych barwach*. Kiedy tylko pojawia się po deszczu - natychmiast przyciąga uwagę. Ma w sobie coś czarodziejskiego. Zapiera dech w piersiach. Wywołuje nieklamany zachwyt. I uśmiech na twarzy. I radość w sercu. I błysk w oku.

Za tęczę

Ja zareczę,

Że nie zniknie, że się nie zmieni.

Zawsze będziemy w nią wpatrzeni.

(J. Sztaudynger, *Za tęczę*)

Tęcza, bezmiary objąwszy, rozkwita,

Poprzerywana i niecałkowita,

Jakby się śniła zmrużonemu oku.

(B. Leśmian, *Tęcza*)

Chciałoby się pójść w stronę tęczy, dotknąć jej delikatnej struktury, wnikać w tę barwną poświatę, wdrapać się na szczyt, przespacerować po jej stromym łuku, dojść do końca, zobaczyć w

którym miejscu styka się z ziemią, zakosztować jej ulotnego piękna, spojrzeć na drugą stronę, poczuć jej magię, spełnić dziecięce marzenia.

Niedowiarkom ręczę,

Że jednak można oprzeć się o tęczę.

(J. Sztaudynger, *Oparcie*)

Dość tych domysłów, dywagacji, dociekań, wahań. Nie ma czasu. Tęcza trwa tylko chwilę. Zaraz zniknie. Trzeba się spieszyć! Jej naturę zostawmy fizykom, kolory niech wykorzystają malarze, ulotność pochwyć poeci, grę na jej barwnych strunach powierzmy muzykom, oba końce niech zwiążą zakochani. Powiedźcie mi tylko gdzie się kończy tęcza?

Alicja Wiech

Krzysztof Kulig

sam wobec armii

zniecka

odbite od krzywego zwierciadła monitora

światło

gasi kolory tęczy w jedno pasmo

szare i obce

jeszcze krew pobiera ten sam tlen

i

jest tak samo czerwona jak przedtem

jeszcze porywa nas nurt czasu

pomiędzy jedną a drugą satelitą myśli

ale

już cyberprzestrzeń wypełnia się tajemnymi znakami

bombardujące ekran piksele wiadomości

dobrego i złego

wodzą nas na pokuszenie

świat nadal byłby taki sam jak dawniej

gdyby nie narastający stukot klawiszy

jak podkute buty

nadchodzącej armii

Krzysztof Kulig**do córek**

kiedy wchodziłem na łódź
nie miałem zamiaru nigdzie odpływać
chciałem tylko wsłuchać się
ostudzić żar
obmyć dłonie

to nurt
to wir
to nagły podmuch

teraz jesteśmy jak dwa pociągi
na sąsiednich torach
i nie wiadomo który z nich
ruszył

18.11.09

Jam jest

*nie myśl, że nie jestem w stanie
wierzyć, żeś jest. W to nie wierz: jestem.
S. Barańczak*

Ten czas już nadchodzi
pełnie
brudnym wykwitem jak liszaj
jeszcze przeglądasz foldery pamięci
oddzielasz klatki dzikich wspomnień
tresujesz pozorny uśmiech
niezbędny w kontaktach międzyludzkich
choć wiesz że nie ma odwrotu
musisz iść
zgodnie
popędzany ruchem wskazówek
wciąż
w kółko

Piłat
twój znajomy
jakoś żyje
z powiększonym obrysem serca
trzepotaniem lewej komory
naciekiem krwawym płuc
inni też zachowują spokój
pomimo
na przekór

tylko Ty jeden
wbrew sobie

x x x

Konstelacje moich dni są constans
dlatego poruszam się w nich po omacku
Góry lodowe uczuć ciągle zanurzone
w zimnej wodzie słów
pozwalają na bezpieczny kontakt
nie przerażają swoją wielkością
To co nad powierzchnią
jest małe
płaskie
powierzchowne
Przyptywy i odpływy mieszają je tak skutecznie
że trudno mi odczytać intencje
nienawiść wybełtana z obojętnością
skropiona odrobiną litości
podana w podwójnej porcji
działa skutecznie
poranne drżenie rąk redukuje następny haust
okazji jest wiele i każda dobra
Pozornie wszystko jest zgodne z planem
i opracowanymi prognozami
Pozornie
Wiesz że w najważniejszych momentach
zawodzi cię ten wysłużony system nawigacji
widelki błędu są bliskie o-błądu
nie można mu zaufać
innym też
każdy z nich ma inną odpowiedź
na to samo pytanie
jak żyć
Pozostaje udawać starego kapitana
zapaść brodę by zatuszować niepewność warg
ukryć puste oczy za ciemnymi okularami
wciągnąć banderę sztucznej serdeczności
Udawać wilka
Zbudować niezbędny dystans
Wywołać strach

Krzysztof Kulig (ur. 1960) debiutował w almanachu „Lustro naszych snów” (Chełm-Warszawa 1989 r.). Drukował także w „Tygodniku Chełmskim” i „Kresach Literackich”. Po latach nieobecności wrócił do kraju i do pisania. Mieszka i pracuje w Lublinie.

Magdalena Krupa

W dzień końca świata

Różowordzawe, sztuczne niebo wisiało nad miastem. Ludzie pochowali się w domach, nie wiedząc, co się dzieje. Nie było nawet najłżejszego wiatru. Powietrze stało się dziwnie ciężkie i gęste. Zapadła cisza. Nawet psy przestały szczekać; teoretycznie nie było w tym nic podejrzanego, ponieważ i tak odzywały się dość rzadko. Około roku 2344 japońscy naukowcy zmodyfikowali ich geny. Później nastąpiła deformacja psich strun głosowych i krtani, więc biedne stworzenia nie miały możliwości ani chęci częstego wydawania z siebie dźwięków. Mimo to, całkowite milczenie zwierząt było rzeczą tak samo nienaturalną, jak niemożliwą.

Przez ostatnie dwa stulecia na Ziemi dużo się zmieniło. Świat ruszył w szalone tango. Siłę ludzkich mięśni zastąpiły komputery, roboty, cuda techniki. Miasta nie zanieczyszczały środowiska; funkcjonowały specjalne filtry powietrza, oczyszczalnie ścieków zdolne wytworzyć krystalicznie czystą wodę nawet z najgorszych płynnych odpadów. Natura, chociaż także genetycznie zmodyfikowana, sprawnie dawała sobie radę z pozostałymi zagrożeniami. Niebo było bardziej błękitne, słońce świeciło jaśniej, trawa zieleniła się coraz mocniej. Ludzie żyli wygodnie, wprost nieprzyzwyczajając sobie życie.

Potrąfili latać; długie badania i eksperymenty pozwoliły im zdobyć niebo - rodzili się ze skrzydłami, jak ptaki. Naturalnie, nie wszyscy. Niektóre nacje posługiwały się telekinezą bądź telepatią; odsetek społeczeństwa posiadającego te zdolności często ulegał chorobom psychicznym z powodu przeciążenia mózgu. Pojawiały się halucynacje, stany lękowe, dziwne zachowania...

Skrzydłaci wykluwali się z jaj, przechowywanych w specjalnych ośrodkach. Naturalnie, kobiety nie musiały ich znosić. Pobierano kod genetyczny od pary pragnącej dziecka, a reszta pozostawała w rękach pracowników laboratorium. Rasa ludzi-ptaków miała lżejszy szkielet, nieco ostrzejsze rysy twarzy, zazwyczaj posiadali także złote, przenikliwe oczy. Temperatura ich organizmów była wyższa niż u zwykłych ludzi, by nie mieli problemów z utrzymaniem ciepłoty ciała w powietrzu.

Tylko jeden punkt przecinał milczące niebo.

Leciał wysoko; ciemne włosy, do tej pory spięte na karku, rozwiął pęd powietrza. Złote, migotliwe oczy śledziły miasto z uwagą. Drapieżną twarz wykrzywił półuśmiech. Głośny łopot potężnych, jastrzębich skrzydeł burzył niepokojącą ciszę, budził uśpioną metropolię.

Merrit - tak nazywał się złotooki - zauważył dwie poruszające się plamy. Złożył skrzydła i zaczął szybko pikować w dół.

Wylądował naprzeciw dwóch kobiet. Były nieruchome jak posagi. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że są jednakowe, jednak istniała między nimi nieuchwytna, bliżej nieokreślona rozbieżność.

- Merrit - powiedziały jednocześnie. Jedna z nich uśmiechnęła się lekko, druga pozostała poważna.

- Cześć! - rzucił, rozpinając dopasowaną kurtkę. W powietrzu wygodny, przylegający strój sprawdzał się doskonale - był praktyczny, nie krępował ruchów, poza tym zatrzymywał ciepło, o wspaniałym wyglądzie nie wspominając. Merrit uwielbiał latać, natomiast lądować szczerze nienawidził. Od razu robiło mu się gorąco, parna atmosfera miasta dodatkowo potęgowała to uczucie. Westchnął cicho.

- Zauważyłem was z góry. Czy możecie mi łaskawie wyjaśnić, co tu się, u diabła, dzieje?! Pusto jak... jak w moich kieszeniach, przeraźliwie cicho. To niebo jest jakieś nienormalne - poskarżył się, wskazując sinoczerwone chmury. Bliźniaczki odgarnęły długie włosy w tym samym momencie, wykonując identyczny gest. Niezidentyfikowana różnica w rysach ich twarzy nie dawała Merritowi spokoju.

Z zamyślenia wyrwał go cichy śmiech jednej z kobiet. Druga nadal zachowywała śmiertelną powagę. Obie popatrzyły na czarnowłosego. Dopiero teraz zauważył, że ich oczy mają kolor pogodnego, nocnego nieba. Kobiety przekrzywiły głowy.

- Nadchodzi koniec - oznajmiły jednocześnie. Mężczyzna, zaskoczony odpowiedzią, zmarszczył brwi. Bliźniaczki od zawsze uważano za wariatki, gdyż głosiły dziwaczne przepowiednie. Niewielu zwracało sobie głowę rozmyślaniami nad ich zagadkową gadaniną, zazwyczaj omijano je szerokim łukiem. Ludzie bali się dwóch kobiet, ponieważ wносиły odrobinę mroku w ich rozświetloną egzystencję, zmuszały do myślenia obrosnięte luksusem mózgi. Merritowi nie przeszkadzało dziwaczne towarzystwo, wręcz przeciwnie. Umiął rozmawiać z bliźniaczkami, lubił rozgryzać owe tajemnicze prorocтва, które sprawdzały się prawie za każdym razem. Ostatnio Alfa - wiecznie roześmiana - w kilku niejasnych zdaniach zapowiedziała rychłą śmierć jednego z prezesów wielkiej korporacji zajmującej się produkcją filtrów powietrza. W ustach radosnej, przypominającej dziecko Alfę coś tak drastycznego brzmiało co najmniej nieprawdopodobnie. Rzeczywiście, nieszcześnieśny prezes zginął w niewyjaśnionych okolicznościach tydzień później.

- Koniec? Koniec czego? - zapytał skonsternowany Merrit. Bliźniaczki błyskawicznie przechyliły głowy w drugą stronę, wciąż wlepiając w niego błyszczące ślepie. Wzdrygnął się, mimo iż znał to zachowanie. Alfa zachichotała ucieszenie. Jej siostra, Omega, przewróciła oczami.

- Nie udawaj durnia, Merrit! A jak myślisz, koniec czego?! Świata, oczywiście! - krzyknęła. Skrzydlaty cofnął się nieznacznie. Przez ogromne okna otaczających budynków obserwowały ich zaciekawione oblicza.

- Uspokój się, Omega, bo ci się mózg zagotuje. Poza tym, chłopaka stresujesz. Jeszcze mu te piękne piórka powypadają! - obruszyła się Alfa. Merrit zwątpił w zdrowie psychiczne obu pań. W końcu nie przyszedł do nich, żeby słuchać durnowatej kłótni, w dodatku o to, czy jest „głupim ptaszyskiem”, czy też nie.

- SPOKÓJ! - huknął po chwili konsternacji. Siostry uspokoiły się i znów zaczęły na niego patrzeć, przekrzywając głowy raz w jedną, raz w drugą stronę.

- Jaki znowu koniec świata, Omega, Alfa?! Co wam odbiło? - zapytał, konspiracyjnie zniżając głos.

- „Odbiło”? Też coś! Może jeszcze powiesz, że załatwisz nam dobrego psychiatrę, a potem darmowe krematorium? - mruknęła Omega.

- Nie wiemy na czym ma polegać ten koniec i dlaczego nastąpi. Wiemy tylko, że będzie. I to niedługo. - odparła Alfa, jak zawsze, uśmiechnięta. Zignorowała zgryźliwą wypowiedź Omegi. Merrit wybaluszył oczy. Kolejna, z pozoru bzdurna, przepowiednia. Co, jeśli tym razem także okaże się prawdziwa? - myślał oszołomiony. Nie mógł wydobyć z siebie słowa. Nie miał zwyczaju przyjmowania bezkrytycznie wszystkich słów sióstr, jednak wizja absolutnego zniszczenia świata, a co za tym idzie, uniemożliwienia mu latania, wstrząsnęła nim do głębi.

- Nie kłam! - syknęła Omega i szturchnęła siostrę. W odpowiedzi ta prychnęła, a następnie wbiła wzrok w bury firmament. Skłębione chmury nie wróżyły nic dobrego.

Omega kontynuowała:

- Jesteś jedynym, który o tym wie. Niech tak zostanie. Nic nie możesz zrobić, ale i tak miło było mieć cię za... - zawiesiła głos, zastanawiając się, jakiego słowa użyć. Wyreńczyła ją Alfa:

- ...przyjaciela - uśmiechnęła się do niedowierzającego Merrita. Spłoszony, potrząsnął głową. Szybko zapiał kurtkę i wbił się w powietrze. Wydawało mu się, że wszystko jest wymarłe, opustoszałe, martwe. Chciał lecieć szybko, ale nie mógł. Czuł denerwującą ociężałość; nieznośne poczucie zagrożenia przyspieszało rytm serca, oddech, puls. Krew w skroniach dudniła nieśmiertelnie głośno. Ciche otoczenie przytłaczało go,

bał się. Wydawało mu się to irracjonalne, bo czy przepowiednia o końcu świata może być racjonalna? W historii było wiele zapowiedzi końca, były żaby z oczami na plecach, krwawy księżyc, rozstępujące się morza, krowy z dwiema głowami i Nostradamus. Koniec miał się całkiem dobrze, ale tylko w budkach, co więcej, nie miał zamiaru nadchodzić. Merrit brał pod uwagę przyjsie apokalipsy, mimo że wizja podobnego wydarzenia wyglądała na nedorzeczną. Niby dlaczego ów koniec miał nastąpić akurat teraz, w roku 2492? Dlaczego w ogóle miał nastąpić? Z drugiej strony, dlaczegoż miałby NIE nadejść? Merrit nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie. Co gorsza, myśli, że przepowiednie bliźniaczek sprawdzały się prawie zawsze nie poprawiała mu humoru. Kobiety nie żartowały z niego, niebo nie milczałyby bez powodu. Właśnie, przepowiednie miały odzwierciedlenie w rzeczywistości PRAWIE zawsze, a więc jednak istniał margines błędu, możliwość pomyłki, potknięcia, złej oceny sytuacji. Merrit zwątpił w omyłkową wróżbę sióstr. Te rozmyślenia, wątpliwości nie podnosiły go na duchu, aczkolwiek wspinałomyślnie pozwolił sobie wierzyć, że ten cały cyrk z końcem świata to jednak wymysł. Wątpła iskierka nadziei tliła się na skraju jego podświadomości.

Pogrążone w rozmowie bliźniaczki szły powoli gładką ulicą, patrząc na metropolię pogrążoną niespokojnym snem. Idealnie okrągłymi koronami karłowatych drzewek o sztucznie regularnej korze nie poruszał nawet najslabszy powiew wiatru. Powierzchnia ulicy błyszczała mlecznym światłem. Nawierzchnia zwykle miała kolor szarobłękitny, jednak tego dnia wszystko było inne. Nowe. Odmienne. Przerażające. Było zapowiedzią czegoś, co miało nadejść, ale nikt nie rozumiał, co to takiego. Niebo zbrązowiło lekko, po chwili wróciło do poprzedniego, równie niezdrowego odcienia. Gdzieś wysoko przetoczył się grzmot, złowroźny zwiastun nadchodzącej burzy. Powietrze było ciężkie i parne, oblepiające. Nad miastem wisiał dziwny, ociężały smród, który ledwo dostrzegalnie drażnił nozdrza, lecz nie dało się rozpoznać dawno zapomnianego zapachu. Wieżowce z fioletowego szkła stały się mdłe i pokraczne. Nadnaturalnie odbijały blask promieniający z ulicy, co nadawało im wygląd futurystycznych obelisków.

Alfa wzruszyła ramionami.

- Sam się zapytał. Teraz będzie się telepał ze strachu, ale trudno. Omega, kochanie... on wie, że ty...?

- Tylko ty wiesz, młotku, pomijając mnie, oczywiście - prychnęła w odpowiedzi Omega. Na jej ustach zaigrał lekki uśmiech. Po chwili spowaźniała.

- Myślisz, że powinnam zacząć już teraz? Jak mam TO zrobić? - w jej głosie dało się wyczuć

nutę paniki. Oczekując odpowiedzi, spojrzała na Alfę. Ta zastanowiła się chwilę.

- TO już się zaczęło - oznajmiła radośnie. - Moja kochana, myślę, że ty doskonale wiesz, co powinnaś zrobić. Ta wiedza jest głęboko ukryta, o tu. - Alfa delikatnie dotknęła palcem wskazującym czoła siostry. Omega, po raz pierwszy od dawna, uśmiechnęła się z wyraźną ulgą. Sprawiała wrażenie, jakby coś gryzło ją od środka, wyglądała na przytłoczoną jakimś problemem. niespodziewanie uściskała Alfę i cicho szepnęła jej do ucha:

- Boję się.

Merrit siedział na dachu wysokiego wieżowca. Myślał nad tym, co usłyszał od bliźniaczek, próbował także wychwycić kontrast między nimi, ponieważ miał wrażenie, że to istotna część zagadki. Kiedyś zapytał, czym się różnią. Alfa tylko uśmiechnęła się lekko i powiedziała, że sam się przekona.

Podciągnął kolana pod brodę. Po głowie snuły mu się słowa typu: koniec, klęska, pożoga, śmierć, apokalipsa... Apokalipsa? Skąd znał to słowo...? Podniósł się, tknięty nagłą, palącą myślą. Wspomnienie ogromnych ruin strzelistego gmachu stanęło mu przed oczami. Bawił się w nich jako dziecko. Tam nie miał nad sobą skrzydeł nadopiekuńczej matki. Postanowił odwiedzić to miejsce. Sfrunął z dachu.

Nie zwracał uwagi na nowoczesne budowle, nienaganne drzewa; nie czuł wátłego wiatru rozwiewającego włosy; nie słyszał trzepotu swoich skrzydeł. Machinalnie wybierał kierunek lotu.

Merrit miał przed oczyma sceny ze swojego dzieciństwa.

Mały chłopiec układający kolorowe szkiełka, które dopasowywał do stalowych, przerdzewiałych ram okiennych.

Przypominał sobie dziwnego mężczyznę w koronie z kolczastych patyków, przybitego do dwóch belek ułożonych na krzyż. Pamiętał, że było mu żal biednego pana, tym bardziej, że był na obrazkach w takiej ładnej, starej książce, schowanej w pudełku postawionym przy zdobionej ścianie. W pudełku znajdował się również złoty kielich, sznurek koralików z krzyżykiem na końcu i fioletowy szalik wykonany ze śliskiego, haftowanego materiału.

Merrit zawsze chował zblaknięte, wiekowe przedmioty do pudełka; nikomu nie mówił o swoim odkryciu. Dziwiły go osobliwe krzyże w obrębie całego budynku (nawet na szaliku wyszyto srebrzysty krzyżyk!).

Złotooki zobaczył pod sobą jedną z ocalałych wież wspaniałej budowli. Sądził, że pochodziła z poprzedniego tysiąclecia; słyszał o jakichś śmiesznych wierzeniach. Jeszcze na początku dwudziestego drugiego wieku zapalęcy

oddawali cześć bóstwu. Podobno twierdzili, że to uosobienie dobra, równowagi i tym podobnych. Merrit nigdy nie zagłębiał się w szczegóły tej wiary, nikt nawet nie znał jej nazwy. Wystarczała mu kolorowa, rozsypująca się książka.

Wylądował. Od czasu jego ostatniej wizyty w ruinach osunęły się dwie ściany bocznej sali, jednak główna nawa pozostała nietknięta. Trawa przeciskała się między kamieniami, porastała, niegdyś brukowaną drózkę prowadzącą do resztek ozdobnych wierzei, które dawno wypadły z zawiasów. Merrit pobiegł drózką. Przy wejściu zwolnił. Czuł odrazę na samą myśl o pospiesznym wtargnięciu do świętego, jego zdaniem, miejsca. Serce dudniło w piersi skrzydlatego niczym spiżowy dzwon, nogi drżały, mimo to zmusił się do spokojnego kroku.

Wkroczył do budynku. Owionął go chłód. Merrit wciągnął w nozdrza zapach kurzu. Rozważał setki, jeśli nie tysiące spraw, alternatyw, pytań. Na większość z nich potrafił znaleźć odpowiedzi, jednak nie na wszystkie... co będzie dalej? Po co wszedł do tej budowli? Mężczyzna wiszący na krzyżu tak uważnie mu się przyglądał, dlaczego? Czemu na ścianach były, spękane ze starości, skrzydlate istoty grające na trąbach, i pan z krzyża otoczony przez skrzydlatych ludzi? Czy w poprzednim tysiącleciu człowiek też wylęgał się z jaja? Co to za stół na podwyższeniu? Stał na nim świecznik, pewnie odbywały się tu wspaniałe uczty. Merrit podszedł do stołu, wpatrzony w resztki posadzki. Przyjrzał się srebrnemu świecznikowi. Srebro szerniało. Błat stołu pogryzły korniki, wystarczyło go mocniej trącić, żeby się rozsypał. Mężczyzna zauważył pudełko. Właściwie była to mała, bogato zdobiona szafka. Ornamenty zatarły się z czasem, lecz dało się zauważyć, iż były wykonane z dbałością o najdrobniejsze szczegóły. Obok szafki stał posąg kobiety z dzieckiem na rękach; popękał i pokrył się zielonym nalotem. Skąd, obok skrzydlatych ludzi, wzięła się kobieta z dzieckiem? Może to jakiś zakon...?

Skrzydlaty uchylił drzwi szafki niemal z nabożnym szacunkiem. Delikatnie wyjął zawartość z jej wnętrza. Po chwili wszystkie swoje skarby rozłożył na stole: książka w skórzanej, zakurzonej oprawie, wypłowiały, jedwabny szalik z krzyżykiem, koraliki, złoty kielich i kolorowe szkiełka. Otworzył książkę, w powietrze wzbił się tuman kurzu. Na każdej stronicy księgi widniał rysunek; ciąg ozdobnych, starannie stawianych liter wprawiał złotoookiego w niemy zachwyt. Z uwagą oglądał każdy napis, czy obrazek. Na którejś z kolejnych stron - ku jego jeszcze większemu przerażeniu - dostrzegł symbol omegi. Przed oczami stanęła mu jedna z szalonych bliźniaczek, która zawsze podpisywała się tym znakiem. Nie przyglądał się

dokładnie ilustracji przedstawiającej płonące miasto, nie miał do tego głowy. Postanowił odłożyć to na później. Szybko powkładał rzeczy do szafki, chwycił księgę i wybiegł. Czuł na plecach spojrzenie pana z krzyża.

Omega musi mu to wszystko wyjaśnić! Zamachał potężnie skrzydłami. Niewytłumaczalnie wielki strach odbierał mu zdolność logicznego myślenia i chłodnej kalkulacji. Bał się bardzo rzadko, nie zdarzyło się, aby zupełnie spanikował. Aż do tamtej chwili. Wyłknięty i zły na siebie, nie był zdolny do zrobienia czegoś bardziej konstruktywnego niż ciągle powtarzanie pytania: „Co robisz w mojej książce, głupia Omega?!” oraz mruczenia pod nosem przekleństw, za które najprawdopodobniej przesiedziałby w więzieniu połowę życia - groźby, zniesławienie, notoryczne uchylanie kobiecej czci i obraza całego społeczeństwa.

Wreszcie opadł na ulicę z cichym szelestem lotek. Trzymając cenną książkę, pobiegł na poszukiwanie sióstr. Skierował się na skrzyżowanie dróg, gdzie najczęściej przebywały. Nie zdziwił się, gdy je tam zastał. Siedziały na przezroczystej ławce wykonanej z grubego, odpornego na tłuczenie szkła. W skupieniu wpatrywały się w niebo.

Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo się zmęczył. Ociężałym truchtem pokonał odległość dzielącą go od bliźniaczek i z miejsca zaatakował poważną Omegę:

- Co robisz w tej książce?! - wrzasnął, dysząc ciężko. Alfa popatrzyła porozumiewawczo na siostrę, a ta westchnęła.

- Powiemy mu...? - zapytała. Alfa skinęła głową z namysłem.

- Widzisz, Merrit... ta twoja „książka” to zbiór prawd i nauk wyznawców Jedynej Prawdziwej Wiary - powiedziała powoli. Merrit wybałuszył oczy. Niebo stawało się niebezpiecznie ciemne. Omega zadrżała, a Alfa otoczyła ją ramieniem; poważniejsza z sióstr postanowiła kontynuować wypowiedź, gdyż nie doczekała się komentarza Merrita.

- To podstawa wiary tych, których współcześni nazywają zapaleńcami. Ten budynek z kolorowymi malowidłami na ścianach - to świątynia.

- A szalik?

- Stula. Takie nosili kapłani.

- Koraliki?

- Przedmiot o niezwyklej wartości, służący do modlitwy. Może sam kiedyś zrozumiesz, do czego służy. Jeżeli przeżyjesz - dodała. Na wyrwane z kontekstu pytania Merrita odpowiadała bez najmniejszego zażenowania. Doskonale знаła jego wątpliwości. Skrzydlaty zrobił zbolalą minę. Dopiero teraz wszystko wskakiwało na właściwe miejsca.

- A pan na krzyżu?

- Wybawca. Widzisz, Merrit, wierzymy... nie, my wiemy, że wiernych czeka zbawienie. Niewdzięczni zginą. To ja dokonam sądu. Do tego zostałam powołana. Właściwie jestem tylko narzędziem w rękach Najwyższego. Koniec jest zapowiedziany w „twojej księdze”, ale wy, ludzie, zapomnieliście o wierze, nie umieliście odczytać ostrzeżeń wysyłanych przez całe wieki. Odeszliście. Masz szansę na ocalenie, tylko UWIERZ. Uwierz, a zrozumiesz wszystko - zakończyła Omega. Wstała. Merrit spojrzął na nią nieprzytomnie i uciekł. Stchórzył. Więc zadawał się z wcieleniem apokalipsy?! Spędził połowę życia w świątyni „zapaleńców” i nie potrafił odczytać ostrzeżeń? On, którego wszyscy uważali za osobę obdarzoną spostrzegawczością i bystrym umysłem, nie umiał ustrzec siebie przed niechybnym końcem? To wszystko prawda, zginię, niebo także podzieli ten los. Inaczej sobie to wszystko wyobrażał. Omega zepsuła obraz jego rzeczywistości, wprawiła go w przerażenie kolejny raz tego dnia. Nie do pomyślenia. Biegł na oślep, ślizgając się po połyskującej powierzchni drogi. Godne pożalowania - pomyślał nagle. Ta myśl była ostra jak promyk światła przecinający ciemności nocy. Zawrócił równie szybko jak uciekł.

Zmęczony, skołowany mężczyzna stanął przed obliczem bliźniaczek. Spojrzął na Omegę. Teraz udało mu się dostrzec różnicę między siostrami. Alfa, roześmiana i łagodna, o jasnych oczach, kojarzyła się z czymś nowym, przyjemnym, dobrym. Omega zawsze była oschłą, zimna. Powaga nie zniknęła z jej twarzy. Miała groźne, ciemne oczy, ostrzejsze rysy; wyglądała na wiecznie przygnębioną.

Alfa i Omega. Początek i koniec.

Niebo przecięła błyskawica. Grzmot spadł na miasto. Omega uniosła ręce, wykrzyczała kilka zdań w dziwnym, niezrozumiałym języku. Nagle zniknęła. Alfa stanęła obok zdziwionego Merrita.

- Zaraz rozpęta się piekło - powiedziała spokojnie. Jej opanowanie udzieliło się skrzydlatemu, który, do tej pory struchlały, odzyskał trzeźwość umysłu. Usiłował ułożyć sobie wszystko. Alfa wytłumaczyła mu po części kwestie zupełnie dla niego niejasne, pozornie pozbawione sensu, zbyt zawiłe, by samemu się nad nimi głowić. Do jego umysłu karmionego wyziewami mediów powoli docierała Jedyna - Prawdziwa - Wiara. Miał mało czasu, ale czy trzeba tysiąclecia, żeby uwierzyć...?

Czerwonawa błyskawica znów rozświetliła nieboskłon. Zawtórował jej przeciągły, ogłuszający grzmot. Ziemię momentalnie zasypały wielkie bryły lodu; Merrit jak przez mgłę słyszał dźwięk tłuczonego szkła, wgniataanej blachy, krzyki ludzi, których mienie właśnie ulegało perfidnej degradacji. Nagle zaczęli panikować. Niewzruszona Alfa stała

na środku ulicy, wsłuchana w brzmienie kolejnego gromu, natomiast złotooki musiał się schować, gdyż mógł przypłacić życiem beztroskie siedzenie obok jednej z bliźniaczek.

Grad ustał. Perfekcyjnie zielone rośliny rosące w okolicy, ledwo żywe po gradobiciu, poczerniały, skurczyły się, a następnie skruszały. Pozostały z nich kupki popiołu smętnie zalegające w donicach.

- Szloch wstrząsnie piersią planety - zapowiedziała Alfa z ponurym patosem. Grunt zatrząsł się gwałtownie. Morze widoczne na dalekim horyzoncie stało się niespokojne. W jednej sekundzie przybrało barwę krwi; zerwał się wiatr. Od morza wionął słodki odór.

- Ja... wierzę - wydusił Merrit z niejakim zdziwieniem. Dotarło do niego, co właśnie się rozgrywa. Wiara nie przychodziła mu łatwo. Z początku traktował to jak ultimatum - albo wierzę, albo umieram. Potem przyszło zrozumienie. W końcu otworzył oczy na prawdziwy świat. Poruszał białymi wargami, jakby w niemej modlitwie.

Zapanował półmrok rozjaśniany jedynie odległymi przeblaskami wyładowań atmosferycznych. Skrzydlaty nieruchomo stał pod ozdobną wiatą zniszczoną przez lodowe kule. Odczuwał rodzaj podniecenia. Podłoże po raz drugi zadrżało. Lekkie drganie w krótkim czasie zrodziło klęskę żywiołową. Choć pandemonium trwało zaledwie kilka minut, miasto było w ruinie. Miało się wrażenie, iż kula ziemską jest piłką podrzucaną przez wyjątkowo podłe, monstrualne dziecko.

Mężczyzna patrzył nieprzytomnie na pobożowsko wywołane gradobiciem i trzęsieniem ziemi. W ulicy utworzyła się rysa, potem szczelina, wreszcie szczelina zamieniła się w ogromną dziurę. Serce mało nie wyrwało się z jego klatki piersiowej.

Niepewność. Co z nim będzie? Umrze...? To po co wiara, świątynia i wszystkie skarby? Nie, nie umrę - stwierdził. Uśmiechnął się do swoich myśli. „Będę mógł latać przez wieczność”.

- Wierzę! - wrzasnął, utwierdzając samego siebie w tym przekonaniu. Alfa stanęła za nim. Poczuł ciepłe dłonie na ramionach.

Na ulicy stało się tłoczno. Ludzie bez przerwy biegali na zewnątrz, by na własne oczy zobaczyć skutki nawałnicy oraz morze przemienione w krew. Niektórzy przed chwilą dowiedzieli się o tym z najnowszych wiadomości. Telewizja prawdę ci powie - jak mawiał ojciec Merrita.

Ziemia ponownie zatrząsła się mocniej, szyby w oknach popękały. Rozprysły się w drobny mak. Z pięknych, panoramicznych okien zostały jedynie metalowe szczyrby ram okiennych.

Huk grzmotów, świst wiatru i powszechna rozpacz nie docierały do Omegi, która siała ten zamęt. Cały harmider zagłuszały dźwięki trąb znikąd, od których góry mogłyby się zapaść w odmęty

skorupy ziemskiej. Omega spojrzała w niebo. Tuż obok niej spadła ognista kula pluająca cuchnącym dymem, żarem, okruciami skał. Błyszcząca jezdnia stopiła się błyskawicznie, zamieniając ulicę w rzekę gorącej, kleistej mazi. Wokół niepodzielnie zapanowała pożoga. Bezlitosny ogień z uporem trawił wszystko, nie oszczędzając nikogo ani niczego. Rozdzierające krzyki wypełniły powietrze, trąby ucichły. Duszący dym zalegał w zakamarkach i zaułkach miasta; w zastygającej z wolna brei tonęły zwęglone ciała ludzi, zwierząt, szczątki pojazdów. Budynki zapadały się z jękiem gniesionego metalu. Ginęły w czeluściach szczelin powstałych w wyniku wstrząsów. Ziemia rozsuwała się i grzebała budowle skazane na zapomnienie.

Alfa obserwowała wszystko, tuląc zemdlonego oparami Merrita. Była z niego dumna. Wiedziała, że zasłużył na ocalenie. Uśmiechnęła się do przechodzącej obok Omegi.

- Ty też wiedziałaś?

- Tak - odpowiedziała Omega, przekrzykując odgłosy trąb i lamentu niewdzięcznych.

Magdalena Krupa

Magdalena Krupa

Data urodzenia: 18.02.1994

Uczennica Gimnazjum nr 1 w Krasnymstawie. Zainteresowania: głównie sztuka użytkowa, rysunek, malarstwo, literatura, historia sztuki, zwłaszcza średniowiecznej i renesansowej.

Magdalena Krupa
Katarzyna Hać

Zima

Długo siedł, a wichura podążała za nim. Systematycznie tracił czucie w stopach. Na twarzy czuł niezliczone ułucia lodowych igiełek. Mrużył oczy, aby móc dostrzec cokolwiek w szalejącej zamieci.

Ogarnęła go przemożna senna. Dawno już zapomniał, co znaczy ciepło. Słyszał tylko wyjący wiatr. Jednym z jego zmartwień były niemal bezwładne nogi grzęznące w głębokim śniegu. Bardzo chciał zobaczyć chociażby ruiny ludzkich siedzib. Patrzył na nich z góry, zawsze uważał ich za dziwne istoty. Dlaczego tak potrzebował towarzystwa tych osobliwych stworzeń? Nie rozumiał. Cóż, gwiazdy zazwyczaj nie odczuwają głodu, pragnienia, samotności. Łakną energii, zwiększenia własnej potęgi. On nienawidził mozołu. Chciał być najlepszy już, teraz, natychmiast! Zgubiła go własna pycha i pewność

siebie. Pragnął być Mistrzem choć przez chwilę, ustalać zasady, rządzić życiem i śmiercią.

Upadł. Nie przeszkadzał mu nawet słodkawy smak śniegu. Właśnie teraz docenił siłę Mistrza. Jak mógł być tak głupi i bezmyślny?! Pogwałcił prawa nadziemskie, pochłaniając innych, słabszych od siebie. Przed oczami miał rozgniewane oblicze Mistrza: „Orionie! Ty głupcze!”. W uszach wciąż dzwięczał mu włączy głos. Potem nastąpiło najgorsze - strącenie. Pamiętał pęd powietrza, ostry blask i uderzenie.

Nagle spostrzegł niewyraźną postać sunącą ku niemu. Miał wrażenie, że nie dotyka stopami podłoża. Wstąpiła w niego isierka nadziei. Nie jest sam! Człowiek na tym lodowym pustkowiu! Ktoś jest w tej samej sytuacji, co on. Zmobilizował się do działania. Wstał. Rozejrzał się. Postać stała się jeszcze mniej wyraźna. - Zatrzymaj się! - krzyknął ochryple. Zachwiał się, przez chwilę. Postać zatrzymała się, jakby mierząc Oriona wzrokiem. Wezbrała w nim dziwaczna wola walki, niezlomna pewność, iż nie może poddać się w tym momencie, nie wolno mu zasnąć i zniknąć pod lodową pokrywą. Mglisty kontur rozplynał się w zawirusze. Orion znów został sam. Trwało to jedynie ułamek sekundy, jednak pozostawiło po sobie narastający bunt, osamotnienie. Kim był tajemniczy nieznajomy? A może to widziadło wykreowane przez spragniony bliskości mózg mężczyzny? Ociężałe ruszył w bliżej nieokreślonym kierunku, tam gdzie, jak sądził, zniknął nieznajomy.

Zapadł zmrok. Śnieżyca hulała, kryjąc pod płaszczem cienie nielicznych zwierząt przemykających chyłkiem obok Oriona. Wsluchał się w skrzypienie śniegu załamującego się pod ciężarem kroków. Przeraziła go mnogość odgłosów, wszechobecny chaos. Spanikował. Puścił się biegiem. Ostre powietrze wdzierało się do płuc, rozsadzało piersi. Zmęczenie zlepiło powieki. Potknął się. Śnieg znów zgrzytnął mu w zębach. Nie miał siły, aby podnieść się i iść dalej. Nie stawiał oporu, gdy śnieżne pustkowie porwało go w wir lodowych snów.

Otworzył oczy. Dziwne uczucie, nie sądził, że się obudzi. Patrzył w czyste, zimowe niebo. Słońce wyglądało równie nieskazitelnie. Skierowało wyniosłe spojrzenie na Oriona. Usiadł z wysiłkiem. Zauważył skarłowaciałe drzewa wychylające się spod śniegu.

- Żyjesz - usłyszał dzwiczny, choć delikatny głos, niewątpliwie kobiecy. Jego wibrujące brzmienie przywodziło na myśl błyszczące kształty lodu.

Zaskoczony Orion patrzył na nieznajomą. Zauważył podobieństwo między nią, a wieczornym widziadłem. Kobieta miała wręcz białą cerę, jednak nie sprawiała wrażenia chorowitej. Bładońieniebiskie, zimne oczy wypełniało jakieś niepojęte wewnętrzne światło. Na ustach nieznajomej igrał ledwo dostrzegalny uśmiech. Niewątpliwie piękną, delikatną twarz otaczała burza ciemnych loków,

mimo wszystko harmonijnie współgrająca z całą postacią spowitą w opalizującą szatę. Kiwnął głową. Miał ochotę ja uściskać. Nie czuł tej okropnej, dławiącej samotności.

- Strącony. Zauważyłam cię już dawno. To ty pochłonałeś Andromedę... - zaczęła cicho. Orion skulił się pod jej błękitnym, oceniającym wzrokiem. Nie mógł opanować drżenia głosu. Szczelniej otulił się wytartym płaszczem, aby zyskać na czasie. Nie miał odwagi się odezwać.

- Wiem, że tak było. Andromeda także została strącona, ale Mistrz jej wybaczył. Wypełniała zadanie, które dotyczyło także i ciebie - rzekła.

Zbuntowany Orion prychnął pogardliwie. Cóż znaczyła „legendarna” Andromeda, która powróciła na Nieboskłon z tułaczki? Wcale nie była tak silna, jak sądzono. I zapewne brakowało jej piątej klepki, dopowiedział w myślach. - Co ty możesz wiedzieć? - mruknął niechętnie. Musiał przyznać, wiedza nieznajomej napawała go lękiem i podziwem jednocześnie.

Roześmiała się perliście. Orion z konsternacją chuchnął w skostniałe dłonie. Dziwił się, że jeszcze żyje. Próbował ignorować bolesne skurcze pustego żołądka, irytujące pieczenie gardła. - Kim jesteś? - zapytał ostro. Uśmiech kobiety natychmiast zgasł, spłoszona poderwała się i zniknęła w mgnieniu oka. Kolejny dzień spędził na powolnej wędrówce. Mistrz wymyślił doskonałą karę, aby nauczyć mnie manier, myślał. Owszem, pochłonięcie energii innej Gwiazdy było najgorszym wykończeniem. Ludzie nazwaliby to zabójstwem. Każdy gwiazdny przestępca musiał liczyć się z ukaraniem. Musiał błyskawicznie urosnąć w siłę, żeby zagrozić samemu Mistrzowi, inaczej czekało go zesłanie na Ziemię. Strącony stawał się istotą ludzką. Sam fakt upadku i przebudzenia w nowym ciele był wystarczającym upokorzeniem. Mistrz nie oszczędzał zbrodniarzy. Jeśli strącony nie wypełnił zadania w ciągu krótkiego, ludzkiego życia, nie miał prawa powrotu na Nieboskłon.

Słońce wisiało jeszcze wysoko, kiedy znowu ją zobaczył. Nie wiedział, kim jest, dlaczego uciekła. Zastanawiała go bijąca od niej aura zimna. I ten niezwykle głos. Spostrzegła go. Szybko skryła się za zaspą połyskującą w promieniach słońca. Nie może jej zobaczyć. Mistrz nie wybaczy, jeśli on zbyt wcześniej zginie. Tak, uważało się ją za śmiercionośną. Ale czy to jej wina...? Dzięki niej ziemia odpoczywała, natura trwała w słodkiej hibernacji przez krótki czas, aby potem pręźnie powrócić do życia. Ona kołysała świat do snu. Fakt, bywała okrutna. Każdy jest okrutny. Żar bezlitośnie pływający z nieba to okrucieństwo w czystej postaci, czyż nie? Zniknęła. Orion zatrzymał się. Kolejna próba kontaktu z intrygującą nieznajomą zakończyła się fiaskiem. Westchnął. Zauważył ślady na śniegu. Tam, gdzie prowadzą, są zwierzęta. A tam, gdzie są zwierzęta, jest pożywienie. Bezmyślnie podążał tym tropem, nie myśląc o niczym. Nogi dawno stały się niewrażliwymi słupami, jednak nie zwracał na to

uwagi. Śnieg pod nim złowrogo chrupnął. Orion otrząsnął się z odrętwienia, popatrzył przed siebie. - Dość monotonny krajobraz - stwierdził. Jak okiem sięgnąć, białe, roziskrzane pustkowia, pełne zwierzęcych śladów, nierówności, niskich drzew.

Z rezygnacją postawił kolejny, ciężki krok. Miał serdecznie dość błędzenia po bezdrożach. Nie zdawał sobie sprawy, iż to dopiero początek podróży w poszukiwaniu samego siebie, odkupienia win, przebaczenia. Czuł się mały i niepotrzebny wobec ogromu świata, którym dotychczas pogardzał. Tęsknił za wolnością, jaką dawał Nieboskłon. Zmrożony śnieg załamał się ze zgrzytem. Trzasnął, a Orion rozpaczliwie usiłował stanąć na stabilnym gruncie. Mężczyzna znalazł się w niebezpieczeństwie: przez nieuwagę znalazł się nad przepaścią, zamaskowaną zdradliwym nawisem. Śnieg bardzo szybko usuwał się spod stóp strąconego. Wreszcie, z nieprzyjemnym chrobotem skruszał całkowicie, śniegowa czapa rozprysła się na kawałki. Orion w ostatniej chwili chwycił pień rachitycznego świerku. „Jak dobrze, że nad przepaściami zwykle rosną drzewa” - pomyślał w przypiływie ponurego humoru. Popatrzył na białe bryłki spadające na dno głębokiego wąwozu. Starał się nie rozmyślać o swoich szansach przeżycia. Mocniej zacisnął sztywne palce na pniu. Nie wiedział, ile wisi. Uważał, że minęła wieczność, ale równie dobrze mogła to być minuta, kwadrans, ułamek sekundy. Ból ramion zaczynał doprowadzać go do szaleństwa. Serce tłukące się w klatce piersiowej także. Nigdy nie doświadczył podobnego pulsowania wewnątrz.

Zadarł głowę. Ona stała na górze. Bezcennie przyglądała się jego sytuacji. Zacisnął zęby. - Pomóż mi! - wykrzyknął. Nie przywykł do prośbienia kogokolwiek o cokolwiek, a już na pewno nie o pomoc. Mistrz pewnie ma uciechę. Pokręciła głową. Ciemne loki podskoczyły nieznacznie. - Nie mogę. Czyżbyś nie poczuł zimnej aury? - powiedziała cicho, mimo to słyszał ją doskonale. - Co mnie obchodzi twoja aura? - burknął. - Ty naprawdę nie rozumiesz? Wszystko, co tu widzisz, to ja, moje dzieło. Jeśli cię dotknę możesz zamarnąć, zmienić się w kryształ lodu, nie wiem... - spojrzała w bok, krzywiąc się żalobnie. Długa suknia falowała na wietrze.

- Chcesz powiedzieć, że... - w jednej sekundzie zrozumiał. - Zimo? To ty? Odpowiedział mu istic lodowy uśmiech. Pochyliła się i wyciągnęła do Oriona śnieżnobiałą dłoń. - Niech się dzieje co chce....

Magdalena Krupa
Katarzyna Hać

Praca z warsztatów literackich przeprowadzonych dla gimnazjalistów w październiku 2009 roku w Powiatowej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie.

Miroslaw Iwańczyk

Postać Pierrota w literaturze i w sztuce



Pierrot wywodzi się z jarmarcznego teatru francuskiego. Przodkiem jego był Pedrolino, Pierro („Piotruś”), służący z włoskiej *commedia dell'arte*, postać stworzona ok. 1547 r. Pierrot zawsze fascynował wielu artystów, stając się dla nich inspiracją twórczą. Wcześniej była to postać jedynie komiczna, młodzieniec przystrojony w wielki stożkowy kapelusz i długie szare pantalone, opasane białą szarfą. Występował bez maski z upudrowaną na białą twarzą. Później charakter tej postaci zaczął stopniowo się zmieniać. Proces ten zapoczątkował w 1673 r. włoski aktor Giuseppe Giratone, występując w Paryżu pod pseudonimem „Pierrot”, w całkowicie białym kostiumie, obszernej bluzie i kapeluszem z dużym rondem. To właśnie on ukształtował sceniczny kanon tej postaci, który polegał na powściągliwej gestykulacji. Postawa Pierrota pełna melancholijnego smutku miała teraz kontrastować z żywiołowością i subtelnością innych postaci. Z czasem przeobraził się z komicznego błazna w romantyczną postać marzyciela, nieszczęśliwego kochanka i bładego cierpiénika. Takiego właśnie tragicznego Pierrota stworzył w XIX wieku wielki francuski mim Gaspard Debureau.

W XX wieku jego postać uległa dalszym przeobrażeniom, co było zasługą równie wielkiego mima Marcela Marceau. Otóż wskrzesił on pochodzącą jeszcze z antyku pantomimę, czyniąc Pierrota głównym bohaterem tego ludowego spektaklu, wyrażającego treść bez słów, jedynie za pomocą gestów, ruchów i mimiki twarzy. Od tej pory Pierrot stał się modny w kręgach artystycznej bohemy. Był inspiracją dla wielu pisarzy, takich jak: Charles Baudelaire, Teophile Gautier, George Sand czy Ernst Dowson. Jego postać można również odnaleźć w dramatach Goldoniego i Marivaux.

Nie należy też pominąć teatru i filmu, gdzie wspaniałe kreacje tej postaci stworzyli Jules Claretie, Sacha Guitry, zwłaszcza zaś Jean Louis Barrault w filmie „Komedianci” Marcela Carne

(1945 r.), opartym na biografii wielkiego mima XIX w. Gasparda Debureau. Film ten jest dziełem sztuki o niepowtarzalnym stylu. Akcja toczy się około 1820 r. wśród artystów paryskich teatrzyków bulwarowych, gdzie ich egzystencja styka się ze sferą świata przestępczego i zdeprawowanej arystokracji. Jediną postacią niewinną jest mim, samotny, kontrastujący z absolutną amoralnością otaczającego świata, reprezentowanego przez cyniczną kurtyzanę, zepsutego arystokratę, upadłego aktora oraz alfonsa i złodzieja. Sam zaś mim symbolizuje tragiczną postać poniżonego, tonącego w otchłani zła, cierpiącego, skrzywdzonego człowieka.

Tematykę związaną z postacią Pierrota podejmowali też artyści malarze. Przykładem jest obraz wybitnego francuskiego malarza Jeana Antoine'a Watteau, zatytułowany „Gilles (Pierrot)”. Przedstawiona na obrazie samotna postać Pierrota uderza siłą ekspresji i emanuje smutkiem. Osamotnienie i pełen cierpienia wyraz twarzy uświadamia, że przed naszymi oczami rozgrywa się wewnętrzny dramat, którego jedynym widzialnym znakiem są wilgotne oczy i lekko zaczerwienione policzki. Z kolei Jean Gerome w swym obrazie „Po balu maskowym” przedstawił tragiczną scenę śmierci Pierrota w pojedynku. Przejdźmy więc do opisu tego dzieła. Na tle mrocznego Lasku Bulońskiego rozgrywa się dramat. Na pierwszym planie widzimy bezwładnego Pierrota ze szpadą, trzymaną kurczowo w dłoni, podtrzymywanego z tyłu przez Arlekina. W głębi obrazu, po prawej stronie można dostrzec ginące w mroku sylwetki dwóch pośpiesznie odchodzących mężczyzn, zapewne uczestników tego pojedynku. Biały kostium Pierrota i zimowa sceneria kontrastują ze zmierzchem, który podkreśla tragizm sytuacji i samotność umierającego pajaca.

W całkowicie odmienny sposób namalował tę postać słynny impresjonista Paul Cezanne. Otóż jego Pierrot ze smutnym wyrazem twarzy, w obszernych szatach i w stożkowym kapeluszu na głowie stoi obok Arlekina ubranego w obcisły, czerwono-czarny kostium. Dotyka go lekko prawą dłonią, pragnąc się z nim zaprzyjaźnić. Lecz z pyszałkowej twarzy Arlekina można wyczytać, że odrzuca on przyjaźń skromnego, biednego pajaca i nie chce z nim mieć nic wspólnego.

Pierrot stał się również bohaterem dramatów muzycznych w operze i balecie. Przykładem jest tutaj opera Rugiero Leoncavallo „Pajace”, gdzie główna postać to clown o imieniu Canio, który tuż przed swym występem dowiaduje się o zdradzie swej żony, i jest zmuszony w ciężkich dla siebie chwilach, śmiać się i bawić publiczność. Gra więc na scenie komedię, bawi tłum i śpiewa arie „Śmiej się, pajacu!”, choć serce pęka mu z bólu i upokorzenia. Pod koniec trzeciego aktu wpada w szaleńczy obłęd rozpacz i zabija sztyletem żonę

i jej kochanka. Oblicze pajaca wyraża tragizm. Ukazuje cierpiącego, upokorzonego człowieka.

Przejdźmy teraz do wspaniałego baletu Arnolda Schönberga, którego pierwszoplanową i tytułową postacią jest „Księżycowy Pierrot”. Jest on tutaj symbolem marzyciela, ponoszącego klęskę w zetknięciu z surową rzeczywistością. Staje się ofiarą przewrotnej Kolombiny i doświadczonego Brighelli, przechodząc w ich rękach twardą szkołę życia. Poniżony, wyśmiany, pozbawiony stroju - symbolu swej osobowości oraz miejsca na rusztowaniu - symbolu swego schronienia, potrafi wszystko wybaczyć, a nawet zdobyć się na gest życzliwości wobec prześladowców, tuląc ich głowy do swej piersi.

Równie wybitnym dziełem muzycznym, podejmującym ten sam temat dotyczący samotności i alienacji jednostki ludzkiej, jest balet Igora Strawińskiego. Tytułowy bohater to Pietruszka, postać wywodząca się z ludowych widowisk rosyjskich, ze starych tradycji występów wędrownych artystów, skomorochów, zbliżona do postaci włosko-francuskiego Pierrota. Podobnie jak „Księżycowy Pierrot” Schönberga zakochany bez wzajemności w Kolombinie, tak samo Pietruszka Strawińskiego kocha się w Balerinie, która drwi z jego miłości. Woli zaloty głupiego, rubasznego Maura. Pietruszka rywalizuje z nim, walczy w obronie czci ukochanej, niestety zostaje pokonany podczas bójki. Później w czasie jarmarku okrutny Maur zabija go cięciem szabli pośród przerażonego tłumu. Nagle na szczycie jarmarcznej budy ukazuje się duch Pietruszki, wyrażający pięścią swemu prześladowcy. Jak więc widać, dramat Pietruszki urasta tutaj do rangi symbolu ludzkiej krzywdy.

Nie sposób pominąć postaci hiszpańskiego Don Kichota, stworzonego w XVI wieku przez Miguela Cervantesa. Don Kichot jest takim samym niepoprawnym marzycielem, nieprzystosowanym do okrutnej rzeczywistości, jak wyżej wymienieni: Pierrot i Pietruszka. Nosi w sobie duszę naiwnego i wrażliwego dziecka i dzięki temu zachowuje w sobie to, co jest w człowieku najpiękniejsze - dziecięcą niewinność oraz uмиłowanie dobra i prawdy.

Rekapitulując, należy stwierdzić, że postać Pierrota ma wymiar ogólnoludzki i ponadczasowy. Odnosi się do kryzysu egzystencjalnego człowieka. I mimo że wywodzi się z XVI wieku, jest do dziś aktualnym symbolem określającym ludzi skrzywdzonych, niezrozumiałych, żyjących w alienacji. Ludzi takiej kategorii, posiadających cechy dekadencjonalne, nazywamy współcześnie outsiderami, nieprzystosowanymi do rzeczywistości, dziwakami, odmiencami, których nie rozumieją przeciętni zjadacze chleba. A przecież są to marzyciele. Przybliżają nas do gwiazd. Odkrywają światy nieznane. Takimi właśnie pierrotami, outsiderami, marzycielami byli często nieznani za życia artyści, których twórczości wówczas nie rozumiano, a w związku z tym - nie doceniano. Ich sztuka wyprzedzała epokę, lecz nie docierała do

szerszych kręgów społecznych. Za to teraz, po wielu latach, dzieła takich twórców, jak choćby Norwid czy van Gogh, przetrwały próbę czasu i promieniują geniuszem. I dzisiaj współcześnie tworzą, przeważnie na prowincji, niedoceniani, nieznani artyści, których twórczość nie może zaistnieć na ogólnopolskim rynku, najczęściej z powodu barier finansowych. Jednak nie zrażają się tymi trudnościami. Tworzą dla pokoleń, nie licząc na żadne gratyfikacje, bo mają duchową potrzebę, by zbliżyć się do sacrum, bo są współczesnymi pierrotami, donkiszotami, naiwnymi marzycielami o duszy niewinnego dziecka.

A teraz wejdźmy w przestrzeń duchową Pierrota. Poznajmy jego wnętrze, poprzez magię poezji dotknijmy jego uczuć. Zjednoczmy się z nim transcendentnie. Spróbujmy zrozumieć samotność skrzywdzonego człowieka. Pochylmy się nad jego cierpieniem:

Jego trwaniem

Jego trwaniem są tysiące drobiazgów
 śpiących pod żelaznymi łózkami
 zawija z troską w paczuszki
 swoje marzenia myśli
 intymne pragnienia
 ukrywa w zamkniętych kuferkach
 tworzy w cienistych dolinach swą pieśń
 bez skargi bez słońca
 kolorowe dni los mu pozamiatął
 nie dla niego miąższ radości
 co rozplywa się w cudzych ustach
 spierzchniętymi wargami szepcze elegię
 chwytą pośpiesznie każdy dzień
 celebrytuje w smutku własny strach
 bez buntu bezdźwięcznie
 tonie w ciemnościach

Outsider

Ten co zawsze
 odchodzi od stada
 i gryzie ziarna goryczy
 wieczny outsider życia
 jego słowa
 więdną w tłumie
 dostrzega
 rytm ruchu w kosmosie
 jedność mroku przenika
 samotny w swej celi
 astralne lilie budzi

Mirosław Iwańczyk

Mariusz Kargul

Dlaczego wszyscy w Krasnymstawie muszą pisać wiersze? Egzegeza erupcji

Jak podaje Słownik geograficzny Królestwa Polskiego, Krasnystaw to miasto spokojnych krów i szalonych poetów. Na taką opinię zapracowano sobie długo i sumiennie. Z immanentnym przymusem składania strof ludzie tutaj bowiem się rodzą, żyją i umierają. Ginekolodzy-położnicy obserwują zdumieni, jak dopiero co przychodzące na świat oseski, z niepokojem rozglądają się za papierem i piórem. Ich małe piastki zaciskają się kurczowo w poszukiwaniu sensu życia, natchnienia i sławy. Z wiekiem jest tylko coraz gorzej. Starzy grabarze opowiadają jak to nieraz zdarza im się widzieć błądzące po cmentarzu dusze. Pytane, dlaczego nie siedzą u Pana Boga na zapiecku, odpowiadają żałośnie jęcząc, że chciałby napisać na ziemi jeszcze jakiś wiersz, wygrać konkurs, ujrzeć się w druku, obsmarować incognito zaprzyjaźnionego poetę. Bo na tamtym świecie wszyscy są aż do znudzenia poukładani i pozbawieni pierwiastka złośliwej ironii.

Tutaj poezja przemawia do człowieka niemal na każdym kroku. Chcesz od niej uciec, ale nie możesz. Wersy syją się z tynkiem kamienic, rytm nadaje stukot butów na chodnikach i pisk opon na jezdniach. Nie ma ulicy, na której nie leżałby jakiś zapomniany przez autora i wydawcę utwór, nad którym trzeba się pochylić, poświęcić chwilę uwagi, przeczytać. W witrynach krasnostawskich sklepów nie odnajdziemy swych banalnych i dobrze znanych odbić. Zamiast nich widać szeregi liter, rzędy wyrazów, układające się w misterną mozaikę sonetu, ody, sielanki, fraszki, w przypadku najmłodszych i najniższych - haiku.

Nie trzeba się zbyt rozwódzić, że z nieba nie pada zwykły deszcz, tylko potoki słów, zimą służby komunalne nie wywożą hałd burego śniegu, lecz kupki zdań i fraz, które wypadły po korektach. Żeby opisać co dzieje się na podmiejskich łąkach wiosną i latem, trzeba być nie tylko dobrym epikiem, ale i posiadaczem licencji poetyckiej. Najbardziej upojone poezją są wtedy pszczoły. Co kwiat to jakiś liryk albo erotyk. Kto zna wiosnę w Krasnymstawie, ten wie, że nie trzeba żadnych dopalaczy, wystarczy upaść na wznak na błoniach i chłonać, chłonać, chłonać. A potem wstać, szybko wyjąć notes i zapisać słowa mające wypchnąć nas przed szereg.

Poeci są tutaj zaiste szaleni, gdyż sami sobie wiersze piszą, sami je wydają, kolportują, organizują wieczorki autorskie, prowadzą je, a potem jeszcze piszą pochlebne recenzje. Odwalają w ten sposób kawał dobrej roboty i wyręczają od

niepotrzebnych zatrudnień niejeden dział promocji, agencję reklamową, speców od wizerunku. Ci, których gryzie sumienie, że nic za to nie mają, potrafią sami sobie wręczać honoraria. I to nie tak po cichu, pod stołem, tylko jawnie, odgrywając scenkę rodzajową w stylu: „To dla mnie? Och, ależ nie trzeba było, doprawdy. No, ale skoro pan/pani nalega, zdecyduję się, choć niechętnie, przyjąć”. Przeważnie są to jakieś ciułane przez lata zaskórniaki, ukrywane w dramatycznych okolicznościach, częstokroć z narażeniem miru domowego, przed życiowym partnerem. Szczególnie w mężczyznach siedzi ten chochlik chęci imponowania, a wszystko tylko po to, by po 40 latach od debiutu, 30 - małżeństwa, 15 - w stowarzyszeniu twórczym, wyrzec triumfalnie: „A jednak płacą!”

Krasnystaw sprzyja poetkom i poetom, gdyż jego atmosfera zmusza do wspólnych spotkań, biesiad, zadumek. Kiedy na ulicy z przeciwnych stron zmierzają ku sobie autorki i autorzy, świat dokoła zamiera, powstaje próżnia, w której swobodnie mogą poruszać się tylko te dwa wolne elektrony - demiurgowie słowa. Jeżeli dołącza do nich trzecia natchniona osoba, czas próbuje odkleić się od materii, a po dojściu czwartej, Stwórca zaczyna się zastanawiać, po co mu to było... O katastrofę nietrudno, bo w Krasnymstawie każdy poeta chodzi z Pegazem na ramieniu i Nike w kieszeni.

Ulubionym miejscem takich przypadkowych spotkań krasnostawskich poetów jest skrzyżowanie ulic Okrzei, Matysiaka, PCK i Oleszczyńskiego, nieopodal budynku dawnej poczty konnej. Właśnie w tym miejscu, niczym w zapomnianym czakramie, krzyżują się ludzkie losy i natchnienia. I kiedy przy tamtejszym sklepie zoologicznym zbierze się kilka osób, co to niejeden tomik mają już na sumieniu, nie rozprawiają o byle czym. Nie wiedzą jałowych sporów na temat globalnego ocieplenia, cen ropy i pandemii jakiegoś paskudztwa. Niczym średnio-wieczni teologowie, albo sanhedryn starszych braci w wierze, toczą spór mający już prawie 200 lat, o to, czy wielki polski kompozytor Fryderyk Chopin, nocując w Krasnymstawie, podczas jednej ze swych podróży dyliżansem do Poturzyna - robił siku w naszym mieście? A jeśli tak, jak mu było i czy potem nie bolał go pęcherz?

Wiedział dobrze, co pisze, poeta Czechowicz, gdy tworzył wiersz o mieście jabłonkowym. Tutaj jabłonie tak pachną i takim owocem rodzą, że tylko tu żyć i umierać. W pierwszym przypadku potwierdziło to przyjsie na świat Anny Kamieńskiej, a w drugim - odejście zeń Stanisława Bojarczuka. A jak komuś nie pasuje, proszę bardzo, jest jeszcze tyle innych pięknych miast, które nie wiedzą, co to znaczy pięciu poetów na tysiąc mieszkańców i per-manentna groźba końca świata.

Dominika Tchórz

* * *

Uważaj na mnie
bo delikatna jestem
krucha jak skorupka muszli
wątła jak wiosenny kwiat.

Nie upuść mnie
bym nie zderzyła się
z kurzem codzienności
z brukiem życia.

Opiekuj się mną
bo potrzebuję ciepła
jak ziemia po mroźnej zimie
poczucia bezpieczeństwa
jak mały ptaszek.

Trzymaj mnie za rękę
i nigdy nie puszczaj
bo boję się samotności

* * *

Serce - niby siedlisko uczuć
a tylko pompka do krwi
Umysł - niby siedlisko myśli
a tylko zbędny hamulec
Ciało - niby siedlisko zmysłów
a tylko wielka powierzchnia cierpienia

Nie myśl o tym co potem
nie myśl o tym czy warto
nie bój się bólu

Kochaj żyj
cierpiąc ucz się wybaczać
Ciesz się że istniejesz
chwytaj dzień
bo młodość tak szybko
ucieka

Ukazał się zbiór poezji 42 autorów skupionych w Koło Literatów Polskich im. Zbigniewa Herberta. Poziom artystyczny publikowanych prac jest zróżnicowany. Książka, jak większość antologii, jest swojego rodzaju listą obecności. Wydana została we Wrocławiu z okazji 5-lecia Koła. Dla nas stała się interesującym wydarzeniem, ponieważ zawiera wiersze, aż czterech osób z krasnostawskich stron. Wśród nich znalazły się nazwiska Ireny, Katarzyny i Mirosława Iwańczyków oraz zupełnie nieznanej - nawet przez wymienionych - poetki Dominiki Tchórz.

Brak not biograficznych nie pozwala rozpoznać pozostałej geografii owego wydawnictwa, ale i tak należy się cieszyć z blisko dziesięcioprocentowego udziału w nim naszych twórców. Książka w swojej formie fizycznej przypomina zeszyt w twardych okładkach, co koresponduje z tytułem „W nauce życia”.



W nauce życia (antologia poezji), Koło Literatów Polskich im. Zbigniewa Herberta, WEKTORY, Wrocław

KSIĄŻKI NADESŁANE

- Katarzyna Iwańczyk-Fowler, *Przebudzenie oddechu*, wiersze, POLIHYMNIA, Lublin 2009, ss. 79, il. 29;
- Mirosław Leszek Iwańczyk, *Wieczysty korowód*, wiersze, POLIHYMNIA, Lublin 2009, ss. 77;

Książka (U)Rodzaju

Na początku ciemność i chaos kryły ziemię. Drogowcy jak zwykle zaspali. Duch unosił się swobodnie ponad wodami, albowiem nie było jeszcze zapory w Nieliszu. Pan, w swej nieskończonej mądrości i dobroci, postanowił stworzyć Izbicę. Do dzieła zabrał się z fantazją. Najpierw postawił w Wólce Orłowskiej drogowskaz z informacją: *Graformani na lewo, na prawo poeci, a resztę jakoś się obleci*. Proces twórczy sięgnął zenitu. Jedną dłonią Pan wznosił Izbicę, drugą dłuhał przy Tarnogórze. Środkiem puścił Wieprz, po czym wyrzekł: *A potykajcie się teraz, baranki!*

Zasiadł znużony Wielki Konstruktor na tronie niebieskim, ujął w prawicę pilota, by włączyć swój ulubiony kanał Heaven TV, gdy doszły go pienia aniołów, coś jakby: „cinka, cinka!”.

- O co chodzi? - zasromał się Pan. Jaka znowu „cinka”? Co cinka? Rzeka za cinka? I miał już puścić dołem Wisłę, kiedy Michał Archanioł sprostował, że chodzi o to, by do Izbicy dać Cimka.

- Aaa, Cimka! - plasnął się dłonią z pilotem w czoło Wiekuisty. Otworzył ponownie swój niebiański edytor tekstu i wstukał weń sylogizm: *Cimek dodać Izbica równa się poezji stolica*.

A że przyroda nie znosi próżni, i usadowienie Edwarda Franciszka na Klinkiernianej nie mała to sztuka - dla równowagi - w Krasnymstawie lokował Bojarczuka. I stała się światłość pośród rymopisy, a *pax* między chrześcijany!

Z okazji Jubileuszu, E. F. Cimkowi
- Grupa Literacka A4

(Krasnystaw, dn. 27.10.09.)



Grafika -
Robert Znajomski

Edward Franciszek Cimek

* * *

Gdzie srebrem malowane żyto
przybrane kokardami maków
i woń skropionej miodem gryki
radośnie dojrzewało lato.

Dzień niby w śródpolnym kościele
monstrancję słońca adorował.
A ojciec trując się wytrwale
żniwne misterium celebrował.

Dzwoniło pól pszeniczne złoto
w stalowym brzęku chłopskiej kosi.
Pachniały na ściernisku snopy.
Śpiew wdzięczył się przepiórki głosem.

Zmierzch wieńcząc obrzęd plonobrania,
odprawiał nieszpór uroczysty
pod niebem zasianym gwiazdami,
jak chlebnym ziarnem z ojcowizny.

Krople słońca

Edward F. Cimek debiutował wierszem w 1974 roku na łamach „Zielonego Sztandaru”. Debiut książkowy natomiast odnotował 9 lat później (1983) zbiorem wierszy *Zaczyn*. Od pierwszej daty minęło 35 lat i ten fakt stał się przyczyną jubileuszowego spotkania, jakie miało miejsce w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie. We wtorkowy wieczór, 27 października 2009 roku, poeta obdarował nas najnowszą - 17 książką poetycką *Krople słońca*. Lampka dobrego wina, ciastko tortowe, obecność najbliższej rodziny jubilata, przyjaciół oraz burmistrza, starosty i księdza dziekana nadały spotkaniu szczególnej rangi. Laudacje Jana H. Cichosza oraz Mariusza Kargula, wywołały uśmiechy, a dowcipne wierszowane życzenia córki Elżbiety zaświadczały o dziedziczności talentu pisarskiego. Nie wszyscy jednak dotarli na uroczystość, przez co zgromadzeni nie mogli wysłuchać fraszek dyżurnych satyryków: Stanisława Koszewskiego i Saturnina Naliwajki. Stuprocentową obecnością mogła się za to poszczycić Redakcja Nestora.

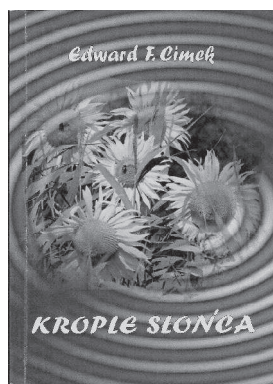
Andrzej D. Misiura



Waldemar Michalski

Maria Teresińska i Jan Wieczorek
w lubelskiej Galerii Towarzystwa
Przyjaciół Sztuk Pięknych

Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Lublinie 18 września 2009 r. zainaugurowało jesienny sezon wystawienniczy w Galerii „Przy Bramie” prezentacją najnowszych prac znanych lubelskich malarzy Marii Teresińskiej i Jana Wieczorka. Teresińska maluje od 25 lat, Wieczorek - od 10. Od lat uczestniczą regularnie w plenerach Towarzystwa organizowanych m.in. w Nałęczowie, Kazimierzu, Klementowicach, Józefowie. Na wystawie pokazano około 60 prac wykonanych w różnych technikach (akryl, pastel, akwarela, rysunek). W obrazach Marii Teresińskiej dominuje kolor zielony kontrastowany czerwienią przechodzącą w ugiel. O swoim malowaniu mówi: *Malowanie moje jest spontaniczne, „w trzy minuty”, albo jest, albo nie ma. To nie są prace „wysiedziane...”*. Jej ulubionymi motywami wydają się być kwiaty i pejzaże. Częstymi motywami w malarstwie Jana Wieczorka bywa także pejzaż, z kolei w jego rysunkach dominują motywy architektoniczne, są także szkice sylwetek ludzkich z wyraźnym akcentem satyrycznym. *Widzę i maluję*



Edward Franciszek Cimek, *Krople słońca*, Polianna, Krasnystaw 2009, ss. 40.

- mówi krótko o swoich pracach. Malowanie z natury obecnie jest w serii prac pokazanych na wystawie, a przywiezionych m.in. z tegorocznego pobytu w Roztoczańskim Parku Narodowym (Zwierzyniec, Kosobudy Bór) oraz plenerów nałęczowskich. Jego ulubionym kolorem jest brąz i różne odcienie żółci. Małżeństwo malarskie, Teresińska i Wieczorek, od lat pokazuje swoje prace przy okazji zbiorowych oraz indywidualnych wystaw. Miłośnicy malarstwa pamiętają ich wspólną dużą ekspozycję obrazów zorganizowaną w grudniu 2006 r. w Klubie Garnizonowym Domu Żołnierza w Lublinie. Obecna wystawa jest kontynuacją wspólnych zainteresowań malowaniem, które - jak przystało na małżeństwo - coraz bardziej wydaje się być wzajemnie podobne. Niewątpliwie daje ogromną satysfakcję zarówno artystom jak i oglądającym. Prace ich cieszą się dużym zainteresowaniem i są chętnie kupowane, obecne są w galeriach i prywatnych domach na terenie całego kraju. O tym, że malarstwo ich ma wielu zwolenników, świadczyła także licznie zgromadzona publiczność na otwarciu lubelskiej ekspozycji w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych. Obrazy można było oglądać do 6 października 2009 r.

Waldemar Michalski



Maria Teresińska:
Samotne sosny
nad morzem
(akryl, 2000)



Maria Teresińska:
Słoneczniki (olej,
2003),



Maria Teresińska: Kosobudy Bór - ule (olej, 2008),



Jan Wieczorek: Sosna sprzed Dyrekcji RPN
w Zwierzyńcu (rysunek tuszem, 2008)



Jan Wieczorek: Ukraiński pejzaż (olej, 2007),

Małgorzata Łobejko

* * *

Wprowadziłeś mnie w życie
trzymając mocno za rękę

tę samą wyciągasz
na pożegnanie
i mówisz że wyjeżdżasz

w daleką podróż
bez końca

* * *

Tato
tato poczekaj
jeszcze nie pora
nie spiesz się

pociąg odchodzi
za kilka lat
nie wiemy tylko
o której godzinie

Trakty niespokojne

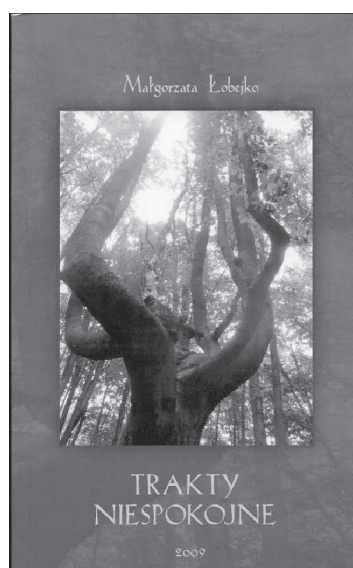
Anonsujemy tym razem debiutancki tomik wierszy kolejnej autorki należącej do Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36”, a pochodzącej z ziemi krasnostawskiej. Małgorzata Łobejko, z domu Koza urodziła się w Izbicy. Uzyskała tytułu magistra polonistyki oraz dziennikarstwa i zamieszkała na stałe w Chełmie. „Trakty niespokojne” są zbiorem wierszy, w którym można zaobserwować odzwierciedlenie bardzo osobistych przeżyć poetki. Książkę otwiera „Dotyk miłości” - rozdział delikatnych i potulnych erotyków. Następna część - „Splątanie myśli” - zawiera wiersze z podróży, opisuje pokrętną społeczno-polityczną rzeczywistość świata, nostalgię, samotność i przemijanie. W trzeciej części, zatytułowanej „Pożegnanie”, znalazły miejsce wiersze poświęcone odchodzącemu ojcu. Chwilami wydaje się, że wymienione treny są jednym ciągiem opisywanej tej nieuniknionej dla wszystkich kolei rzeczy.

Autorka w większości swoich prac bardziej dba o ich treść, niż o formę. Nie stara się poetyckich obrazów nazywać bardziej wyszukanie. Trudno

osądzić, czy na ten sposób pisania ma wpływ dyplom polonisty, czy są to twórcze poszukiwania, a może to po prostu troska o jasność artystycznej wypowiedzi. Mnie, w każdym razie, cieszy jak zawsze, zapowiedź i obecność jeszcze jednego poety z okolic Krasnegostawu.

„Traktaty niespokojne” postawiem opatrzył Longin Jan Okoń, a projekt okładki i jedenaście fotografii - podobnie jak wiersze - należą do Małgorzaty Łobejko.

Andrzej D. Misiura



Małgorzata Łobejko, *Trakty niespokojne*, Chełmska Grupa Literacka „Lubelska 36”, Chełm 2009, ss. 88, il. 11.

Grafika -
Robert Znajomski



„To jest ewenement na wielką skalę” - Stasiuk o Bojarczuku i ziemi krasnostawskiej.

Rozmowa z Andrzejem Stasiukiem przeprowadzona przez Mariusza Kargula w sali widowiskowej Krasnostawskiego Domu Kultury 1 października 2009 roku [fragmenty]

„Na morzach szerokich bywają ludzie, których trawi miłość do nieistniejącej wyspy. Na pokładzie statku śpiewają o niej pieśni i są szczęśliwi. Nie wyspa daje im pełnię szczęścia, ale pieśń o niej”.

A. de Saint-Exupéry (*Twierdza*)

- Jeżeli ktoś przechodził po raz ostatni koło Domu Kultury w zeszłym roku w lutym, były „Walentynki z Czarnym”, i przechodził teraz, pewnie powie: „O, znowu Stasiuk!”, no ale co zrobić...

- Nie wpraszałem się jakoś straszliwie. Ty mnie zmusiłeś do przyjazdu. Nie, chętnie przyjechałem. Ale ja lubię Krasnystaw. Bez żadnej kurtuazji, po prostu lubię.

- Krasnystaw też lubi ciebie. Taką mam nadzieję.

- Nie to, żebym pchał się do mieszkania w Krasnymstawie straszliwie.

- Może jakieś honorowe obywatelstwo?

- Lubię Krasnystaw. Jechałem dzisiaj obwodnicą dookoła i wiecie jaki jest niesamowity widok? Te zielone błonia i tam jest bramek chyba do piłki nożnej z 20. To niesamowicie wygląda. Pierwszy raz coś takiego widziałem.

- To jest może „bogactwo naturalne” Krasnegostawu?

- Zróbcie coś z tym. Dobrze, usiądziemy, chociaż ja już siedzę od 20-30 godzin. Spóźniłem się dzisiaj, ponieważ musiałem uratować mojego kolegę. Na Węgrzech rozbił się samochodem. Jemu się nic nie stało, samochód skasował. Musiałem w środku nocy jechać wczoraj aż do Miskolca, żeby go przywieźć do nas do domu. I dlatego taki jestem otumaniony, bo jadę bez przerwy.

- Cały czas w drodze, jak bohaterowie twojej powieści.

- To w powieściach dobrze wychodzi, a mnie już bolą plecy.

- Dodam tylko, że ten kolega, który rozbił samochód może już być niedługo bardzo ważną postacią. Tak się składa, że jest to Krzysztof Varga, który jest już w ścisłej czołówce Nagrody Nike. Rozstrzygnięcie w niedzielę 4 października, no i Andrzej mówi, że tym bardziej Krzysztof Varga chce dostać Nike, bo kupi nowy samochód.

- Niestety, bo jego „renówka” jest... Wjechał pod ciężarówkę. Zasnął i wjechał w tył ciężarówki. To cud, że nic mu się nie stało. Otworzyły się wszystkie poduchy. On to cudownie opowiadał: „Zasnąłem i raptem budzę się wśród takiej bieli, takich wybuchów *puch, puch, puch*, i myślę - zginąłem”. Ostatnia myśl właśnie taka i pierwsza jego po przebudzeniu.

[...]

- Czy pisząc *Opowieści galicyjskie*, przemknęło ci przez myśl, że to jest materiał na jakiś film, opowieść fabularną, czy dopiero, kiedy pojawiła się propozycja filmu, wtedy to jakoś do ciebie dotarło?

- Nie, nie myślałem zupełnie. Moje książki są trudne do filmowania. One składają się z obrazów, ale nie ma takiej plastycznej, dramatycznej narracji, żeby jedno wynikało z drugiego: tu się jakiś duch na przykład snuje, coś z czymś się łączy. Nie, nie myślałem. Dopiero jak Darek Jabłoński się zjawił. Ktoś wcześniej jeszcze próbował mnie namówić. Ja bardzo nie lubię pisać scenariuszy. To taka nudna robota, zaprzeczenie takiej prozy literackiej, którą lubię, gadulstwa takiego fajnego, takiej zabawy językiem. A pisanie scenariusza to jest coś kompletnie odwrotnego. Siedzenie na tej podłodze i te 40 karteczek, żeby to się wszystko zgadzało. Film jest specyficzny. Film strasznie długo powstaje. Jest w to zaangażowanych mnóstwo ludzi i są najczęściej wielkie pieniądze potrzebne. To jest takie dzieło, na które nie masz wpływu właściwie. Książkę piszesz w samotności i kończysz, kiedy ją kończysz, kiedy nadchodzi jej czas i to jest twoje dzieło. Natomiast z filmem to jest koszmar. Ja do tego świata kompletnie nie należę. To trwało dziesięć lat chyba od momentu zaczęcia myślenia o scenariuszu do zakończenia filmu i ja już się tym kompletnie nie interesowałem. Jabłoński był taki podniecony. Ja mówię: daj mi spokój, to było dziesięć lat temu, i tak się nie mogliśmy porozumieć, bo dla niego to było coś ważnego, to był jego debiut. Ta rzeczywistość filmu jest mi trochę obca jednak, nie do końca się ze mną zgadza. Robię to dla kasy, robię to dla kolegów, dla sławy (śmiech). Ale nigdy nie chciałem myśleć o gotowym scenariuszu, jako o przyszłym filmie. To była jakaś usługa, coś takiego przy okazji.

- Ale film po zakończeniu realizacji też swoje odleżał. Zdjęcia chyba zostały zakończone w 2007 roku, a premiera teraz, w tym roku, na początku maja.

- Po zdjęciach to masz jeszcze najważniejszy etap filmu, czyli zmontowanie tego całego bałaganu, który ci po zdjęciach zostaje, tego burdelu totalnego, w którym jest mnóstwo oderwanych scen, kręconych tylko dlatego, że pogoda była, dlatego że uważałeś, że to akurat w porządku, że ten aktor miał czas. Do tego jeszcze były jakieś pieniądze na jeden dzień zdjęciowy. Totalny chaos i siedzisz w tej ciemności, w montażowni, i składasz. Zresztą składałem z montażystą. Same zdjęcia to jest zabawa. To jest praca z ludźmi, w przyrodzie gdzieś fajnie. A potem to jest żmudna orka, bo to jeszcze trzeba zdjęć do tego dokleić, a potem znaleźć dystrybutora na takie kino, na które nie idą tłumy.

- Dzięki temu poznałeś, jakby od kuchni, z drugiej strony, jak powstaje film. Mogłeś w jakiś sposób to zobaczyć i teraz dzięki temu, jeśli pojawi się na przykład propozycja ekranizacji następnej książki, to może zechcesz spróbować znowu...

- Jabłoński mnie zmuszał, żebym jeździł na ten plan i tam patrzył, jak on się miotą w tej paranoi zupełnej. Żebyście widzieli jak wygląda plan zdjęciowy w małym miasteczku galicyjskim. Jak są zdjęcia, założmy lotnicze, jak helikopter jest wypożyczony, żeby zrobić piękne zdjęcia z góry. Helikopter jest drogą maszyną i głównym zajęciem całej obsługi jest trzymanie kolesi spod budek z piwem, żeby nie wychodzili, bo trzeba sfilmować puste miasteczko. Trzymają ich pod drzewami, na przystanku, żeby się tylko nie wychylili i nie śpieprzyli całego dnia zdjęciowego, bo ktoś tam przemknie. To jest jak pożar w burdelu, robienie filmu.

- Wspominałeś gdzieś, że było ciekawe zdarzenie na prapremierze filmu, kiedy pokaz był na powietrzu i były jakieś miejscowe osoby, które miały związek z tym filmem i w pewnym momencie jeden z panów wyrwał się z pytaniem *à propos* koni.

- Prapremiera była w Jaśliskach, gdzie robiliśmy główne zdjęcia. Było tam mnóstwo ludzi miejscowych. To jest takie dobre, fajne miasteczko. Jest rynek, taki wielki ekran. Ten film leci, leci, leci. Wszyscy patrzą, cisza jest, i tam w 2/3 filmu, od tylnych rzędów słyhać rumor i ktoś idzie. Idzie i krzyczy: „k...a, o koniach miało być!”. Idzie, nawalony, roztrąca te krzesła, taki wściekły chłop: „k...a,

o koniach miało być!”. A z boków: „siadaj ch..., siadaj!”. Bo twórcy w jakimś sensie go okłamali, żeby pożyczyl konie do filmu, który cały o koniach będzie. To ten czarny koń, którym duch się posługuje. To wszystko trwało z 15 sekund, a on siedział, siedział i cierpliwie chciał doczekać tego wielkiego momentu, a tu raptem 15 sekund. On był tak wściekły, tak rozżalony, a tu przyjechali ci miastowi i znowu go okłamali.

- To się nazywa magia kina.

- Kapitałne społeczne zdarzenie.

[...]

- Przypomniało mi się, że w filmie, który zrobiono o tobie dziesięć lat temu, bardzo spodobała mi się wypowiedź, jak dotarłeś do Czarnego, w tamte strony, i to co mnie bardzo uderzyło, przywiozłeś ze sobą tom Kierkegaarda, bo byłeś taki „nabuzowany” egzystencjalizmem. Myślałeś, że tam, bliżej natury, w ten egzystencjalizm wejdziesz i... Mógłbyś powiedzieć, co się stało z Kierkegaardem i jego egzystencjalizmem?

- No to, co się z egzystencjalizmem dzieje. To było w hotelu robotniczym i któregoś dnia Kierkegaarda znalazłem w śraczu. Papieru nie było w tym hotelu, wisiał na gwoździu i chłopaki z niego sobie te karteczki zdzierali. To takie przywołanie do porządku, żeby człowiek nie był pięknoduchem tylko patrzył na rzeczywistość bardziej. I tyle. To były początki, pierwszy rok w górach. Pojechałem tam pracować w lesie, jak każdy młody romantyk, ale jak chłopaki brali wypłaty, to się w takie zwierzęta zamieniali na trzy dni...

- Po tylu latach, jak tam mieszkasz, masz dom i rodzinę, czy twoje dawne wyobrażenia w jakiś sposób się zweryfikowały? Mówiłeś, że jesteś takim ciekawym przykładem osoby, która zrobiła rodzicom pewnego psikusa, bo rodzice wyprowadzili się do Warszawy, i byli tym pierwszym pokoleniem, które chciało dokonać „awansu społecznego” w mieście, a ty bach i z powrotem. W góry.

- W tej chwili to nie jest taka głuźka. Teraz tam powstało tyle domów, właśnie ludzi z miasta, którzy albo się wynieśli na stałe albo się próbują wynieść na stałe, dojeżdżają z Krakowa na weekendy. I to już nie ma takiego smaku wyzwania, jak to było w latach 80. Pojawiają się jacyś bogacze, budują po prostu jakieś wille. To już nie jest to. Tamten beskidzki, w ogóle polski, wiejski świat się zmienia. To jest fajne do obserwacji, jak ta wieś znika pod

powierzchnią miejskości, która wchodzi na wieś, chce tam żyć, bo chce, bo przyjemniej, wygodniej jest żyć na wsi, jak się jest bogaczem.

[...]

- Skoro w *Taksimie* [najnowszej powieści, wydanej 28 września - przyp. red.] pojawiają się twoi dawni bohaterowie, jest Paweł z *Dziewięciu*, są odniesienia, które możemy spokojnie przywołać do *Opowieści galicyjskich*, do *Zimy*, czy wygląda na to, że ty w jakiś sposób tworzysz sobie jedną wielką opowieść, swoje własne prywatne cesarstwo?

- Słuchaj no, czas najwyższy, bo to niedługo już będzie późno, i wiesz, na starość, to dobrze sobie stworzyć taki świat, który cię nie zaskakuje. I tak myślę, że tak, że jeszcze jedna powieść, która na przykład wszystko ogarnie, zupełnie. Tak sobie wyobrażam, że to jest podstawa pisarstwa, żeby budować taką naprawdę samą swoją rzeczywistość, budować swój oddzielny świat, żeby ci bohaterowie mieli gdzie żyć, ja też bardzo lubię myśleć geografiami, bardzo lubię myśleć przestrzeniami, i to tak sobie robię z tamtych stron, wiesz już powoli. Trochę jest to książka o Gorlicach, ale naprawdę jest to książka o takim powiatowym polskim miasteczku. Bohater je opisuje, z niego wyjeżdża i do niego wraca. Bohater, który opuszcza duże miasto, ale z bardziej dramatycznych powodów, niż ja to zrobiłem. I tak to. Po prostu jest miłość, jest zbrodnia, jest pościg, jest ucieczka, jest konflikt interesów, jest przyjaźń, to wszystko co powinno być w „powieści życia”. Tak sobie pochlebiam.

- Twoi bohaterowie pokonują tę przestrzeń, „połykają” kolejne kilometry, wożąc różne towary. Na przykład często całkiem irracjonalne, jak chociażby czapki „uszanki” z Rosji do Rumunii. Czy to chodzi po prostu o to, że oni jadą, aby jechać?

- Jakie irracjonalne?! Chłopie w 80. latach jechałeś do Rosji, kupowałeś te „uszanki” - ja to z opowieści znam - przerzucałeś to do Rumunii, jak opłaciłeś ten towar u strażników i tam kupowałeś overlocki, których nigdzie nie było w Europie, przywoziłeś te overlocki do Polski, takie do robienia swetrów, w Rumunii je produkowali. I to było genialne przebiecie. Jakie tam fiu-bździu!? A to nie zawsze się udawało, bo czasami ci skonfiskowali towar. A na Węgrzech kupowałeś zegarki „seven melodies”, takie wczesne elektroniki z duperelnymi ekranikami, woziłeś na Ukrainę, i tam ci wszystko oddawali za te zegarki. Albo bluzki ze złotą nitką też z Węgier sprowadzane, tak że to nie jest opowieść o... Ci bardziej współcześni [Paweł z Waldkiem - przyp. red.], oni już tak rzeczywiście siłą rozpędu

i nostalgii, oni tak podróżują zakątkami, które nie dają pieniędzy, ale dają poczucie, że żyją gdzieś. Tak że tutaj nie ma żadnego ściemnienia z „uszankami”.

[...]

- Czy siła narodu mogła tkwić w przemieszczaniu się?

- Słuchaj, no w takiej energii plebejskiej, takiej silnej, życiowej. Że chłopak, wiesz, jechał do Stambułu na przykład maluchem pełnym kryształów i robił tam interes. Maluchem! Do Stambułu! (śmiej). Rozumiesz co to znaczyło?

[...]

- Jedziesz jutro w swoje rodzinne strony, skąd pochodzą twoi rodzice, na Podlasie. Jedzie za tobą też ekipa telewizyjna, która robi o tobie film i w pewien sposób, chyba nie da się od tego uciec, że jednak w dzisiejszych czasach jest jakaś niezależność, chcesz może być z boku, ale oprócz pisarza jesteś też i wydawcą. Czy to jest dla ciebie jakiś przymus, że musisz uczestniczyć w takim „obiegu”?

- Moi przyjaciele zaproponowali, że zrobią film o mnie, bo dziesięć lat temu zrobili jeden, teraz chcą drugi, i się zgadzam, dlaczego nie. Na ogół jednak żyję w swoim pokoju albo w swoim szalasy, odcięty od świata, poza telefonem od czasu do czasu. Nie mam z tym kłopotu. Mogę sobie swój „wizerunek medialny” gdzieś zostawić, powiesić na gwoździu i nikt mnie jak gwiazdę nie traktuje, naprawdę, literacką (śmiej).

- Jednak musisz jeździć, obwozić tą swoją, jak mówisz „doczesność pisarską”. Nie da się chyba tak już całkiem istnieć „poza”, być incognito, nie wiem, wydawać pod jakimś pseudonimem, gdzieś tam chować się, jednak współczesny świat dopada, gdzieś odnajduje...

- To nie jest aż takie uciążliwe. Wiesz, kilkanaście spotkań w roku. Lubie jeździć po Polsce, po takich bardziej, po mniejszych miastach, i po prostu patrzeć się na nie, być. W końcu spotkanie jest wieczorem, a resztę czasu masz dla siebie. Przemieszczasz się i rozmyślasz, rozmyślasz o kraju i o sobie, spotykasz fajnych ludzi, czasami. Nie jest to jakieś uciążliwe. Ja nie robię tego z konieczności, robię tylko wtedy, kiedy chcę, nikt mnie do tego nie przymusi. Do Krasnegostawu przyjechałem, bo chciałem. Końmi byś mnie nie wywlektł.

- Najwyżej Krasnystaw musiałby się pofatygować...

- O nie, nie. Niech Krasnystaw zostanie u siebie, a ja zostanę u siebie (śmiej).

[...]

- Myślisz, że ten świat, który znamy jeszcze z opowieści naszych rodziców, nie będzie dzisiaj za bardzo „wyrównany”, „wygładzony”, „zaspachlowany”, „zaprasowany pod kant”, że będzie ciężko znaleźć takie miejsca, jak w *Opowieściach galicyjskich*?

- Zawsze można zbudować sobie takie miejsce, na przykład własne mieszkanie. Jakies obdarte, byle by było. Ja się tego nie boję, wolę mieć nostalgię, melancholię za minionym, ale to jest życie. Zmienia się szybciej niż w naszej młodości. Szybciej niż w młodości naszych babek, kiedy się w ogóle prawie nie zmieniało, chyba że przyszli Ruscy albo przyszli Niemcy. Tak, po prostu się zmienia. Można mieć do tego różny stosunek, ale to jest nasz świat, innego nie będzie. Nie można się na niego obrazić, bo się zmienia.

[...]

- Chciałem w jakiś sposób też nawiązać, korzystając z tej okazji, że jest Andrzej i zapytać go, czy pamięta, jak wysłałem mu sonety Bojarczuka, naszego genialnego, jak to się mówi, samouka, i czy w jakiś sposób zapadły ci one w pamięć? Bo jesteś wyczulony na poezję i powiedziałeś mi, że taka osoba i osobowość w jakiś sposób cię zainteresowała.

- Te sonety, to nie było oddzielne wydanie, to było...

- W takim małym pisemku.

- Ale tam była też fotografia Bojarczuka. I wiesz, jak kojarzysz fotografię chłopca z tą formą sonetu, którą on naprawdę przyswoił sobie w sposób kongenialny. To jest niestety tylko forma sonetu, którą on sobie przyswoił, ale cudowne po prostu. To jest dojmujące, że pasąc krowy, pisał te sonety. I ta jego twarz... To jest coś... To jest ewenement na wielką skalę. O tak bym powiedział.

- Dziękujemy, to zostanie zapisane w annałach, wykorzystane odpowiednio (śmiej).

- Trudno mi się wypowiadać na temat klasycznej poezji, na której się nie znam za bardzo, ale pięknie to dźwięczało. Potrafił napisać sonet na każdy temat właściwie.

- I to, co ciekawe, w wieku 55 lat, zaczął tak od razu „z grubej rury”, od razu w sonet poszedł. W tym musiało coś być.

- W tej chałupinie, jakieś łąki tutaj...

- O tym można by zrobić film, tylko trzeba najpierw te bramki pousuwać, bo wtedy ich nie było.

- Tam pasł?

- No, w tych okolicach.

- Można go sobie wyobrazić jak pasie, nie trzeba robić filmu.

[...]

- Czy czujesz się w jakiś sposób opowiadaczem, lirnikiem, który ocala od zapomnienia, gdy wszystko ginie?

- Słuchaj, gadułą niż „ocalaczem” od zapomnienia. Gadułą, który nie potrafi tak opowiadać, jak ci wszyscy faceci w knajpach, co tam siedzą i tak nadają... To nie baby są gadatliwe, to faceci są gadatliwi, jak się spotkają, och... Ci wszyscy tacy mędrkowie miejsko-przedmiejscy. Ja zawsze takich podziwiałem, śmiałości nie miałem, albo miałem trudności... I tak w książki mi poszło. Tak, no trzeba dupy nie dać, żeby opowiadać.

Opracowanie i redakcja: Mariusz Kargul,
Monika i Dariusz Włodarczykowie



Spotkanie w Restauracji „Staromiejska”.
Od lewej: Mariusz Kargul, Andrzej Stasiuk,
Piotr Hendigery i Maciej Topolski.

Lidia Jurkiewicz

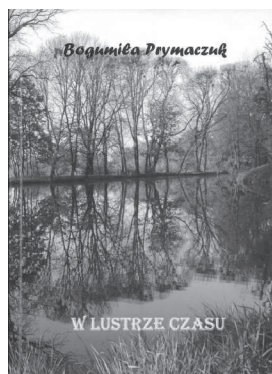
B

 liska sercu

W istocie czasu próbuje zobaczyć siebie, zмага się formą i treścią. Bogumiła Prymaczuk - poetka, która przez wiele lat tworzyła „do szuflady”. Szufladę po raz pierwszy otworzyła w 2005 r., wydając tomik „W mgłę istnienia”. W 2007 powstaje tomik „Zmierch”, natomiast rok 2009 przynosi kolejny plon literacki - 24 września odbyła się promocja trzeciego już z kolei tomiku poetyckiego „W lustrze czasu”. Książkę zdobi 31 fotografii fauny i flory, których autorami są Justyna Kozioł i Michał Żywot. Spotkanie z twórczością Bogumiły Prymaczuk odbyło się w Gminnym Ośrodku Kultury w Siennicy Różanej. Właśnie to miejsce i tamte osoby - panie Elżbieta Gap i Dorota Bzikot - otworzyły poetce psychologiczne pole kontaktu ze swoimi odbiorcami.

Obcowanie z Bogumiłą Prymaczuk i jej poezją to wielka uczta intelektualna, to płaszczyzna, na której splatają się różne dziedziny naukowe: filozofia, etyka, astronomia, fizyka, matematyka, psychologia. Ubrane we wdzięczne i dźwięczne słowa brzmienie, poruszają duszę odbiorcy, ale co najważniejsze - trafiają do świadomości, zginają kręgosłup do refleksji. Ta poezja to krzyk myśli, barwa ubranego w metaforykę słowa. Jej poezja, to ona sama. Nasycona przemyśleniami, pełna erudycji, otwarta w kontakcie z innymi, przepętniona emocjami. W czasie spotkania promocyjnego autorka błyszczała wiedzą; zgłębiła istotę czasu jako naukowiec, filozof i kulturoznawca. Było naprawdę czego posłuchać. Były też wrażenia z samej oprawy uroczystości: tykające zegary, „poetyckie miksy” z utworów poetki, piosenki Marka Grechuty w wykonaniu zespołu „I co z tego”, konferansjerka poprowadzona przez Renatę Tywoniuk i Lidie Jurkiewicz, publiczność bliska sercu pani Bogumiły. Wszystko to razem tworzyło klimat i aurę, w której rozkwitła poezja. W lustrze czasu każdy z uczestników zobaczył część siebie.

Lidia Jurkiewicz



Bogumiła Prymaczuk,
W lustrze czasu,
 Polianna,
 Krasnystaw 2009,
 ss. 70, il.31.

Bogumiła Prymaczuk

* * *

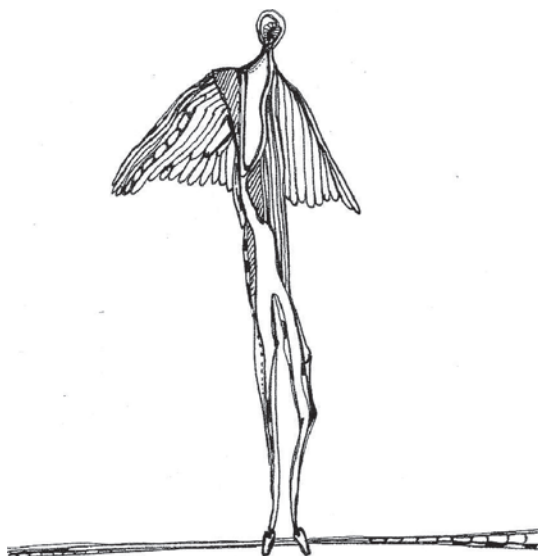
przenika nas arytmetyka
 i geometria
 rozbita mnogość kształtów
 w wiecznym kole
 nieskończoność form
 rozplywająca się w jedności

* * *

noc w lustrzanym śnie
 odbija trefne księżycy jutra

zawsze jest ktoś komu nagle
 rozsypało się życie
 jak kosz z kwiatami

nie każdy jednak potrafi
 zebrać je
 w bukiet szczęścia



Grafika - Robert Znajomski

Anna Noga

*Jesteś pewien, żeś mnie widział?
Nie przyjdiesz i nie powiesz mi jutro,
żeś mnie nigdy nie widział?
(Samuel Beckett, Czekając na Godota)*

Monolog na dwa głosy

*mówisz do mnie?
niemożliwe
a może...*

to kawiarniane stoliki szepczą coś do siebie
o wczorajszych spojrzeń zapachu magnolii
o tym że na dworze deszcz wieczny buntownik
maluje srebrzyście niespokojne okna

a może to demiurg puka palcem w ciszę
a z ziemi powstają słowa podeptane
na wielkich obcasach wspinają się w górę
na chwiejących nogach niczym wieża Babel

*mówisz do mnie?
niemożliwe
a może...*

.....
Słońce już rzuciło ostatnią garść złota

impresario! kurtyna!
pijmy za Godota

Trzynastką w dzień

jadę
za oknem ulica jak step
cisza gnieździ się w szczelinach
cegieł starych kamienic

jest siódma wślizguję się w dzień
powietrze pęka na dwoje
a miasto mruczy lubieżnie
głaskane pod sierść

słońcem
co jak błady płatek pergaminu
tłucze się o szybę
i goni i goni

jeszcze zakręt
i płynne przejście w skrzyżowanie
spójrzeń z pasażerem ósemki

przed wołaniem jego oczu
zastaniam się
Beckettem

i wolno rozciągam wersy
bo wiem

za kolejną przecnicą
nie będę już sobą

Dariusz Włodarczyk

Ponad zgiełkiem świata

Z twórczości Anny Kamieńskiej wyłania się obraz człowieka poszukującego, który pomimo zmagania i upadków odnajduje spokój. W jakiś sposób może to obrazować jej własną osobę.

Patrzac przez pryzmat jej poezji, odnajdujemy tam unikalny sposób patrzenia na świat, poszukiwanie własnej drogi, a później podążanie nią. Poezja to jej prywatna podróż do wnętrza siebie i do drugiego człowieka, w kontekście codziennego życia, gdzie dorastają dzieci, gdzie starzec stoi oparty o furtkę, gdzie umiera matka.

Matka

Nie jestem sobą.
Jestem dzieciństwem moich dzieci.
Ich przeszłością.
Już odpływam od siebie.
Czas teraźniejszy mówi mi: „Byłaś”.
Oddalam się
Od moich rąk, oczu, ust.
Jestem wszystkimi zwierzątkami moich dzieci,
Ścianą nad ich łóżeczkami
W którą zapatrzone usypiały,
Podłogą ich zabaw,
Jestem ich lękiem, płaczem, śmiechem.
Codziennie schodzę głębiej
(...)

Wersyfikacja jej wierszy związana jest z atomizacją treści, co współcześnie próbuje się rozdzielać. Brak ekwilibrystyki słowem, która zwykle maskuje niedostatki i płycizny znaczeń. Metafory zwykle są głębokie, zawierają rozległą przestrzeń dla czytelnika.

Poezja Kamieńskiej zawiera wiele rozterek, buntu i emocji, z pozoru niedostrzegalnych. Rozum kłóci się z sercem. Taką kłótnię, a jednocześnie zapowiedź późniejszych poszukiwań możemy znaleźć w wierszu *Narodziny* z tomu „W oku ptaka”.

(...)
Malerki człowieku.
Leżysz nagi, skrwawiony.
Na ziemi - na tarczy.
Więc już po klęsce?
Twój zwycięzca umyka
Kryjąc się tchórzliwie
Wśród planet.

O wiele łagodniejszy, bardziej pogodzony z rzeczywistością ton zawarty jest w wierszu *Kłamstwo*

doktora Korczaka. Oskarżenia nie są kierowane do Korczaka, ale raczej wobec realiów, które sprawiają, że tylko woal kłamstwa pozwala dzieciom znieść okrutną prawdę o wojennej rzeczywistości.

Musi pan przyznać okłamał pan swoje dzieci panie doktorze
okłamał pan dwieście swoich dzieci
a potem postanowił pan okłamywać je do końca
to znaczy aż do samej rampy i jeszcze dalej
i gdyby można w samo ucho śmierci

To prawda nie mógł pan inaczej
ponieważ prawda stała się śmiertelna
a świat od słowa światło
stał się już nie dozwolony dla dzieci
jak film zbyt prawdziwy
Właściwie to świat obrócił się o ileś tam stopni
tak że prawda stała się kłamstwem
a kłamstwo które powinno być prawdą
schroniło się u pana w żydowskim domu sierot

Może oni domyślali się czegoś przeczuwali
czasami chwytali pan ich niespokojne spojrzenia
może Monius może Abrasza on taki bystry
mały Mendel płakał przez sen
ich twarze miały blask jak twarze starców
przecież od dzieci uczył się pan od dawna umierania
(...)

Znacznikiem kresu poszukiwań Kamieńskiej
może być wiersz *Psalm najmniejszy*, w którym
widać uporządkowanie spraw życia i śmierci w
systemie wartości poetki. Kamieńska przechodzi
drogę od niewiary, przez buntownicze powątpiewanie, oskarżenia, aż do wiary.

(...)
Wierzę to znaczy ukrywam się w Tobie
wierzę więc w Tobie ginę
i pragnę jednego
liściem nieważnym opaść
w Otchłań Ciebie
który jesteś życiem

Tak skrótowo, w sposób niezwykle uproszczony można przedstawić poetycką, a także wewnętrzną drogę tej wybitnej krasnostawianki.

Dariusz Włodarczyk

Henryk Radej

2012 według Hollywood

Ufff! Udało mi się przeżyć katastrofę przemieszaną z kinem akcji. Nie ukrywam, że chwilami było ciężko i wbijało w fotel. Tego się spodziewałem. Miała być katastrofa - i była! Sporo kasy włożowano w przetworzone komputerowo obrazy, aby porządnie przestraszyć widza. I to chyba najlepsza strona tego filmu. Amerykanie mają talent także do „sprzedania” nam przy okazji kilku „patosów”, które w każdym innym filmie byłyby wyśmiane, ale nie w amerykańskim. Tutaj mężczyźni płaczą, dzwoniąc do bliskich w ostatniej chwili żywota, cały świat się wali i pali, ale amerykański prezydent (czarnoskóry!) podnosi się spod gruzów, by być nadal z ginącym narodem, amerykańska flaga ciągle łopocze i... działa telefonnia komórkowa. Ameryka jest niezniszczalna, nawet w 2012 roku. Emocjonalność tak wzniosłych obrazów wypełnia jeszcze głęboka, patetyczna muzyka.

Pomysł na sztamponowy scenariusz powstał w oparciu o znany kalendarz Majów, który kończy się w grudniu 2012. Wszystkie znaki na ziemi i w głębi ziemi globalnej wioski filmowej wskazują, że nasza planeta musi się podporządkować magnetyzmowi Słońca i ludzie są bezsilni. Ale zawsze są równi i równiejsi, ważni i ważniejsi. Pomimo, iż role bohaterów kreowane są dość topornie, to zarysy ich indywidualizmu dają się zauważyć. Przy okazji następuje podział na tych dobrych i złych. Dobrzy zdobywają sympatię widza i ocaleją, a źli powinni zginąć - i tak się dzieje. Akcja filmu jest przewidywalna z kilkunastominutowym wyprzedzeniem nawet dla licealisty przed maturą. Jednak widowisko absorbuje, a po chwilowych „dołach” nudy i przegadania, znów szybko się rozkręca. Autostrady pękają, supermarkety się zapadają, całe miasta „zjeżdżają” do morza, Hawaje zalane płonąca lawą, tylko staroświecki prezydent Włoch trwa na modlitwie, ale do czasu, gdy pęka Sykstyna, a kopuła Bazyliki św. Piotra przygniata tłumy. Któż by nie chciał tego zobaczyć, chrupiąc sobie popcorn?

Oprócz tego, że chwilami jest „straszno i śmieszno”, to pod koniec filmu (trwa prawie 2,5 godziny!) zaczyna być biblijnie. Ci, którzy do tej pory przetrwali dzięki sile pieniędzy, zaczynają okazywać ludzkie odruchy względem bliźnich. Naukowcy - wzorem Noego - zwożą na „arkę” różne gatunki zwierząt. O florze jakby zapomniano. Wymieszane wody oceanów zalewają kontynenty. Chińskie Himalaje stają się miejscem ocalenia, a nad wodami góruje jedynie masyw Czumolungmy. Kiedy uspokajają się żywioły, z bazy wylatują wypasione śmigłowce, które jak biblijna gołębica szukają suchego lądu dla człowieka nowej ery. A kiedy wody potopu opadną, wszystko zacznie się

od nowa... Prawie, bo... satelity nadal działają, komputery pokładowe też, a uśmiechnięci pasażerowie tłumnie wylegają na pokład, by pooddychać świeżym powietrzem. Jedną z młodych bohaterek dodatkowo cieszy fakt, że już nie musi zakładać pieluchomajtek!

Sweet, sweet America! Słodka i naiwna. Koniec i bomba! Kto płakał ten trąba!

Henryk Radej

Prośba o 1% podatku na fundację Danuty Błażejczyk pn. Fundacja APETYT NA KULTURĘ,
ul. Modzelewskiego 12/5, 02-679 Warszawa
(KRS 0000269051 z dopiskiem „Bogna Kicińska, studia w USA”)

Bogna Kicińska ukończyła szkołę muzyczną II st. w klasie skrzypiec w Krasnymstawie, największą jej pasją jest jednak śpiewanie.

W 2004 roku zaczęła naukę w Policealnym Studium Jazzu w Warszawie przy ul. Bednarskiej w klasie Janusza Szroma. Miała zaszczyt pracować z nim oraz wspaniałym akompaniatorem Bogdanem Hołownią przez dwa lata. Równolegle zaczęła naukę na Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach. Uczyła się w klasie Lory Szafran, a później Agnieszki Wilczyńskiej. W 2007 roku zaczęła studia magisterskie na tej samej uczelni u Grzegorza Karnasa, które ukończyła w maju 2009 roku. Pragnie kontynuować naukę na uczelniach w USA, które zapewniają najwyższy poziom edukacyjny na kierunku wokalu jazzowego.

Ubiegając się o studia w USA, Bogna prowadzi korespondencję z Queens College w Nowym Jorku, Berklee w Bostonie i Frost School of Music w Miami.

Talent Bogny został doceniony na Międzynarodowych Spotkaniach Wokalistów Jazzowych Zamość'2005, którego została laureatką. Drugim jej sukcesem jest zdobycie głównej nagrody na festiwalu Nadzieje Warszawy '2007. W sierpniu 2008 roku zajęła drugie miejsce na Międzynarodowym Konkursie Jazzowym dla Muzyków Śpiewających w Żorach.

Tak o niej pisze Paweł Brodowski w miesięczniku Jazz Forum: „Bogna Kicińska (...) to prawdziwe odkrycie, wokalistka o szerokiej skali głosu, śpiewająca z wyczuciem, swobodnie improwizująca techniką scatu”.

Bogna jest autorką muzyki jazzowej, a także teatralnej m.in. do „Chaty za wsią” wystawianej w Siennicy Różanej.

Więcej informacji na

<http://www.myspace.com/bognakicinska>

Bogna ma 25 lat i wielki talent, który dzięki Państwu może jeszcze bardziej się rozwinąć.

Agnieszka Szykuła-Żygawska

Ziemianie lubelscy

Działalność ziemianstwa lubelskiego stała się w ostatnich latach tematem sesji popularno-naukowych, książek, artykułów oraz komunikatów. Do wybuchu drugiej wojny światowej Lubelszczyzna skupiała wiele majątków ziemskich, z których największy stanowiła działająca do 1944 roku Ordynacja Zamojska. Mniejsze, ale również ważne dla rozwoju oświaty, kultury i religii były majątki ziemian m.in. w Hrubieszowskim, Tomaszowskim i Krasnostawskim.

Wokół dworu ziemiańskiego skupiała się elita intelektualna, organizowano spotkania rodzinne i zjazdy specjalistów m.in. z rolnictwa i przemysłu. Niejednokrotnie gośćmi ziemian lubelskich byli wybitni twórcy: malarze, rzeźbiarze, muzycy i poeci. Zachowała się pamięć o wizycie Fryderyka Szopena w majątku Tytusa Wojciechowskiego w Poturzynie. Do niedawna w Dyniskach rosła sosna, przy której spotykał się Artur Grottger ze swą narzeczoną Wandą Monne, podczas pobytu w majątku Izydory Skólimowskiej.

Odtwarzane przez najstarszych mieszkańców historii o właścicielach majątków, wyposażeniu ich dworów przypominają, że te coraz bardziej wyludnione tereny były miejscem szerzenia kultury. W dworach, zaprojektowanych przez czołowych architektów (w Łabuńkach przypuszczalnie według projektu Chrystiana Piotra Aignera, w Dołhobyczowie według projektu Antoniego Corazziego, w Orłowie Murowanym autorstwa Henryka Marconiego) gromadzono dzieła literatury polskiej, malarstwa i rzemiosła artystycznego.

W przygranicznym Mycowie stoi zapomniana secesyjna kaplica grobowa zaprojektowana przez lwowskiego architekta Władysława Sadłowskiego, kryjąca groby rodu Hulimków, a na cmentarzu obrządków wschodnich w Poturzynie znajduje się XIX-wieczna kamienna rzeźba wykonana przez warszawskiego rzeźbiarza Konstantego Hegla na zamówienie nieznanego z imienia Balickiego, dziedzica miejscowości.

Wyrazem zainteresowania losami ziemianstwa lubelskiego jest m.in. organizowana przez Muzeum Zamojskich w Kozłowie sesja popularno-naukowa, której tematem są wybrane zagadnienia ziemianstwa: podróże, pasje łowieckie, sposoby spędzania wolnego czasu czy działalność fundacyjna. Teksty poświęcone dziejom ziemianstwa publikowane są w czasopiśmie „Nestor”, „Zamojski Kwartałnik Kulturalny” czy „Biuletyn Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego”.

Obraz kultury materialnej ziemiaństwa lubelskiego prezentują bogato zaopatrzone stałe ekspozycje m.in. w muzeum regionalnym w Krasnymstawie. XIX-wieczne rekwizyty ziemiańskie można też spotkać w dworach zaadaptowanych po wojnie na szkoły lub izby pamięci. Nieocenione dla zainteresowanych kulturą ziemian są zbiory dokumentów przechowywane w Archiwum Państwowym w Zamościu. Największą wartość posiadają XIX-wieczne akta notariuszy, z inwentarzami majątków, w których są zawarte informacje na temat wyposażenia dworów w meble, rzemiosło artystyczne i garderobę. W wypisach znalazły się szczególnie cenne dla rozpoznania bogactwa duchowego ziemian wykazy ksiąg, dzieła sztuki - obrazy i rzeźby.

Tematyce działalności oświatowej, fundacyjnej i kulturalnej ziemiaństwa lubelskiego jest poświęcona książka Andrzeja Przeglasińskiego „Społeczna działalność ziemiaństwa lubelskiego w latach 1864-1914”. Publikacja, wydana na początku bieżącego roku nakładem wydawnictwa WERSET, jest pierwszą próbą całościowego ukazania działalności tej warstwy społecznej.

Autor publikacji, adiunkt w Instytucie Historii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej opracował temat w sposób obszerny. Sięgnął do źródeł dotychczas niepublikowanych, dokumentów przechowywanych w Archiwum Archidiecezjalnym i Archiwum Państwowym w Lublinie. Uwzględnił wspomnienia, dzienniki i pamiętniki ukazujące w szczególnie wiarygodny i bezstronny sposób życie ziemian przełomu XIX i XX wieku. Wysłuchał relacji żyjących potomków ziemian - bohaterów książki.

Ważnym przyczynkiem do tematu działalności społecznej ziemiaństwa lubelskiego są zawarte w książce fotografie ziemian. Przedstawiają właścicieli majątków ziemskich na portrecie indywidualnym, w stroju charakterystycznym dla tej warstwy społecznej, podczas zebrań i zjazdów, przed dworem, w bibliotece lub na tle ogrodu. Szczególnego znaczenia nabierają zbiorowe fotografie rodzin podczas posiłków przy jednoczącym wszystkich stole, usadzonych według hierarchii ważności. W tle widoczne jest wyposażenie dworów: okazałe meble, zastawy, instrumenty muzyczne, gobeliny i obrazy. Na zdjęciach widzimy kulturalną elitę Polski, która wraz z wybuchem drugiej wojny światowej została skazana na zapomnienie.

W pierwszym rozdziale książki Andrzej Przeglasiński kreśli portret zbiorowy ziemian w kontekście historycznym. Opowiada o ich losach w czasie powstania styczniowego, przybliża nam rzeczywistość popowstaniową, kiedy duża część ziemiaństwa wskutek represji utraciła swe majątki.

Prezentuje okoliczności kształtowania się lubelskiego ziemiaństwa, zrzeszania w towarzystwa i organizacje. Podaje konkretne daty i osoby zaangażowane w tę działalność. Mimo całościowego wykorzystania tematu, autor zaznacza: *uchwycenie dokładnych przemian własnościowych wymaga jednak szczegółowych studiów, które ciągle czekają na swojego badacza.*

Dalej zajmuje się tematem częściowo już opracowanym. Przywołuje dwór polski znany większości z lektury „Pana Tadeusza”, w której to epopei siedziba ziemian była ogniskiem szerzenia wiedzy i kształtowania poglądów. Przeglasiński zajmuje się przede wszystkim działalnością ziemiaństwa w dziedzinie rolnictwa. W oparciu o cytowane w książce korespondencje, dokumenty źródłowe i informacje z pracy, przybliży zainteresowania rolnicze, będące podstawą utrzymania lubelskich ziemian. Tereny te bowiem obfitowały w żyzne gleby wykorzystywane pod uprawę.

Echem działalności rolniczej lubelskich ziemian są zdobywające coraz większą popularność wystawy rolnicze organizowane na terenach południowej Lubelszczyzny. Od kilkunastu lat wystawa taka organizowana jest w miejscowości Sitno. Corocznie przy Ośrodku Doradztwa Rolniczego mieszczącego się w XIX-wiecznym pałacu wybudowanym przez właściciela miejscowości Kornela Malczewskiego, są organizowane festyny i pokazy ze specjalistami. W miejscowości funkcjonuje izba pamięci, w której mieszczą się m.in. sprzęty pochodzące z końca XIX stulecia. W obrębie tej tematyki pozostaje książka Andrzeja Przeglasińskiego.

W rozdziale czwartym książki Andrzej Przeglasiński przybliża działalność ziemian w oświacie na poziomie elementarnym i średnim, wykazuje ich aktywność w sferze opiekuńczej i charytatywnej. Czytamy o balach, koncertach i przedstawieniach zespołów amatorskich. Ziemianie umieli się bawić w sposób odpowiedni i pożyteczny. Na bale, wieczory taneczne, zabawy kwiatowe, majówki i teatry amatorskie przybywały pary z całego województwa. W „Gazecie Lubelskiej” z 1887 roku czytamy: *Ochocza zabawa przeciągnęła się do późnego rana. Do tańca stawało około 30 par, [...] Galerie w Sali resurowej szczelnie były wypełnione widzami przeważnie płci nadobnej.* Organizowane przez Lubelskie Towarzystwo Dobroczynności bale przynosiły duże dochody dla organizacji charytatywnych.

Pisze wreszcie Przeglasiński o działalności fundacyjnej ziemian - kolatorów świątyń znajdujących się w ich posiadłościach. Czuli się oni zobowiązani do wspierania religii katolickiej, uznając tę działalność za obowiązek obywatelski. Większość z nich posiadała prywatne kaplice przy dworach, wspomagała finansowo odbudowę

kościół parafialnych, fundowała wyposażenie. Taka inicjatywa miała miejsce m.in. w Łaszczowie na początku XX wieku, kiedy Aleksander hr. Szeptycki zaangażował się w działalność na rzecz odbudowy i wyposażenia kościoła parafialnego.

Informacje zawarte w książce Andrzeja Przegalińskiego dowodzą, że tereny Lubelszczyzny, zwłaszcza wzdłuż jej wschodniej granicy, obecnie coraz bardziej wyludnione, tętniły jeszcze przed drugą wojną światową życiem. Obecnie stan większości dworów i pałaców jest nie najlepszy. Przyczyna jest bardzo złożona: brak regulacji prawnych i osób, które miałyby pomysł i pieniądze na zaadaptowanie często opuszczonych obiektów.

W maju 2008 roku Rada Miasta Krasnegostawu podjęła uchwałę o wystawieniu na sprzedaż jednego z takich obiektów - niszczącego dworu przy ulicy Władysława Sikorskiego. Zbudowany na początku XIX wieku dwór należał do dóbr starostwa krasnostawskiego. Mieszkali w nim Dziewiccy, a następnie Radomscy. Znajdowały się w nim zbiory rzemiosła artystycznego, biblioteka, dzieła malarstwa i rzeźby. Dobrze byłoby, aby decyzja Rady Miasta Krasnegostawu dała nowe życie starym dworom...

Książka autorstwa Adama Przegalińskiego jest doskonałym źródłem informacji na temat działalności ziemiaństwa lubelskiego. Informacje zawarte w publikacji mogą stanowić punkt wyjścia do dalszych badań nad konkretnymi rodzinami ziemiańskimi i ich działalnością.

Agnieszka Szykuła-Żygawska



Andrzej Przegaliński, *Społeczna działalność ziemiaństwa lubelskiego w latach 1864-1914*, Wydawnictwo WERSET, Lublin 2009.

Bożena Fornek

„Zakaz przekraczania granicy”

Początkiem jest intrygujący kryptogram tytułu „Zakaz przekraczania granicy”. Rozszyfrują go kolejne strony książki ułożonej przez autora, Zbigniewa Dmitrocę, na kształt poetyckiego dziennika: wiersze są skrupulatnie datowane (lata 1993-2008), zapisywane dziś z perspektywy wczoraj - są pomostem pamięci, konfrontacją siebie samego poddanego upływowi czasu. Wiersze z „Zakazu...” wytyczają więc granice zakreślone doświadczeniem „własnej skóry”. Bohater - lokator teraźniejszości, chce się w niej odnaleźć. Dziś, bogatszy o doświadczenia, szuka wskazówek w przeszłości, chociaż wie, że powroty nie są zwierciadłem minionego czasu, a tylko przeblaskiem chwili. *Mapa mojej młodości jest coraz mniej wiarygodna (...)/ prawdziwa jest jedynie jej legenda („Legenda”).*

Zbigniew Dmitroca przywraca wierszem młodzieńcze ścieżki z rodzinnego Niewirkowa, wspomina pobyt w Gdyni i Beniowskiego, który był mu patronem w czasach (jak pisze) *górnym i durnych*; dziś wreszcie sytuuje się *Poza dorzeczem*, gdzie uchodzi za *kuriozum wśród tutaj urodzonych*. W wierszu „Poza dorzeczem” zapisuje:

A przed trzydziestu laty (...)/ nie wyściubiłem nosa ze swojej rodzinnej wioski/ Obcych widywałem tylko od wielkiego dzwonu / na odpuszcie w parafii i naszym Niewirkowie/ Aż w końcu i mnie znęciło złote runo nicości/ i nigdzie nie potrafię dłużej zagrać miejsca.

Poeta, zgodnie z herbertowskim przesłaniem, daje świadectwo czasu (nicości). W topografię „Zakazu przekraczania granicy” wkraczą: sąsiad-alkoholik, okoliczny warchoł Kotuła, niepotrzebna nikomu staruszka Fiutka, skądś biorą się głosy (*jak ze złego snu*) - Miłosz won z Wawelu, ujawniają się *zakamarki/ bez których nie byłoby Dostojewskiego*. Nawet wolność z wiersza *Coraz mniej miejsca* wie dzie człowieka na genetycznym pasku urody.

Z kolei literacki rekonesans Dmitrocę poprzez dziedzictwo sztuk pięknych („Krótki kacarski traktat o aniołach”, „Nie znajdowałem”, „Piosenka dla Darka Króla”) rozpoznaje artystyczne credo pokoleń: *Zanim umrze - obnaży rdzeń bryły/ Cierń, którego nie przestaje czuć* („Michał Anioł”). Ów cień przywodzi na myśl istotę tworzenia. Sztukmistrzowie stają przeciw (bolesnej) obojętności świata, przekraczają granicę osobistej neutralności, prowokują do jej przekraczania adresatów książek, obrazów, dźwięków, myśli. *Dlatego Platon wygnał poetów z Polis/ i graców na Rusi tłamsiła Cerkiew/ Nie święci przecież piszą wiersze/ nie dla aniołów i świętych („Miałem być”).* Istnienie granic rodzi

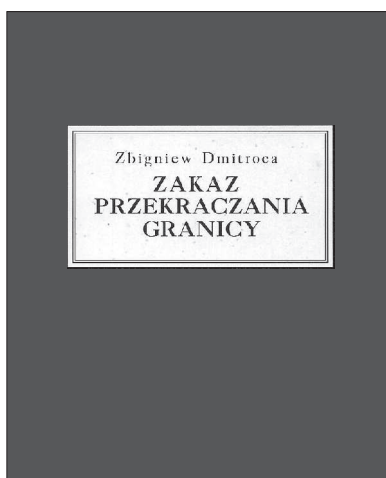
pytanie o potrzebę ich przekraczania:

Rozumna świadomość własnych granic i nierozumne pragnienie ich pokonania - jedno i drugie konstytuuje człowieka. Każda poszczególna granica jest przekraczalna, ale nieprzekraczalne jest istnienie granicy (Leszek Kołakowski). Wiersz „Przebaczyłem” opisuje człowiecze wyjście poza granicę wiary (rozumianej nie tylko w kategorii eschatologicznej): *Osierocony nawet przez pramatkę wiarę/ w godzinie trwogi nie ma się gdzie skryć*. Dmitroca w świecie upatruje wielu dysonansów (niekoniecznie opatrując je znakiem „+” albo „-”) ziarno piasku czyni sprawcą cudu, skrzyp skarłały za cenę istnienia stawia wobec dylematu etycznego, pogodnie południe 23 czerwca 2002 zderza z wiejskim ołowianym południem Cwietajewej z 1918 roku, *Piosenkę na odchodne* opatruje zwodniczą, refrenową frazą: *sens ziemskiej egzystencji/ pełen jest ambiwalencji*. Kiedy oczy poety łagodnieją wierszami daje wiarę urodzie świata, nieczęste to chwile - wrzesień 2003 (*to nie ja*), 11 lipca 2002 (*Wróciła żona*), *Egzystencjalizm (datowany sierpniem 1997 do lipca 2006)*.

Książkę poety-tłumacza kończy wiersz (datowany 12 marca 2008) o tytule swobodnie szybującym poprzez granice transcendencji - *Zmartwychwstanie*:

Ćwierć wieku/ tłumaczyłem nieboszczyków/ Aż w końcu dotarłem/ do żywych.

Bożena Fornek



Zbigniew Dmitroca, *Zakaz przekraczania granicy*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich i Świat Literacki, Warszawa-Lublin 2008, ss. 64.

„Pisać, to rysować swoje mandale” (Julio Cortazar, „Gra w klasy”)

Tomik poezji Andrzeja Davida Misiury „Mandala klucznika” prowokuje do zaznajomienia się z wywodzącym się z buddyzmu pojęciem mandali, więc harmonijną figurą rozpiętą pomiędzy niebem-nieskończonością/ a/ człowiekiem-ziemią. (Graficznie jest to kwadrat wpisany w koło). Odchodząc od konkretności wiedzy - zajmująca jest sama idea harmonii.

Myśl życia w harmonii z samym sobą i światem jest przewodnią intencją tomikowych wierszy. Bohater o tę idealną symetrię będzie zabiegał, o jej trwanie będzie się mocował z żywiołem własnych emocji. Rys obranej drogi odzwierciedla obraz ze szczytu La Salette, gdzie bohater wiersza („Na szczycie La Salette”) trwa zawieszony pomiędzy podniebnym stopniem „skalnego różańca”, a otchłanią przełęcz, która „gotowa jak magnes/ przeciągnąć cię/ na swoją stronę”. Ta dwudzielnosc świata będzie się ujawniała w wielu wierszach.

Poezje otwierające pojęcie „mandala” - „Mandala klucznika” i „Mandala kuszenia” - pozostawiają jednak czytelnika w kręgu niedopowiedzenia; znudzone, zagubione klucze, czy pozór wpisany w definicję ekliptyki (w kuszeniu) budzą przypuszczenie, że w drodze do harmonii zdarzają się manowce. Te wiersze są jednak widomym znakiem drogi - poszukiwania czegoś w sobie i poza własnym ja, są sygnałem konfrontacji zamiaru i spełnienia. Bohater, może nim być tytułowy klucznik, mierzy się z losem w imię obranego posłannictwa. Analogicznie do postaci z realnych życiowych ścieżek - jest poetą, w którym ciągle od nowa zasiewa się niepewność „obawa o sens/ o wypełnienie” („List”).

Sam poeta, akt tworzenia i sztukę sytuuje w przestrzeni sakralnej (i w nieco podniosłym tonie słów): „nie napelnę uległej gliny/ bogiem/ ta misja sprowadzi milczenie/ i grozę tajemnych praw” („Misja”).

Próbę poezji weryfikuje inwersja życia i literatury; harmonijne poetyckie spełnienie jest mniej pewne od banicji. Bluznierca z wiersza „Po zachodzie”, niczym Leśmianowski Eliasza doznaje losu wygnańca, tułacza kosmosu (buddyjska wędrówka dusz?), w którym „saturn prawdziwy/ jak poezja/ o szerokość pierścieni/ wierniejszy”.

Ziemska codzienność niesie poecie obawę „niewysłowienia”, postawienia za szybkich wyrazów, szemrania znanych wątków: „to co chciałem wysłować/ zamazuje korekta/ wszystko już było”. (Ale inaczej podpowiadają satyrycy).

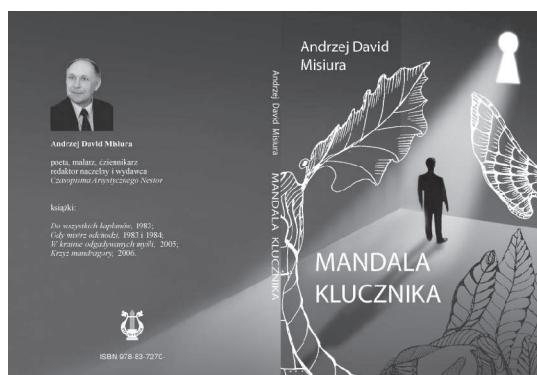
Kronikarz, każdy z osobna, wyróżnia inną chwilę. Andrzej David Misiura - wiersz „Chwila”: „nie zaniósłem pogodnego spojrzenia/ nie zdążyłem pogadać o niczym [...] Chwila czysta jak święto/ światło zaciągnęło rzadką sieć/ krótko błysnęły okna kamienicy/ i ty”.

W poezji Andrzeja Davida słowa wierszy bywają zapowiedzią albo objawieniem obrazu. Lubię te malarskie linijki wierszy „Skrzyżowane kłosa”, „Na białe i żółto”, „Na szczycie La Salette”, te ze „Skrzyżowanej rzeki”: „wiadra spłoszone czyjaś dłoń/ obdzierają w strzępy kołnierzyki/ świątecznych koszul”.

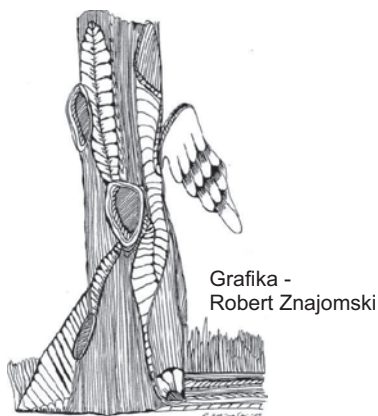
Obraz rozpięty pomiędzy nieskończonością przestrzeni i konkretem studziennej cembrowiny strzępiącej rant wiader - pozwala na niego patrzeć poprzez, proponowaną przez poetę, perspektywę mandali.

Poetycka perspektywa „Mandali klucznika” każe przyrzeć się życiu rozpiętemu pomiędzy asonansem a dysonansem, jest zachętą do osobistych doczytań.

Bożena Fornek



Andrzej David Misiura, *Mandala klucznika*, Wydawnictwo „Polihymnia”, Lublin 2008, ss. 67.



Grafika -
Robert Znajomski

„Nestor” w Wawrzynie

Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie, dzięki nowej siedzibie, jaką przed rokiem znalazła w kolegium pojezuickim, pozyskała lepsze możliwości do prowadzenia działalności kulturalnej. Redakcja nasza od początku związana z tą placówką nie omieszczała skorzystać i tym razem z przyjaznej atmosfery oraz sposobności, aby dokonać promocji dziewiątego numeru *Nestora*. W programie uroczystości odbył się wernisaż rzeźby Agnieszki Żuk-Słabek, której prace przedstawiane były także w prezentowanym wydaniu naszego czasopisma. Spotkaniu towarzyszyła także promocja najnowszego tomiku poetyckiego *Mandala klucznika* Andrzeja Davida Misiury. Ku powszechnemu zaskoczeniu, autor - i zarazem redaktor naczelny *Nestora* - otrzymał z rąk znanego literata Longina Jana Okonia Brązowy Wawrzyn Literacki za całokształt twórczości.

Wśród gości znaleźli się także wicestarosta Andrzej Kmicic, wiceprzewodniczący Rady Powiatu Ludwik Kafarski, przewodniczący Komisji Oświaty Marek Kiciński, naczelnik wydziału oświaty Tadeusz Błyskosz, ksiądz dziekan Henryk Kapica, przewodnicząca Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Siennickiej Anna Fornal, wicedyrektor ZOZ Zbigniew Bijata, dyrektor Zespołu Szkół w Zakręciu Anna Antyga, redaktor naczelna Zamojskiego Kwartałnika Kulturalnego Agnieszka Szykuła-Żygawska i inni. Uroczystość uświetnił występ dwóch solistek Młodzieżowego Domu Kultury w Krasnymstawie i satyryk z Chełma Stanisław Koszewski, który celnie i na poczekaniu sypał fraszkami jak z rękawa.



www.krasnystaw-powiat.pl

Stanisław Koszewski

Fraszki dedykowane panu Andrzejowi D. Misiurze na promocji tomiku wierszy „Mandala klucznika” i Czasopisma Artystycznego „Nestor” nr 3(9)2009

Wyjaśnienie

Dlaczego uczestniczę, może ktoś się głowi, z okazji wręczenia „Wawrzynu” Andrzejowi?

O tomiku

W tomiku Andrzej naucza
do czego służy dziurka od klucza.

Tajemnica tworzenia

Tworzył wprost z głowy,
oceńcie sami efekt końcowy.

Moment odznaczenia

Widziałem jak wielu rzęda mina,
gdy odbierał „Literackiego Wawrzyna”.

Wymowa

Kapituły znak rozpoznawczy:
gest pojednawczy.

O „Nestorze”

Oto prawda cała,
„Nestora” twórcom chwała.
Resztę sobie dośpiwam,
dlaczego mnie „Nestor” olewa.

Szczerość

Redakcja czytanie ma z głowy,
otrzymuje numer gotowy!

Problem

By wzmocnić „Nestora” krzepę,
redakcja aranżuje ściepę!?

Deklaracja

Sponsor wygłosił tekst krótki,
Nie będzie redakcyjnej zrzutki.

Krasnystaw, dn. 05.11.2009

Elżbieta Szadura-Urbańska

Nagrody literackie na Święto Niepodległości

Już po raz siódmy w dniu 11 listopada wręczono Nagrodę Literacką im. Józefa Mackiewicza. Jury wybierało spośród książek napisanych w języku polskim i wydanych w roku poprzedzającym przyznanie nagrody. Książki, a mogą być nimi powieści, tomiki poezji, prace publicystyczne, naukowe rozprawy historyczne i krytycznoliterackie - zgłaszają wydawcy. W tym roku nagrodzone książki reprezentowały wszystkie wskazane w regulaminie kategorie. Nagrodę główną otrzymał Bronisław Wildstein za powieść „Dolina Nicości” obrazującą realia biznesowo-polityczne współczesnej Polski. To już dziewiąta powieść autora, który znany jest głównie jako publicysta. Dziękując za wyróżnienie, Wildstein przyznał, że przede wszystkim czuje się pisarzem i pracuje już nad kolejną książką.

Kapituła nagrody im. Mackiewicza przyznała też cztery wyróżnienia. Otrzymali je: Michał Wojciechowski za „Moralną wyższość wolnej gospodarki”, Grzegorz Eberhardt za „Pisarza dla dorosłych. Opowieść o Józefie Mackiewiczu”, Krzysztof Koehler za tom wierszy „Porwanie Europy” i Sławomir Cenckiewicz za „Sprawę Lecha Wałęsy”.

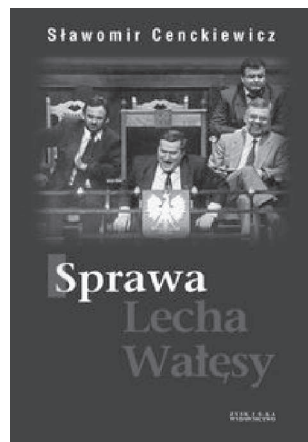
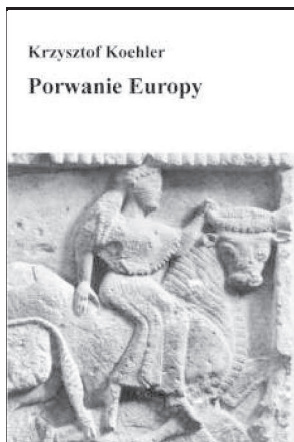
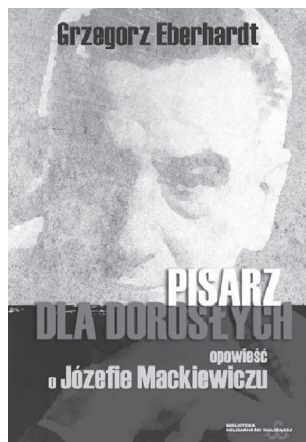
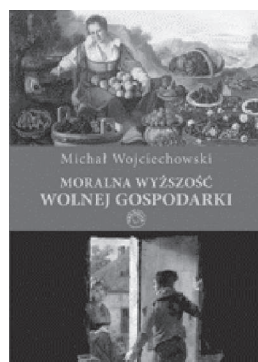
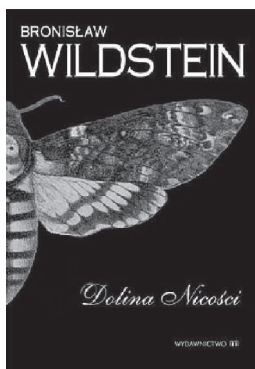
Mnie bardzo zaciękała książka ekonomiczna - „Moralna wyższość wolnej gospodarki”. Profesor Wojciechowski przekonuje, że prowadzenie działalności gospodarczej jest również wyborem moralnym. Autor dowodzi, że gospodarowanie jest z natury dobre, gdyż tworzy dobro. Wypacza je zły system ingerencji państwa, biurokracja i zwykłe ludzkie słabości, takie jak chęć szybkiego zysku, kłamstwo, nieuczciwość. Zabawną ciekawostkę stanowi wyznanie nagrodzonego, że obok zaszczytu czuje też zażenowanie, gdyż nigdy w szkole nie dostawał z języka polskiego oceny wyższej od dostatecznej. Wyróżnienie dla Sławomira Cenckiewicza publiczność przyjęła wyjątkowo gromkimi brawami. Sala Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, jak zawsze w Święto Niepodległości, gromadzi wyznawców odczytywania historii najnowszej.

Książka kolejnego nagrodzonego - Grzegorza Eberhardta jest ponadśiedmiusetstronicową monografią patrona nagrody - Józefa Mackiewicza. Benedyktyńska praca autora nie poszła na marne. Zapewniłam, że trudno oderwać się od tej lektury. Losy trochę zapomnianego i niedocenianego intelektualisty spletały się nieraz w sposób tragiczny z historią ubiegłego wieku.

Niezlomna postawa Józefa Mackiewicza, umiłowanie wolności i niezależności poglądów budzą szacunek. Dla mnie dodatkową atrakcją - o ile można tak powiedzieć - jest wstęp napisany przez niedawno zmarłego Macieja Rybińskiego.

I jeszcze Krzysztof Koehler z „Porwaniem Europy”. Nie znam tych wierszy, ale na pewno po nie sięgnę. Laudacja prof. Jacka Bartyzela przekonuje, że powinniśmy dokonać wszelkich starań - książkę wydało sopockie wydawnictwo Topos - aby móc sięgać po te wiersze jak najczęściej. Wydawcami większości nagrodzonych i nominowanych książek są właśnie małe oficyny. To dowód na to - jak powiedział jeden z członków Kapituły - że wartościowe rzeczy częściej dostrzegają ludzie mający dystans do chwilowych literackich mód.

Elżbieta Szadura Urbańska



Waldemar Michalski

Jesień nad morzem - Kołobrzeg

Co można robić jesienią nad morzem? Pytanie raczej retoryczne. Właśnie w październiku a nawet listopadzie utrzymuje się tu jeszcze słoneczna, choć już wietrzna pogoda. Nie ma tłoku ani na promenadzie, ani na spacerach wzdłuż brzegu. Gromady skrzeczących mew, a także łabędzi wręcz nachalnie domagają się pokarmu. Nie wystarczają im wyrzucone po sztormie na brzeg drobne flądry czy małże. Morze bywa wzburzone, często groźne, ale w żywiole swym piękne. Sól na wargach, jod w oskrzelach - samo zdrowie!

Za sprawą Narodowego Funduszu Zdrowia i skierowań do Kołobrzegu na turnusy sanatoryjne w sezonie jesiennym łatwo było spotkać kuracjuszy z Zamościa, Biłgoraja, Chełma, Lublina... Obok tych z Dolnego Śląska, przybyli z ziemi lubelskiej stanowili wyraźnie zauważalną grupę. W sanatoriach ulokowanych tuż nad samym morzem (m.in. ogromny „Bałtyk”) mieszały się z licznie przybyłymi pensjonariuszami z Niemiec. Trzeba zauważyć, że Kołobrzeg chętnie odwiedzany jest przez gości z Odry. Dla nich jest tu wszystko tanie, a standard usług bardzo wysoki. Niemcy szczególnie chwalą sobie polską kuchnię, no i to, że w każdym sanatorium polski personel mówi po niemiecku. Można zaryzykować twierdzenie, że Kołobrzeg w dużej mierze także „żyje z Niemców”.

W przeciwieństwie do Polaków wolących spędzać wolny czas przy telewizorach, Niemcy są turystycznie aktywni. Zwiedzają, spacerują, oglądają, dlatego też wszędzie są zauważalni. Także na plaży, gdzie co bardziej przedsiębiorczy handlarze wystawiają swoje kramy. A kupić tu można niemal wszystko, poczynawszy od bursztynowej biżuterii, poprzez damskie figi, męskie koszule a nawet „prawdziwy z własnej pasieki miód”. Niemcy chętnie kupują miód, „ten prawdziwy” - akacjowy, rzepakowy i spadziowy. Zatrzymują się i komentują także wystawiane do sprzedaży wprost na plaży olejne obrazy (kwiaty i morskie pejzaże). Artystka p. Irena Zadrużyńska sprzedaje je osobiście. Ceny przystępne, a pamiątki trwałe, więc - jak mówi - „czasem sprzedaje się jeden, czasem więcej, nigdy nie wiadomo, jestem tu gdy nie pada...” Tu w portfelu obecna jest już Europa. Płaci się nie tylko w złotych, ale także w euro, nawet w toaletach (wstęp 0.50 euro). Nie dziwi więc nikogo, że wszędzie obecne są napisy informacyjne także po niemiecku, nawet w kościele...



Życie kulturalne nadmorskich ośrodków miejskich właśnie jesienią owocuje licznymi i ciekawymi imprezami. Podobnie jest i w Kołobrzegu, mieście liczącym około 45 tysięcy mieszkańców

(w sezonie letnim przebywa tu równocześnie ok. 200 tys.). Cieszy na każdym kroku porządek i czystość. Zieleń bardzo długo utrzymująca się jesienią, dominuje w mieście. Otacza skwery, fontanny, pomniki i tablice poświęcone pamięci żołnierzy polskich i sowieckich idących ze Wschodu, a poległych w marcu 1945 r. w walce o polskie morze i Kołobrzeg. Zwraca uwagę usytuowany w centrum miasta piękny pomnik marszałka Józefa Piłsudskiego. Tu mają miejsce patriotyczne manifestacje mieszkańców Kołobrzegu.

Architektura

Kołobrzeg jest miastem podniesionym niemal w całości z wojennych ruin. Ale rekonstrukcja starego miasta dokonana w ostatnim dwudziestolecu zasługuje na szczególną uwagę, podziw i uznanie. Odbudowane kamieniczki wokół ratusza i gotyckiej katedry tworzą ściśle centrum miasta. To niemal wierne kopie prawzorów z XVII i XVIII wieku. Bajecznie urokliwe, nadają miastu szczególny wyraz starego bogatego europejskiego grodu.

Perłą architektury gotyckiej jest kołobrzewska katedra (od niedawna bazylika). Kto raz był, nie zapomni wrażenia jakie ta ogromna, pięciosałkowa świątynia czyni na odwiedzających. Nie tylko dlatego, że jej ogromne kolumny podtrzymujące od stuleci sklepienie odchyliły się od pionu o wyraźnie zauważalne okiem odległości. W PRL-u miała pozostać jako trwała ruina, ewentualnie muzeum oręża wojskowego, dziś ciągle jeszcze pokryta jest rusztowaniem. Stanowi narodowy skarb świadczący o 1000-letniej historii kołobrzeskiego biskupstwa. Przed katedrą zwraca uwagę pomnik w postaci symbolicznego krzyża ze stojącymi pod nim postaciami: Jana Pawła II i Bolesława Chrobrego z lewej strony, i cesarza Ottona III oraz Benedykta XVI z prawej strony. Tu zawsze leżą kwiaty i palą się świece...

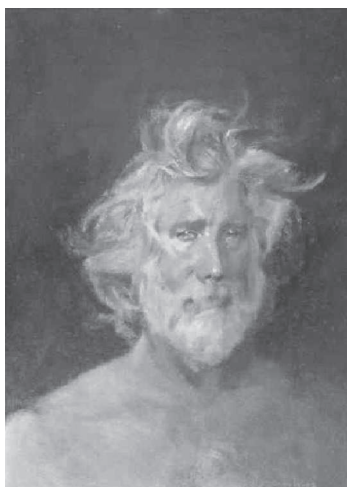
Idąc od katedry w stronę szerokiej i ujętej z obydwu stron spacerowymi bulwarami rzeki Parsęty (jej ujście stanowi kanał kołobrzeskiego portu), zauważyć można po drugiej stronie dobrze utrzymaną murowaną cerkiew greckokatolicką z wyeksponowanym na jej cmentarzu dużym krzyżem z napisem na ramionach: „1947 - Akcja Wisła”. Mówiąc szczerze, między Bogiem a prawdą, na drugim ramieniu tego krzyża powinien znaleźć się napis: „1943-1947 Akcja OUN UPA”. Ten krzyż ma dwa oblicza, a kościół greckokatolicki woli się bić nie w swoje w piersi...

Ktokolwiek znajdzie się w Kołobrzegu musi przejść nadmorską promenadą od portu (od latarni morskiej) do mola (betonowo-drewniana konstrukcja o 220 m długości i szerokości 9 m). W środkowej części promenady zwraca uwagę ka-

mienny pomnik wystrzelający swoim ramieniem wysoko ku górze z symbolicznym u podnóża „oknem na morze”. To pomnik „zaślubin z morzem” autorstwa Wiktora Tołkina. Na lewej części rewersu pomnika znajduje się napis: *Stulecia minęły, znowu nad twoim brzegiem stoimy. Byliśmy tu i będziemy. W XX rocznicę powstania Ludowego Wojska Polskiego, październik 1963*. Warto pamiętać, że Tołkin - wybitny polski artysta rzeźbiarz (ur. w 1922 r.) - był więźniem Auschwitz i żołnierzem Powstania Warszawskiego, jest autorem m.in. monumentalnego Pomnika Walki i Męczeństwa zrealizowanego w 1969 r. na terenie byłego obozu niemieckiego Majdanek w Lublinie.

Sztuka

Jesień w Kołobrzegu wita gości plakatami informującymi o retrospektywnej wystawie malarstwa Stanisława Mazusia pt. „W obronie piękna”. W Galerii Sztuki Współczesnej, mieszczącej się



w miejskim ratuszu, pokazano liczne prace dawne i najnowsze artysty, który w 1958 r. ukończył liceum plastyczne w Zamościu. Urodził się 7 listopada 1940 r. w Lublinie. Dyplom w zakresie malarstwa uzyskał w 1967 r. w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Od 50 lat wystawia swoje prace w kraju i za granicą. Z czasów lubelskich na wystawie można było zobaczyć m.in. olej pt. „Piaskarze toruńscy” (z 1957 r.). Na wielu obrazach obecne są motywy zaczerpnięte z lubelskiej, roztoczańskiej wsi (plon pleneru w Zwierzyńcu). W pracach najnowszych, z ostatniego pięciolecia, dominują przede wszystkim pejzaże górskie i morskie, wszystkie dużego formatu (100x140 cm). Są też martwe natury i znakomite autoportrety (człowiek z brodą, często w fantazyjnym kapeluszu). Mazuś w swoim malarstwie daje upust emocjom. Jest z ducha i oka romantykiem. Szczególnie eksperymentuje kolorem białym, który przechodzi w mgiełną szarość lub morską czern. Nie rezygnuje z wszechobecnego we wcześniejszych obrazach brązu i jego odcieni. Mazuś o swoim malowaniu mówi: *Swoimi obrazami pragnę wzruszać, uspokajać i pobudzać do refleksji. Należę do malarzy, którzy nie wstydzą się uczuciowości (...) Uważam, że właśnie teraz należy zachować mocno sceptyczny dystans do wszystkich modnych, a raczej tandetnych, kostniejących „kanonów nowego”. Bo to, co się dzieje jest najczęściej wymierzone przeciw wszystkiemu co piękne, co kunsztowne, co dobre i wielkie. (...) Od najmłodszych lat obcowalem z pięknem Lubelszczyzny. Dorastałem wśród tanów zbóż, z chabrami, rumiankami i kąkolami, wawozami, pachnącą gryką, niebieskim lnem, pooranymi ścierniskami, rosochatymi wierzbami, torfowiskami i łąkami zamkniętymi po błękitny horyzont. To Piękno było wielokrotnie motywem i natchnieniem dla kilku tysięcy obrazów. To wszystko urastało w wizjach do symbolu nieprzemijających wartości, takich jak ziemia, ogień, woda (z wypowiedzi malarza podczas otwarcia wystawy i słowa drukowanego w katalogu ekspozycji).* Wystawa czynna była od 10 października do 8 listopada 2009 r.

Kołobrzescy malarze wystawiają swoje prace także w Regionalnym Centrum Kultury - okazałym budynku ze szkła i stali, ciągle rozbudowywanym. Tu rozmawiam z odpowiedzialną za imprezy panią Violetą Kowalską. Sugeruje mi, abym zainteresował się także miejscowym środowiskiem literackim. Właśnie gości prezesa Stowarzyszenia Kołobrzeskich Poetów, członka Związku Literatów Polskich, p. Eugeniusza Koźmińskiego, z którym omawia program jubileuszu 10-lecia działalności Stowarzyszenia.

Literatura

Kołobrzeg ma swoje środowisko literackie. Tworzą go głównie poeci różnych pokoleń, znani z licznych publikacji książkowych i prasowych. Nazwiska Piotra Bednarskiego, Eugeniusza Koźmińskiego, Jana Lechowskiego (debiutował w 1962 r. w lubelskiej „Kamienie”), Michała Filipowskiego, Marcina Niedźwiadka, Ireny Sawicz, Ewy Matyjaszczyk, Elżbiety Niedźwiadek (studia polonistyczne na UMCS), Aliny K. Bratuś, Beaty Mieczkowskiej-Miśtak, Rafała Sienkiewicza, Wiesława Uptasa - znane są z wielu publikacji, a to tylko niektóre „kołobrzeskie” nazwiska. Wszyscy wymienieni mają wydane książki poetyckie. Jako członkowie Stowarzyszenia Kołobrzeskich Poetów, regularnie spotykają się na wieczorach poetyckich i dyskusyjnych, m.in. w kawiarni „Pożegnanie z Afryką” (w piwnicy jednego z pięknie odrestaurowanych domów na Starym Mieście). Są też współwydawcami bardzo ciekawej jednodniówki pt. „Herbertiada” (z 10 września 2009 r.). Wielostronicowa publikacja dużego formatu zawiera m.in. teksty członków rodziny Herberta, liczne nieznanne zdjęcia poety, eseje poświęcone jego twórczości, wiersze członków Stowarzyszenia Poetów. Publikacja zrealizowana została z okazji X Ogólnopolskiego Przeglądu Twórczości Zbigniewa Herberta w Kołobrzegu). Herbert niewątpliwie patronuje tutejszym poetom, a miasto Kołobrzeg „z dumą nosi miano stolicy poezji autora Pana Cogito” - jak zapewnia Jacek Pechman, redaktor jednodniówki.

Członkowie Stowarzyszenia Kołobrzeskich Poetów są wydawcami almanachu (rocznika) pt. „Wokół słowa. Filozofia, Poezja, Publicystyka, Malarstwo”. Ukazały się dotychczas cztery tomy, a w nich m.in. eseje o Norwidzie, Bursie, Różewiczu, Baczyńskim, Herbercie... Wśród autorów - znane nazwiska, m.in. Czesław Kuriata, Piotr Bednarski, Wojciech Czaplewski, Ludmiła Janusewicz, Eugeniusz Koźmiński, Anatol Pulman, Jacek Trznadel, Kazimierz M. Ujazdowski, Jerzy Żelazny.

O innych almanachach i pismach tylko można tu wspomnieć, a więc almanach „Wśród kołobrzeskich poetów” (ze wstępem Krzysztofa Gąsiorowskiego, 2000) „Latarnia morska” (12 numerów), „54 równoleżnik” (2004), „Morze i Miłość” (2005). Do lat siedemdziesiątych działała tu grupa literacka „Reda”, później „Kołobrzski Salon Poezji i Piosenki Literackiej”.

Prezes Stowarzyszenia Kołobrzeskich Poetów p. Eugeniusz Koźmiński pokazuje odbitki korektowe kolejnego, jubileuszowego almanachu poetyckiego. Wspólnie zastanawiamy się nad jego tytułem. Może najlepszy będzie „Mierzyć się ze słowem...”? Rzecz jeszcze do przedyskutowania z poetami. Powinien ukazać się w grudniu 2009 r. („pod choinkę”).

Niejednen oddział Związku Literatów Polskich może pozazdrościć inicjatywy i aktywności kolegom z Kołobrzegu...

Muzyka

Kto dziś pamięta o Maxie Regerze? Kołobrzeg pamięta. Max Reger (1873-1916) był niemieckim kompozytorem, który większość krótkiego życia (zmarł, mając 43 lata) spędził w Monachium i Lipsku, ale w Kołobrzegu także mieszkał. Tu był organistą w katedrze i poznał wybrankę swojego życia. Uprawiał muzykę kameralną, organową, w swoim dorobku ma także poematy symfoniczne (kto wie, czy nie komponowane w Kołobrzegu?). Jego kompozycje utrzymane są w konwencji neoromantycznej zgodnej z duchem epoki. Wyróżniają się łagodną, melodyjną tonacją.

W dniach 17 października - 14 listopada 2009 odbyły się II Kołobrzeskie Dni Muzyki Kameralnej im. Maxa Regera. Plakaty w redakcji polsko-niemieckiej informowały o koncertach w bazylice i auli ratuszowej. Każdy z pięciu koncertów był wydarzeniem muzycznym granym w polsko-niemieckiej obsadzie, przy pełnej widowni. Szczególnie zapisał się w pamięci słuchaczy koncert pt. „Reger i muzyka żydowska” (24.10.2009). Jak wszystkie koncerty, tak i ten rozpoczęto od kompozycji Regera, w drugiej części młodzi muzycy z Koszalina (Freylachs Ensemble) grali żydowską muzykę obyczajową, także weselną, klezmerską, pochodzącą z Europy Wschodniej - od Warszawy po Kijów i Karpaty. Muzyka ta znakomicie współistnieje z lirycznymi, nastrojowymi opisami przyrody, z wyciszonym tonem emocjonalnym narracji Stanisława Vincenza, autora m.in. „Na wysokiej połoninie”. Kompozycje Regera i obyczajowa muzyka żydowska interesująco dopełniają narrację Vincenza. Przeciwnie, noblista Icchok Baszewis Singer spod Biłgoraja jest w swojej prozie często agresywny, czasem wulgarny i nie jest partnerem dla pięknej, lirycznej muzyki żydowskiej.

Pamięć i pożegnania

Jak w całej Polsce, tak i w Kołobrzegu dnia 1 i 2 listopada na cmentarzach i przed pomnikami oraz tablicami pamięci zapłonęły liczne znicze. W dzień Wszystkich Świętych od wczesnego ranka pracownicy samorządu rozwozili samochodami znicze i kwiaty. Indywidualni przechodnie dostawali swoje. Płonące lampiony, białe chryzantemy świadczyły o żywej zbiorowej pamięci o tych, którzy odeszli. Miasto i cmentarze przypominały ogrody.

Także ten symboliczny, z kilkoma macewami i gwiazdą Dawida usypaną z białych kamieni toną w blasku światła i kwiatów. Cmentarz żydowski został zniszczony przez Niemców, a cała kołobrzaska społeczność żydowska - wymordowana w 1942 r. Piękna, słoneczna pogoda sprzyjała liczным odwiedzinom, także na wojskowej części kołobrzskiego cmentarza. Od centrum miasta do cmentarza jest kilka kilometrów, ale samochody miejskiej komunikacji spisywały się znakomicie. Najwięcej ludzi gromadziło się przy zbiorowych mogiłach żołnierzy polskich i sowieckich, grobach często bezimiennych, przy pomnikach, chociażby takich jak ten z napisem: „Pamięci żołnierzy poległych pod Lenino i Monte Cassino”. Kwiaty i znicze nieustannie ustawiano na żołnierskich mogiłach 18-20-letnich chłopców różnych wyznań, różnych narodowości, a przede wszystkim tych z Wileńszczyzny, Grodna, Wołynia, Lwowa i Podola, którzy przyszli tu z Pierwszą Armią Wojska Polskiego.

Wieczorem, tuż nad brzegiem morza w wielu miejscach także płonęły świece, nocą sprawiło to niesamowite wrażenie, ale najwięcej ich było przy tablicach wmurowanych w bastion latarni morskiej. W granitowych płytach utrwalono nazwiska i daty „tych, co nie wrócili z morza”...

Kołobrzeg wzywa, Kołobrzeg zaprasza. Na pożegnanie otrzymuję od poety Eugeniusza Koźmińskiego kilka niedrukowanych jego wierszy. Ten czytany 6 listopada 2009 r. podczas kołobrzeskich „poetyckich zaduszek” jest jak pointa do moich spotkań i rozmów:

*Wysoki wiatr przed nami. Wilgoć
wspina się na wydmy jak choroba,
jak śmierć. Nic tu nie zależy od nas,
zupełnie nic. Drzewa przedzierają się
przez park z wysiłkiem, niczym kelner
w restauracji, a żywioł je ogarnia,
pochłania. Nic tu nie zależy od nas,
małych, ogłuszonych łoskotem morza,
dudniącego na wielkich organach,
w kanałach muszli, kamiennym zmierzchu,
niepomnych, że granie brzmi bardzo
żałobnie.*

*Utkani na wydmy pomiędzy drzewami,
ciągle niegotowi na najdalszą podróż,
słuchamy szelestu serc, które toną
w wilgoci,
coraz głębiej i głębiej.*

Waldemar Michalski

Kołobrzeg, dn. 8 X - 7 XI 2009 r.

Wojtek Mięzał

Nauvoo - miasto mormonów

Opisana w 2(8) numerze *Nestora*, mieścinka Bishop Hill oraz niefortunne losy jej mieszkańców, nie były głównym zamierzeniem pamiętnego majowego weekendu, który zbiegł się z amerykańskim Świętem Pamięci o Zmarłych. Znanym też (co brzmi nieco egzotycznie w polskim przekładzie) jako Dzień Wieńczenia Grobów. W zamian Święto Pracy, obchodzi się tutaj akurat jesienią.

Bishop Hill odwiedzamy więc tylko dlatego, że znajduje się blisko przemierzanej trasy w kierunku zachodniej granicy stanu Illinois. Mapy informują drobnym druczkiem, że jest to miejsce historyczne, informacje potwierdza Internet i lokalna biblioteka. To bezsporny sygnał, że wstąpić tam warto i okazuje się, że faktycznie, bo dopiero będąc na miejscu dowiadujemy się między innymi, że wspólny komunalny dom mieszkalny, zbudowany rękami mieszkańców, na dodatek - z cegły wyprodukowanej przez nich samych, był na tamte czasy największym murowanym budynkiem mieszkalnym na zachód od Chicago. Wyjeżdżając z Bishop Hill do kolejnego miasta, głównego celu naszej eskapady, nie zdawałem sobie sprawy jak wiele podobnych zdarzeń, chociaż zupełnie przypadkowych, będzie łączyło te dwie miejscowości, których mieszkańcy zapewne nigdy się nawet nie spotkali.

Kiedy w 1846 roku Jansson z grupką wiernych sobie towarzyszy przybyli na miejsce dzisiejszego Bishop Hill, które było przysłowiowym „Nigdzie” na prerii, szykowali się do przetrwania, jak się wkrótce okazało, srogiej zimy. Tego samego roku Ameryka rozpoczęła, którąś ze swoich wojen. Wielkopolanie ponieśli klęskę w jednym z niepodległościowych zrywów. A w Woli Okrzejskiej przyszedł na świat Henryk Sienkiewicz, który jak nikt rozślawił imię Krasnegostawu, za co otrzymał w dowód szczerej niewdzięczności maleńką, peryferyjną uliczkę, nazwaną jego imieniem.

Niegdyś na pokonanie dystansu dzielącego oba miasta, jeździec potrzebowałby dwóch dni. My, po nocy spędzonej na kempingu, już sobotnim przedpołudniem byliśmy na miejscu. Miasteczko znacznie większe od poprzedniego, o dziwnie brzmiącej nawet dla samych Amerykanów - bo hebrajskiej - nazwie, która w dosłownym tłumaczeniu znaczy „Przepiękne Miejsce”, a w oryginalnej pisowni brzmi: „Nauvoo”. Nauvoo w okresie swojego rozkwitu, było najdynamiczniej rozwijającą się, po Chicago, miejscowością w stanie Illinois.



Nie jest moją intencją zagłębianie się w tematy dotyczące zawitości jakiegokolwiek religii. Postaram się jedynie opisać wrażenia i odczucia wyniesione z dwupółdniowego pobytu wśród mormonów, i w dużym skrócie przypomnieć wybrane fakty historyczne związane z ich wyznaniem, miasteczkiem Nauvoo i exodusem z roku 1846, którego finałem była długa i dla wielu z nich tragiczna wędrówka, a której kres na środku surowej pustyni zaznacza dzisiaj piękne Salt Lake City.

Zatrzymujemy się, jak zwykle w naszych podróżach, na kempingu. Tutejszy podlega zarządowi parków stanowych, co gwarantuje porządek, bezpieczeństwo, ciszę i natryski z ciepłą wodą. Zlokalizowany jest naprzeciwko odrestaurowanej i otwartej dla wszystkich części byłej osady, która w roku 1845 liczyła już 12 000 osób, nie licząc mieszkańców najbliższej okolicy. Dla porównania - populacja Chicago w tym samym roku wynosiła 15 000 mieszkańców. Ziemia została podzielona, tak aby każdy mógł być posiadaczem działki o powierzchni jednego akra (0,4 ha). Zabudowę stanowiły domy w większości murowane, na które budulec dostarczała własna cegielnia. Choć jazdę przez obecną część



miasta zamieszkałego przez niemormonów nie zaskakuje niczym szczególnym i niewiele różni się od innych miasteczek stanu Illinois, o tyle wygląd historycznej jego części, od chwili wkroczenia na jej schłodne, zachowane w doskonałym stanie i zadbane uliczki, pozwala dostrzec rękę dobrego gospodarza i organizatora.

Przypadek sprawia, że pierwszym obiektem, przy którym zatrzymujemy się są zabudowania położone nad samą wodą, z widokiem na wysoki przeciwległy brzeg, należący już do stanu Iowa. Oddziela nas od niego, „królowa amerykańskich rzek”, „dostojna” jak mówili o niej dawni kowboje, Missisipi. Zwiedzamy obejście rodziny Josepha Smitha, założyciela ruchu mormonów i proroka, jak określają go współwyznawcy. Stary, piętrowy, z początków XIX w. dom, który Smith odkupił od poprzedniego osadnika, zbudowany został z solidnych, ciosanych bali. W miarę upływu czasu, dobudowano nowe części oraz letnią kuchnię. Sukcesywnie powiększano go z uwagi na rosnącą liczbę zatrzymujących się przybylszy zainteresowanych wstąpieniem do grupy wyznawców nowej religii. Obecnie wszystko jest starannie odrestaurowane, łącznie z sąsiadującym rodzinnym cmentarzykiem. W centralnym jego miejscu, okazała płyta zaznacza miejsce pochówku Josepha i jego żony Emmy oraz brata Hyrum. Obok - następne groby bliskiej rodziny: rodziców Josepha, jego dzieci i członków następnych pokoleń. Stamtąd jedziemy, i słusznie, do centrum informacyjnego, bo okazuje się że jednak od tego miejsca powinniśmy rozpocząć poznawanie bliższych szczegółów związanych z osadą, jej mieszkańcami i religią, której się oddali.



Wnętrze centrum wita wielkim obrazem przedstawiającym Jezusa wśród swoich uczniów łowiących ryby, a samo wezwanie, pod jakim funkcjonuje świątynia mormonów może być nie lada łamigłówką: *Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich*. Wystrój dopełnia imponujących rozmiarów rzeźba przedstawiająca unoszącego się Ojca i Syna, a u Ich stóp - klęczącego Josepha Smitha. Ta scena miała mieć miejsce w latach wczesnej młodości Josepha, kiedy podczas jednej z jego wędrówek w leśne miejsca odosobnienia, podczas gorliwych modlitw doszedł do połączenia z Bogiem i otrzymał szczegółowe sugestie dotyczące misji stworzenia nowego kościoła. Obok, w gablocie oglądamy



kopie złotych płytek z wrytymi zaszyfrowanymi wskazówkami dla przyszłego proroka. Posłańcem, który miał wskazać miejsce ukrycia przekazów zapisanych w złocie, był Anioł Moroni, przedstawiany z uniesioną długą trąbką i umieszczany na szczytach wież wszystkich kościołów mormonów.

Sala główna centrum informacyjnego mieści dużych rozmiarów makietę miasteczka Nauvoo sprzed 1846 roku. W dwu przeciwnych skrzydłach budynku znajdują się kilkuset-osobowe sale widowiskowe, wyposażone w sceny i pełnowymiarowe panoramiczne ekrany kinowe. Całości



dopełnia recepcja z miłą i kompetentną obsługą, jak również grupa ochotników wykonujących w ramach swojej misji role przewodników i tłumaczy, zawsze służących dobrą radą. Zarówno centrum jak i odwiedzane przez nas później miejsca, cechuje doskonała organizacja, ład i brak cech przypadkowości. Nigdzie nie spotkaliśmy się z prośbą ani sugestią o jakikolwiek datek pieniężny, czy chociażby skarbonką w zamian za wiele atrakcji, jakich mogliśmy doświadczyć. Po estetycznych wrażeniach wyniesionych z wystawy prac artystów malarzy, rzeźbiarzy i starych fotografii, mamy okazję obejrzeć ponadgodzinny, zrealizowany bardzo profesjonalnie film o życiu Josepha Smitha, jego najbliższej rodziny i ważniejszych, a w wielu przypadkach tragicznych wydarzeniach z początków historii kościoła mormonów.



Z głównym budynkiem sąsiaduje starannie zadbane park. Poświęcony jest kobiecie i jej życiowej roli, a więc przede wszystkim matce. Wśród kwiatów umieszczone zostały ciekawe i gustowne rzeźby, a dopełnieniem ich stała się subtelna muzyka instrumentalna wydobywająca się z ukrytych wśród zieleni głośników. Duże place parkingowe wypełnione są autami z tablicami rejestracyjnymi wielu, nawet odległych stanów. Podczas długich weekendów, takich jak właśnie ten, ma miejsce wiele atrakcji artystycznych oraz spotkań naukowych. Tuż po seansie filmowym, chwila w parku i już możemy oglądać barwne widowisko sceniczne, w wykonaniu dużej grupy młodych artystów. Przedstawienie z gatunku musical, grają z zaangażowaniem i kunsztem. Daje się zauważyć, że sztuka, zainteresowania artystyczne i praca w zespołach odgrywają ważną rolę w życiu tej społeczności. Wiele młodych ludzi występujących w rolach teatralnych, rozpoznajemy później wśród członków orkiestry dętej, która umila czas zwiedzającym, przemierzając ulice miasteczka w specjalnie dla nich przygotowanym wagoniku

zaprzężonym w dorodne konie. Inne zaprzęgi przypominają charakterystyczne wozy „Conestoga”, jakimi pionierzy poruszali się przez bezkresne terytoria. Dzisiaj dowożą turystów do po-



nad trzydziestu odrestaurowanych domów, w których kiedyś mieszcili się przydomowe zakładziki rzemieślnicze czy miejsca użyteczności publicznej. Nadchodzi późne popołudnie. Na widowni teatru na wolnym powietrzu zaczyna brakować miejsc siedzących. Jak poprzednio, zastajemy tutaj dużą profesjonalną scenę, wysokiej klasy nagłośnienie i całą baterię reflektorów. Występy trwają do późnych godzin nocnych, a rozpoczynają je najmłodsi. W wykonanych przez siebie chwilę wcześniej papierowych czapeczkach, wprowadzani są przez swojego niepełnosprawnego rówieśnika. Chłopiec, oddając się roli wodzireja tej wesołej czeredy, ma czas na zapomnienie o swoich problemach. Spontaniczne przemarsze pełnych wigoru dzieciaków stanowią witalny przedsmak następnych atrakcji. Jako pierwsza występuje ponaddziesięcioosobowa rodzina z Hawajów, która pod kierownictwem głowy rodziny prezentuje egzotyczny folklor - od pieśni i tańców hula, do niebezpiecznych, ale niezwykle widowiskowych, szczególnie wraz z nadchodzącym zmierzchem, tańców ekwilibrystycznych z płonącymi pochodniami. Prezentują się soliści i ca-



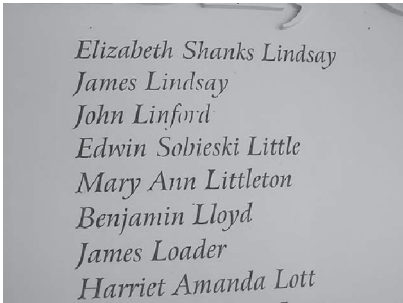
łe grupy artystów amatorów. Koncerty wieńczy miły akcent związany z dniem pamięci o tych, którzy odeszli. Na scenę zaproszeni zostają byli żołnierze różnych formacji amerykańskich sił zbrojnych, których - jak się okazuje - jest spora grupa na widowni, jak i wśród samych mormonów.

Po wieczornych występach scenicznych, zostajemy zaproszeni przez małżeństwo emerytowanych farmerów ze stanu Idaho, którzy - jak i pozostała załoga obsługi historycznego miasteczka - wykonują swoją pracę w ramach misji absolutnie ochotniczo czyli mówiąc ładniej w polskiej nowomowie - są wolontariuszami. Pokrywają również koszty swojego utrzymania z własnych funduszy. Są hodowcami rasowych koni, o których z pasją i znajomością tematu opowiada pan domu. To jeszcze jego babka spotkała na ulicy norweskiego Oslo misjonarza mormonów i przystąpiła do nich. Pani domu umila nam czas spotkania solową grą na pianinie i śpiewem.



Część artystów biorących udział w przedstawieniach następnego dnia udaje się z koncertem dla mieszkańców oddalonego o kilkadziesiąt mil w dół rzeki miasteczka Quincy. Tego samego, które kilkakrotnie wymienia w swoich książkach Samuel Langhorne Clemens. Przed laty mały jeszcze Samuel, pomimo że mieszkał właśnie dość blisko Quincy, a niewiele dalej od położonego na północ Nauvoo, był zbyt młodym, aby interesować się losem mormonów, później zaś - zbyt zajęty robieniem psikusów wraz z bandą kolegów, małych urwisów, aby słuchać komentarzy cioci Polly o tym, co działo się w górę Missisipi. Za to w kilkanaście lat później, jako posiadacz licencji, która pozwalała mu pilotować parostatki na 3 000-kilometrowym odcinku Missisipi, na pewno zatrzymywał się w przybrzeżnych portach rzecznych, miasteczkach takich jak Hannibal, Quincy, Warsaw czy Nauvoo. Ale wtedy mormonów już tam nie było, a Samuel nosił już nazwisko Mark Twain.

Niedziela następnego dnia okazuje się być zbyt krótka, aby obejrzeć wszystkie z udostępnionych dla zwiedzających je miejsc, jak na przykład: piekarnia, drukarnia, kuźnia czy zakład doskonałego rusznikarza. W dużym pawilonie odbywają się pokazy rzemieślników, podczas których - jak w wielu z amerykańskich muzeów - są zaaranżowane miejsca przede wszystkim dla zwiedzających je dzieci, które i tutaj mogą brać bezpośredni udział przy na przykład produkcji sznurów. Tutaj też demonstrowane są sztuki haftowania, bednarstwa, kołodziejstwa, przędzenia, pieczenia chleba czy domowego wyrobu świec, bez których w tamtych czasach ani rusz po zmroku.



*Elizabeth Shanks Lindsay
James Lindsay
John Linford
Edwin Sobieski Little
Mary Ann Littleton
Benjamin Lloyd
James Loader
Harriet Amanda Lott*

W trakcie zwiedzania poszczególnych, często od siebie dość oddalonych miejsc, w pewnym momencie natrafiamy na budowlę - rotundę położoną nad samym brzegiem Missisipi. Ściany wewnątrz jej wypełnione są rzędami nazwisk, zaś obok budynku stoi pomnik przedstawiający braci Smith zapatrzonych w przeciwległy brzeg rzeki. Tutaj kończy się ulica Parley. My zaś jedziemy szukać dalszych informacji dotyczących osoby noszącej jedno z nazwisk, jakie znaleźliśmy na ścianie rotundy. Natrafiamy na „biuro poszukiwań” służące radą i pomocą w odszukiwaniu danych genealogicznych byłych mieszkańców Nauvoo. Podajemy nazwisko i po niedługim czasie dostajemy płytkę CD z dość jednak skąpyimi informacjami, oraz mapkę miasteczka sprzed 1846 roku z zaznaczonym miejscem parceli, na której stał jego dom. To właśnie wtedy, przy okazji tych poszukiwań, natrafiamy na pozostałości byłej kopalni kamienia do budowy pierwszej świątyni. Na temat jego osoby znalazłem nieco więcej informacji dopiero po powrocie do domu, ale wciąż są one niepełne.

Joseph Smith urodził się i wychował na Wschodnim Wybrzeżu, tam też rozpoczęła się historia ruchu mormonów. Z grupą swoich historyków opuścił stany „Nowej Anglii”, posuwając się na zachód w poszukiwaniu ziemi obiecanej. Do grupy ciągle dołączali kolejni chętni przystąpienia do czegoś nowego, obiecującego szczególnie doznania, perspektywy, sukcesy, a wszystko dzięki religii głoszonej przez Josepha i je-

go współtowarzyszy pełniących posłannictwo apostołskie. W swojej wędrówce dotarli do zachodnich granic stanu Missouri - jednego z trzech wówczas stanów wysuniętych poza rzekę Missisipi. Dumne hasła Ameryki, głoszące przede wszystkim o prawie do wolności wyznania jakiegokolwiek religii, wykazują swoje braki. Ktoś w nich pewnie zapomniał dopisać: „Nie dotyczy mormonów”. Zdarzały się więc dość częste przypadki ataków skierowanych przeciwko tej społeczności, dochodziło do potyczek z użyciem broni, prowokacji i wreszcie aresztowań.

W efekcie zostali brutalnie wygnani z niewolniczego w tym czasie Missouri. Wracając na Wschód, napotkali po drugiej stronie rzeki Missisipi, leżącą w granicach stanu Illinois, małą miejscinę. Tymczasem nadchodziła zima. Mimo uprzedzeń i aktów wrogości ze strony sporej liczby ludzi, mieszkańcy małego Quincy, poruszeni wiadomością o tak podłym i brutalnym potraktowaniu mormonów, otworzyli drzwi swoich domów, przyjmując pod dach około pięć tysięcy błagających się nieszczęśników.

Obecna zabudowa historycznego dystryktu jest rekonstrukcją rozpoczętą w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku przez potomka jednego z pierwszych osadników. Budynek odbudowywane były na miejscach starych fundamentów, których pozostałości w oryginalnej formie w wielu miejscach udostępnione są dla zwiedzających, a kształt i forma domów pozostawione w zgodzie z ich pierwowzorem.

Początki powstawania miasta nie były tak sympatyczne jak jego nazwa. Miejsce położone w dużym zakolu wielkiej rzeki, było niczym innym jak ogromnym bagnistym rozlewiskiem zawałonym kłodami drzew od tysięcy lat nanoszonych podczas wiosennych powodzi. Zabrali się więc na początek z charakterystycznym dla nich uporem, rozpoczynając od osuszania pól poprzez wykopanie kanałów, usunięcia kłód drzew i podniesienia terenu. Pierwsze lata okupione zostały ofiarami śmiertelnymi w ludziach, z których spora część doświadczyła plagi malarii, wywołanej przez komary z nadrzecznych bagien. Jednak miasto rosło i z miesiąca na miesiąc przybywało starannie przemyślanej zabudowy, która z jednej strony stawała się satysfakcją dla jej twórców, z drugiej zaś - magnesem przyciągającym następnych chętnych do przystąpienia w szeregi dobrze zorganizowanej, coraz mniej zależnej od zewnętrznego świata wspólnoty.

Wraz z posuwającą się budową domów i warsztatów rzemieślniczych, mormoni przystępują do budowy wielce okazałej świątyni. Każdy z mężczyzn deklaruje ochotniczą pracę na rzecz tego dzieła w co dziesiąty dzień. Kobiety zaś, oprócz codziennych zajęć domowych i czasu na

wychowanie dzieci, podejmują się szycia ubrań dla swoich robotników.



Spore pokłady kamienia do wykonania z niego dużego rozmiaru starannie ociosanych bloków, z których powstanie konstrukcja, zostają odkryte nieopodal rzeki. Na dzisiejsze pozostałości dawnej kopalni natrafiamy przy okazji szukania polskiego akcentu, do którego powrócę nieco później. Kopalnia obecnie jest częściowo zalana wodą, ale jej głębokość i obszar, jaki zajmowała mówią jak ogromną pracę musieli włożyć ówczesni ludzie, aby wydobyć te skały na powierzchnię, obrobić je i przewieźć przy pomocy koni na dość odległe i usytuowane na wzgórzu miejsce. Drewno potrzebne do konstrukcji spławiane było z odległych od Nauvoo lasów środkowego Wisconsin rzekami Black i Missisipi. I tutaj znowu dochodzi rodzinny akcent - bo akurat z okolic miejscowości Lublin w Wisconsin.

Powstająca świątynia nowej religii, widoczny postęp w niemal wszystkich dziedzinach życia nowej osady, dobrze wyszkolona i wyposażona, dwutysięczna armia uzbrojonych ochotników, ciągle rosnąca liczba chętnych dołączenia do wspólnoty znajduje również oponentów. Głównym propagatorem ruchu antymormońskiego jest wydawca gazety „Warsaw Signal”, mającej swoją redakcję w małym miasteczku leżącym w dół rzeki Missisipi, miasteczku o swojskiej znów nazwie, a mianowicie Warsaw.

Wydawca Thomas C. Sharp w zamieszczanych coraz częściej artykułach o antymormońskiej treści nawołuje swoich czytelników do rozprawienia się z rosnącą w siłę konkurencją, osiągającą coraz większe sukcesy. Redaktor Sharp zyskał sobie dużą grupę stanowych i lokalnych polityków, słusznie czujących zagrożenie dla własnych pozycji. Prawie trzynaście tysięcy ludzi w dobrze zorganizowanej społeczności, czyniło z nich niezwykle poważną konkurencję jako elektorat w wyborach, z prezydenckimi włącznie. A o taką pozycję rozpoczął właśnie swoją wstępną kampanię wyborczą Joseph Smith.

Ten młody przywódca, który oprócz naczelnego miejsca w nowo utworzonym przez

siebie Kościele, zajmujący główną w nim pozycję, obejmuje również stanowisko burmistrza miasta Nauvoo, stanowisko generała w dowodzonej przez siebie armii zmilitaryzowanych ochotników, szefa lokalnego sądu, a na dodatek, proponuje w swoich tezach wyborczych na stanowisko prezydenckie, między innymi wolność dla czarnoskórych niewolników na wiele lat zanim uczynił to Abraham Lincoln.

W międzyczasie, oprócz coraz częstszych konfliktów prowokowanych przez podburzone przez Sharpa bandy spoza miasteczka, dochodzi również do kłótni w samym środowisku mormonów. Znajduje się grupa ludzi nieakceptująca wszystkich postanowień Smitha i jego najbliższych. Odradzają się zadawnione problemy, które miały miejsce kilka lat wcześniej, kiedy Joseph i jego ludzie weszli w konflikt z prawem, będąc jeszcze w stanie Missouri. Wszystko to doprowadza do tego, że lokalne władze wzywają go do stawienia się wobec nich. Joseph wraz z bratem Hyrum i kilkoma towarzyszami udają się do oddalonego o kilkadziesiąt mil miasteczka Carthage, gdzie zostają umieszczeni w lokalnym areszcie, aby oczekiwać na podjęcie decyzji przez bardzo nieprzychylnych im przedstawicieli tamtejszych władz. Wieczorem do budynku aresztu, który zajmuje jedno z pomieszczeń na piętrze (resztę zaś stanowi mieszkanie dla strażnika i jego rodziny), wdziera się uzbrojona banda lokalnych wrogów mormonów.

W czasie strzelaniny, od kul napastników ginie czterdziestoczteroletni Hyrum i pięć lat młodszy od niego Joseph. Po ich śmierci przywództwo nad miastem i mormonami obejmuje jeden z pierwszych współtowarzyszy Smitha - Brigham Young. Pomimo tragedii, jaka dotknęła grupę, i sporadycznych konfliktów wewnętrznych, wciąż posuwają się prace przy wznoszeniu świątyni, tylko życie mieszkańców osady staje się coraz bardziej uciążliwe z powodu narastających aktów nienawiści wobec nich, prowokowanych przez okolicznych mieszkańców, którzy dopuszczają się również aktów wandalizmu na nowo powstającej budowlę. Przypadki te są coraz bardziej czytelnym sygnałem do podjęcia działań przeciwko następnej, kto wie czy nie na większą skalę, tragedii. Tym bardziej, że władze stanowe i lokalne nie przejawiają żadnego zainteresowania narastającym terrorem, jaki spotyka mormonów.

Po krótkich przygotowaniach na ulicy Parley, biegnącej wprost do skutej w tym czasie lodem rzeki, ustawia się coraz dłuższy rząd wozów zapelnionych ludźmi i najpotrzebniejszym dobytkiem.

Zaczyna się długi i dla wielu znów tragiczny exodus.

wojtek

Zdjęcia z wyprawy do Nauvoo można znaleźć na stronie: http://picasaweb.google.com/sumwodny/NauvooNESTOR?authkey=Gv1sRgCl2QivK70N7_Yg&feat=email#

Aleksander Bernat

- *Lucynie. Dobrze że jesteś.*
Porannie. Zawsze.

Alex

DO

Od prawie dawna
 Może od lat jesteś moją miłością
 Oszolomieniem tylu wyczekiwań
 Już nie może zużyć się ani ostygnąć
 Nawet to co wygląda naszego rozstania
 I z wolna nas zwycięża
 Nawet to czego nie znamy
 I wszystkie zniknięcia i powroty

Zamknięta jak okiennica z bukszpanu
 Szczelna jak nadzieja ostatnia
 Jesteś naszym górskim łańcuchem
 Otwartym blaskiem
 Tam nad doliną Carminiano
 Doliną Arno
 Dokąd chcę Cię zabrać

Zamawiam nadzieję O moja znękana
 Każde z nas otrzyma
 Część tajemnicy wzajemnej
 Nigdy jej nigdy nie trwórnymy
 A ból co przypyływa skądinąd
 Oddzieli się od wszystkiego

Znajdę swoją drogę słoneczną

By rozpocząć
 Czy też oczy przymknąć
 I zatopić się w cichym
 pocałunku dnia...

Miłość to człowiek niedokończony
 - Lucynie

Z silniejszym tchnieniem

Kochanie
 Z silniejszym tchnieniem wiatru
 I lampą mniej przyćmioną
 Znajdziemy wreszcie postój
 Gdzie noc powie Przechodźcie
 I pod zgaszonym niebem dnia
 Pojmiemy że to prawda

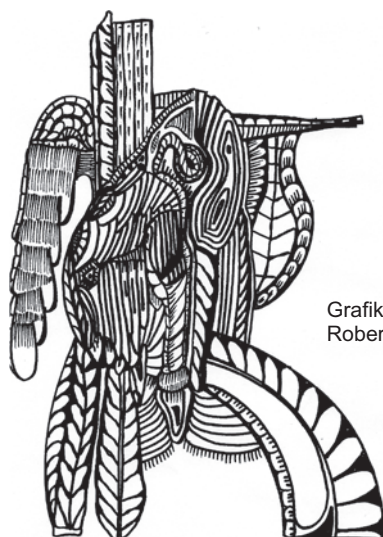
Posłuszna ziemia w objęciach
 Kwietniowej pory

Drzewa rozkwitają
 Nurt rzeki łagodnieje
 Głębia nieba błękitna
 To co tam lśni w oddali to...
 Miłość ma swoje zapatrzenie
 Spokojnie oddycham w Twojej przestrzeni
 Zostań więc
 Tak do świtu

Wielka abstrakcja

Co to jest tęcza Panie
 Pierścień biedaków Aleksandrze
 Bo pacierza jak brudu za paznokciem
 A świętych jak na lekarstwo
 A modlitwa dawno już nieobecna
 A cienie tak pobożne że aż płaczą nogi
 Wszystko przemienie różańcem poranka
 Kiedy kogut świtu zapieje
 A łąka za oknem wielka abstrakcja lata
 Uleci w jesień
 Wieczorem poeta koniuszkami palców
 Przywoła modlitwę śpiesząc do kresu nocy
 I ponagli swe pożegnania
 Jeśli los zechce

Szpak przysiadzie na gałęzi w ogrodzie
 Żeby znaleźć dla niego swe przywitanie
 Gdy wyjmą z pieca chleb
 Jeśli los tak zechce



Grafika -
 Robert Znajomski

Henryk Radej

Wylot

Uskrzydłony wracam autem jakoby z dalekiej podróży i jadę po naszej, dobrze mi znanej krainie, i coś niepokojącego obserwuję co jakiś czas za oknem. A to mignie mi czarne monstrum przy drodze, albo otwiera się dziwnie pusta przestrzeń, w której powinna stać kapliczka, co zawsze tu była - a teraz nie ma? Zatrzymuję się i widzę, że te ciemne plamy w pejzażu, to opakowane szczelnie folią krzyże lub figury przydrożne na prywatnych posesjach. Te, które znikły, stały w miejscu publicznym, czyli na państwowym, więc pewnie musiały być usunięte. Kościół parafialny też jakoś dziwnie wygląda, jakby stracił strzelistość, bo na jego szczycie brakuje krzyża, na dzwonnicy też, a serca dzwonów owinięte jakimś szmatami i powiązane sznurkiem, aby nie wydały żadnego dźwięku. Czyżbym cofnął się w czasie? Takie widoki oglądałem kiedyś za naszą wschodnią granicą, ale to było jeszcze za Sowietów, za komuny! Co takiego dzieje się teraz? Pora przedświąteczna, a w marketach nie ma choinek ani świętych Mikołajów, aniołków też nie ma. W pracy nikt nie wychyla się z organizacją zakładowego opłatka, aby złożyć sobie okazjonalne życzenia. Płyty z kolędami też trudno znaleźć w sprzedaży. Do przygotowania jasełek ani chodzenia po kolędzie jakoś nikt się nie sposob, bo nie wolno naruszać innym miru domowego. Napotkany kondukt pogrzebowy w ciszy szybko przemyka ukradkiem w stronę cmentarza, bez krzyża, księdza i chorągwi. Na trumnie zobaczyłem klepsydre z... własnym imieniem i nazwiskiem. Tego już za wiele. Prawie na bezdechu otwieram oczy i z bijącym sercem, siadam w pościeli. Na szczęście to tylko koszmarny sen. Za oknami budzi się mglisty, jesienny dzień. Na Chełmskiej Górze odezwał się pierwszy dzwon.

Moja radość z realnej rzeczywistości nie trwała zbyt długo. Przy śniadaniu lubię rzucić okiem na niektóre portale prasowe w Internecie. Czytam optymistyczne relacje z obchodów rocznicy obalenia muru berlińskiego. Była euforia, szampan, elita europejskich polityków, jakieś kłopotliwe „dyrdymały” z polskiej strony... Czeski prezydent Vaclav Klaus złożył długo oczekiwany podpis pod unijnym traktatem z Lizbony. W pewnym momencie docieram do informacji o tym, jak we Włoszech rodzice przez siedem lat walczyli przed sądami „o prawo wychowywania dzieci w zgodzie z własnymi przekonaniami”, i wreszcie Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu przyznał im rację; że wieszanie krzyży w klasach to naruszenie „wolności religijnej uczniów” i nakazał państwu

włoskiemu wypłatę odszkodowania w wysokości 5 tysięcy euro za „straty moralne”, jakich rzekomo doświadczyli. No to zaczęło się! - myślę sobie. Mój sen zaczyna się sprawdzać. Wylot w europejskim murze chrześcijaństwa został dokonany. Tylko patrzeć, jak runie fala podobnych pozwów w każdym z unijnych krajów, bo ateistów, muzułmanów i komunistów w nich bez liku, każdego może coś zacząć razić i ranić uczuciowo w chrześcijańskim przestrzeni, zwłaszcza że można jeszcze na tym nieźle zarobić. Ale, czy to coś nowego? W niektórych krajach księdzu nie wolno publicznie pokazywać się w sutannie, bo może to drażnić innowierców i niewiernych. Choinki, szopki, śpiewanie kolęd i inne symbole świąteczne też są zakazane, aby nie wzbudzać antagonizmów, zwłaszcza z ateistami. Wiadomo, że zachodnie społeczeństwa w większości są niewierzące: w krajach skandynawskich wskaźnik ten sięga 90%, w Niemczech 75%. Czy pojawią się pozwy z Polski? Po 1989 r. też były osoby, które podejmowały liczne interwencje u naszych władz, w sprawie krzyży w szkołach. Obecnie pojawiają się dla nich nowe możliwości i nadzieje. Jak czują się dziś i co myślą absolwenci i nauczyciele szkół w Miętnej i Włoszczowie, którzy 25 lat temu dali świadectwo pokojowej i skutecznej walki o krzyże w swoich klasach?

Z ciekawości sięgam do polskiego Kodeksu Karnego z roku 1932 (Kodeks Makarewicz). Rozdział XXVI nosi tytuł: „Przestępstwa przeciwko uczuciom religijnym” i składa się z trzech artykułów o następującej treści:

Art. 172

*Kto publicznie Bogu bluźni,
Podlega karze więzienia do lat 5.*

Art. 173

*Kto publicznie łży lub wyszydza uznane prawnie wyznanie lub związek religijny, jego dogmaty, wierzenia lub obrzędy, albo znieważa przedmiot jego czci religijnej lub miejsce przeznaczone do wykonywania jego obrzędów religijnych,
Podlega karze więzienia do lat 3.*

Art. 174

*Kto złośliwie przeszkadza publicznemu zbiorowemu wykonywaniu aktu religijnego uznanego prawnie wyznania lub związku religijnego,
Podlega karze aresztu do lat 2.*

W przedwojennej Polsce też było wiele różnych wyznań, jak obecnie. Byli chrześcijanie - katolicy, luteranie, kalwini, prawosławni, greko-katolicy, unicy, obrządek ormiański, byli żydzi, byli muzułmanie, a także ateści - bo to też jakaś forma „wyznania” antyreligijnego. Żaden z ówczesnych Kościołów i wyznań nie protestował przeciwko tym przepisom. Było jasne dla wszystkich, że zapisy te dotyczą zarówno Boga Chrześcijańskiego jak i Boga Żydowskiego, czy Boga Muzułmańskiego.

Państwo szanowało system wartości, jakie niosły za sobą wszystkie religie. A kiedy przyszła pora najcięższej próby, za takie państwo nie wahali się oddać życia przedstawiciele tychże różnych wyznań i obrządków - od Westerplatte, Warszawy, aż po Katyń i Monte Cassino.

Jakie wartości połączą Europejczyków niebawem? Czy tylko wspólna waluta, traktat lizboński, wakacje w Egipcie, ta sama stacja telewizyjna, publiczne odrzucanie znaków religijnych i wszechobecna tolerancja dla wszelkich odmienności? Osobiście wolałbym, aby nadal łączył nas stół „Ostatniej Wieczerzy” Leonarda da Vinci, „Złożenie do grobu” Caravaggia i prosty, przydrożny krzyż, jakich jeszcze wiele między Bugiem a Odrą. Tych dzieł i tysięcy im podobnych wraz z odniesieniami do historii biblijnych nie da się zamknąć w najciemniejszym magazynie muzealnym liberalnej Europy.

Henryk Radej

Kamieńska trwa

XV Konkurs Poetycki im. Anny Kamieńskiej wzbogacił literacką historię Lubelszczyzny. Rozstrzygnięto go 10 listopada 2009 roku, tradycyjnie w Krasnostawskim Domu Kultury. Jury składające się z laureatów poprzednich edycji w osobach: Jan Henryk Cichosz, Urszula Gierszon, ks. Krzysztof Guzowski, Marian Janusz Kawałko, Krzysztof Konopa, Piotr Linek i Stanisław Żurek, nominowało pięć książek i ich autorów. Po długich naradach, przyznano ostatecznie dwie pierwsze równorzędne nagrody, które otrzymali: Elżbieta Cichla-Czarniawska za „Ruchome staloryty” - Wydawnictwo „Norbertinum”, oraz Zbigniew Dmitroca za „Zakaz przekraczania granicy” - Wydawnictwo „Świat Literacki” & Stowarzyszenie Pisarzy Polskich.

Przed ogłoszeniem werdyktu miłośnicy poezji mogli zapoznać się z wierszami laureatów oraz patronki konkursu w interesującej interpretacji Jadwigi Demczuk. Spotkanie zakończyło się degustacją okazałego tortu specjalnie przygotowanego na tę okazję.



Sieja Nowosada

Przypomnijmy, że Konkurs Poezji Więziennej zaistniał w 1994 roku za sprawą autorskiego pomysłu Artura Nowosada - ówczesnego wychowawcy Aresztu Śledczego w Krasnymstawie. Wydarzenie to wpisało się już na stałe do kalendarza ogólnopolskich imprez literackich. Tego roku w skład jury weszli: Jadwiga Demczuk, Jan Henryk Cichosz, Andrzej David Misiura („Nestor”) i dr Lubomir Puszak (KUL). Oceniono 242 zestawy prac nadesłanych z Polski i Ukrainy, a 11 września 2009 r. XV Konkurs Poezji Więziennej został rozstrzygnięty. W części artystycznej Teatr „Pod celą” z Aresztu Śledczego w Lublinie wystawił sztukę *Rozmowy z kałem*. Uroczystość połączono z wystawą prac malarskich wykonanych przez osadzonych z miejscowego aresztu. Zaproszeni goście i widzowie wypełnili całą salę widowiskową. Wśród nich m.in. senator RP Lucjan Cichosz, przedstawiciele samorządów, władz miasta i powiatu, Dyrektor Okręgowy Służby Więziennej w Lublinie ppłk Jerzy Nikolajew, inspektorzy, specjaliści i dyrektorzy jednostek penitencjarnych okręgu lubelskiego, instytucji współpracujących, oraz przedstawiciele Kościoła Zielonoświątkowego na Ukrainie, a także naczelny kapelan więziennictwa Ukrainiejskiej Cerkwi Prawosławnej. Zabrakło jedynie laureatów rozstrzygniętych po wielu zakładach odosobnienia. Mieliśmy zamiar zaprezentować państwu nagrodzone prace, jednakże - jak nas poinformował sekretarz konkursu, kapitan Paweł Pietszczyk - nie było na to przyzwolenia ich autorów. Miejmy nadzieję, że przy następnej edycji będziemy mieli więcej szczęścia.

Wyróżnieni za wiersz:

- Edmund Duda (ZK Sieradz) - za wiersz „Okno”;
- Iwona Gierlińska (ZK Leszno) - za wiersz „Tabor”;
- Jarosław Adamus (ZK Krzywaniec) - za wiersz „Zapach”;
- Leonid Kim (Ukraina) - za wiersz „Anhel”;
- Ruslan Mamka (Ukraina) - za wiersz „Tiomnaja liubow”;
- Iwan Mysyk (Ukraina) - za wiersz „Nebesnyj spokij”;
- Walentyn Samofalow (Ukraina) - za wiersz „Tango i śnieg”;
- Leonid Smyrnov (Ukraina) - za wiersz „Do materi”.

Wyróżniony za zestaw wierszy:

- Tadeusz Skwarczyński (ZK Sztum).

Nagrody trzecie:

- Małgorzata Augustyniak (AŚ Koszalin);
- Marzena Sawicka (AŚ Ostróda);
- Arkadija Łakowa (Ukraina).

Nagrody drugie:

- Waldemar Góźdz (ZK Goleniów);
- Romana Mieziencewa (Ukraina).

Nagrody pierwsze:

- Andrzej Wieczorek (ZK Rzeszów);
- Jarosław Bucenko (Ukraina).



Konkurs Poezji Więzienniej

KSIĄŻKI NADESŁANE

- Anna Nogaj, *Szeptem za Tobą*, wiersze, POLIHYMNIA, Lublin 2008, ss. 48;
- Ks. Ryszard Krzysztof Winiarski, *Echo ewangelii* (2), NORBERTINUM, Lublin 2009, ss. 168.

**Starostwo Powiatowe
w Krasnymstawie**



**Przedsiębiorstwo
ENERGOREMONT
w Krasnymstawie**



Gmina Łopiennik Górny



Dom Handlowy KRASNAL

**Drukarnia i Wydawnictwo
ROMAR**

Gmina Fajstławice

Gmina Siennica Różana

**Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska
w Krasnymstawie**

**Powiatowa Biblioteka Publiczna w
Krasnymstawie**

Gmina Żółkiewka

Gmina Izbica

Meble na zamówienie - Paweł Pardej

Gmina Kraśniczyn

Gmina Rejowiec Osada

**Zakład Mechaniczno-Wulkanizacyjny
Janusz Kalman**

**Stowarzyszenie Miłośników Ziemi
Siennickiej**

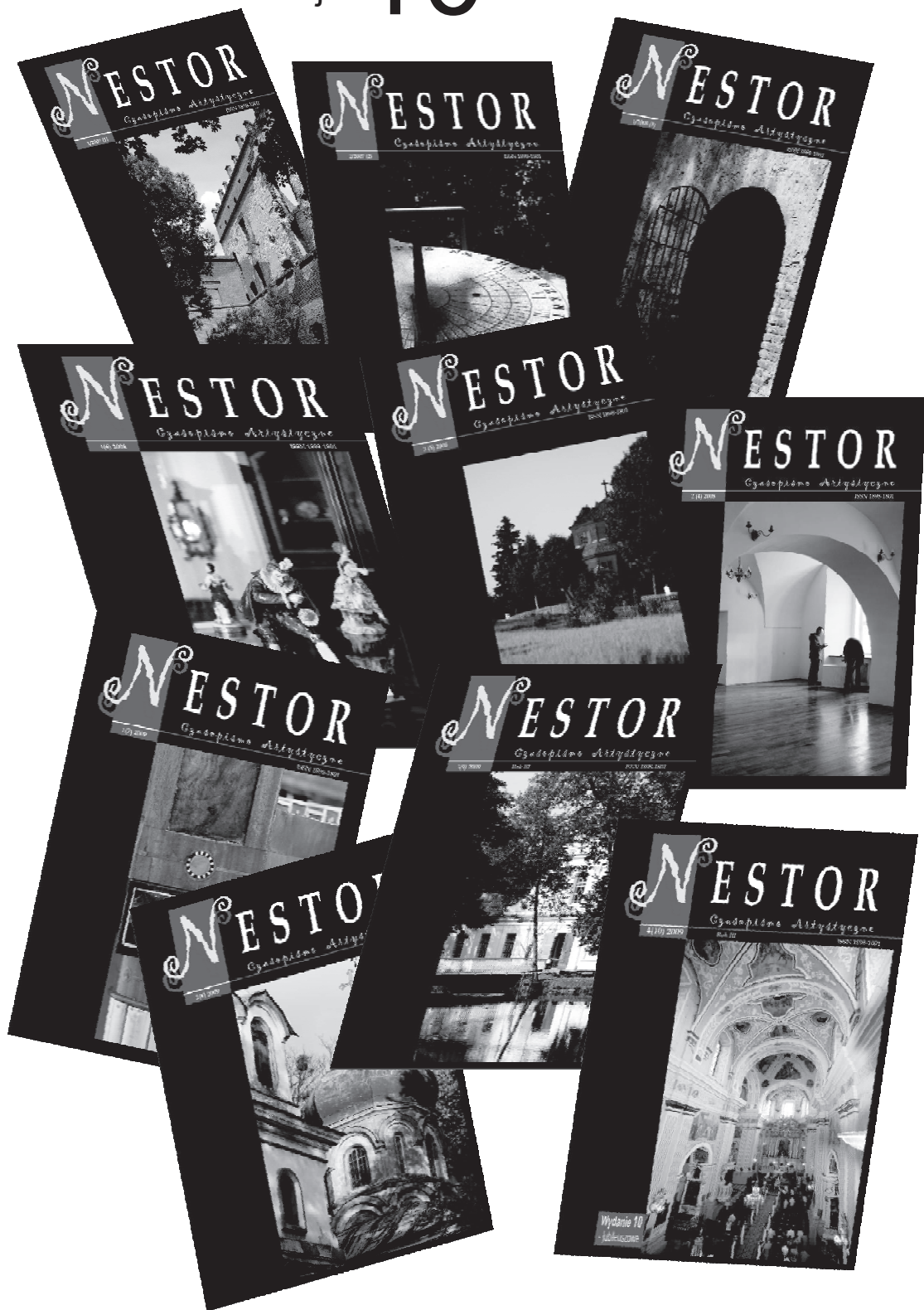
Hotel RAPA w Krasnymstawie

Karczma u Fela Tuligłowy Feliks Drażek

GrandNet Barbara Rogowska

Restauracja Staromiejska Zbigniew Hendigery

To już **10** numerów !



Krystyna Mojska





Krystyna Mojska

ur. 14.09.1960 r. w Krasnymstawie.

Działalność artystyczną rozpoczęła wraz z powstaniem Grupy Plastycznej "Paleta". Jest jedną z założycielek Stowarzyszenia Twórców Kultury "Paleta" i od roku 2000 wchodzi w skład zarządu stowarzyszenia.

Wystawy indywidualne: rok 2009, luty - MBP Krasnystaw, wrzesień - ul. Grodzka, Lublin.

Wystawy zbiorowe: Krasnystaw, Chełm, Tomaszów.

Plenery: Międzynarodowy Plener Malarski Węgry 2008, Chełm, Rejowiec, Sosnowica.

Prace znajdują się w zbiorach prywatnych w kraju i zagranicą (Holandia, Węgry, USA).

Marzenia: utworzenie prawdziwej galerii malarstwa w Krasnymstawie.